cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 11 866 indeks 211060 #177 02/2021

Piotr Grochmalski
HOŁD TUSKA, CZYLI KLUCZ DO ZROZUMIENIA JEGO KARIERY

Założyciel UyghurAid:
RZĄD CHIN DOKONUJE LUDOBÓJSTWA UJGURÓW W XINJIANGU

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

Ewa Curie

ANTYKOMUNISTKA

ZAPOMNIANA CÓRKA NOBLISTKI

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. NAC

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 8877ab7377

TEMAT NUMERU 4–13



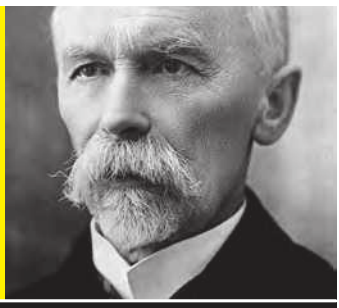
Ewa Curie. Antykomunistka, zapomniana córka noblistki / 4

IDEE 14–31



Hołd Tuska / 14

HISTORIA 32–59



Zdziechowski. To, co się stać musiało / 32

KULTURA 60–66



Żegnajcie, skubańcy! / 60

ŚWIAT 68–97



Reżim Putniewa / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Ewa Curie. Antykomunistka, zapomniana córka noblistki 4

IDEE

Piotr Grochmalski
Hołd Tuska 14

Ryszard Czarnecki
Tusk dla Berlina, Berlin dla Tuska... 19

Jakub Augustyn Maciejewski
Na krańcu człowieczeństwa. Stanisław Lem powraca 20

Grzegorz Wszołek
Big Tech wkracza w nasze życie 26

Małgorzata Matuszak
Pomiędzy życiem a śmiercią 29

HISTORIA

Dariusz Jarosiński
Zdziechowski. To, co się stać musiało 32

Agnieszka Kowalczyk
Z wędrówek po ziemi naszej 38

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wielka wojna ojca Goldmanna 44

Sebastian Reńca
Gleiwitz, *gorod* zdobyty 50

Jan Paweł II
Europa musi wrócić do korzeni 56

KULTURA

Sylwia Krasnodębska
Żegnajcie, skubańcy! 60

Krzysztof Karnkowski
Pożegnanie faceta z fajką 64

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Reżim Putniewa 68

Z Halmuratem Harrim Uyghurem rozmawia Hanna Shen
Xinjiang – chińskie ludobójstwo 74

Olga Doleśniak-Harczuk
Zastępy mini-Schröderów 78

Stefan Czerniecki
Ten pierwszy dzień... 82

oprac. Antoni Rybczyński
Podwójne wyzwanie: wojskowi USA głównych przeciwników widzą w Chinach i Rosji 91

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 96

Stałe **rubryki**



Katarzyna Gójska
Albicla.com poszerza przestrzeń wolności słowa
NA POCZĄTEK 3



Marek Kalinowski
Wymuszona „trójka”
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63



Małgorzata Matuszak
Czym jest... natura człowieka
KATECHIZM INTELIGENTA 67



Ryszard Czarnecki
14 lutego – Dzień Zakochanych... w historii Polski
CZARNECKO TO WIDZĘ 77



Olga Doleśniak-Harczuk
Kurs na Kanzleramt. Z kotem i bez niego
Z GLOBALNEGO TYGLA 94



Marcin Wolski
Jabłka i jabłonie
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Powrót do świata wartości
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 8877ab7377



Katarzyna Gójska

Albicla.com poszerza przestrzeń wolności słowa

Strefa Wolnego Słowa powiększyła się właśnie o kolejną platformę wolnej wymiany opinii. Powstał portal albicla.com dedykowany wszystkim tym, którzy nie chcą swoją obecnością w innych mediach społecznościowych uwiarygodniać prowadzonych przez nie akcji cenzorskich.

Wolność słowa staje się dobrem deficytowym. Nawet miejsca, w których wymiana myśli i informacji postrzegana była jako nieskrępowana i nieobarczona narzucanym przez media kontekstem – czyli portale społecznościowe – stają się areną ostrej walki ideologicznej, na którą wpuszczana jest bezwzględna cenzura. To, co miało gwarantować swobodę, jest wypaczane i używane do ograniczania prawa do wypowiedzi. Rzecz jasna, wszystkie te represje dotykają wyłącznie tych osób lub środowisk, których poglądy stoją w kontrze do lewicowego kanonu jedynie słusznych prawd. Tych z kolei nie krępuje już nic: ani rozum, ani logika, ani zwyczajna przyzwoitość. Ta sytuacja wymaga od nas działania. Bierność będzie jedynie zachęcała propagandowy walec do coraz bardziej zdecydowanej jazdy. Dziś trzeba upominać się o każdy centymetr wolności, o każde medium, w którym nie obowiązuje dogmat nieomylności lewicowych aktywistów. Strefa Wolnego Słowa powiększyła się właśnie o kolejną platformę wolnej wymiany opinii. Powstał portal albicla.com dedykowany wszystkim tym, którzy nie chcą swoją obecnością w innych mediach społecznościowych uwiarygodniać prowadzonych przez nie akcji cenzorskich. Jesteśmy, rzecz jasna, dopiero na początku drogi budowania zasięgu tego przedsięwzięcia, ale jego sukces w pierwszych dniach funkcjonowania pokazuje, jak duży ma potencjał. Oczywiście Albicla wymaga jeszcze wielu modernizacji, uruchomienia i usprawnienia funkcji, lecz ruszyła, jest i działa – będzie się rozwijać, wzmacniając wolność słowa. Ale potrzebuje ona nie tylko pracy informatyków, lecz także zaangażowania jej użytkowników – Państwa twórczości, aktywności i promowania jej wśród innych. Mamy bowiem prawdziwą szansę na stworzenie miejsca, w którym nikt nikogo nie będzie blokował za nazywanie aborcji zabijaniem bezbronnych dzieci, nikt nie będzie dyscyplinował za krytykę ideologii LGBT czy cytowanie Pisma Świętego. Miejsca, które będzie wolne od lewicowego szaleństwa i zakłamania. Już niebawem wystartuje również anglojęzyczna wersja albicla.com, bo w Europie nie ma medium społecznościowego dedykowanego użytkownikom o konserwatywnych poglądach. W Stanach Zjednoczonych takie przedsięwzięcia raczkują, na Starym Kontynencie Albicla będzie pierwsza. To stwarza ogromną szansę, tym bardziej że pierwsze dni działania nowego portalu społecznościowego pokazały, iż budzi on duże zainteresowanie wśród osób spoza Polski. Ale by ten projekt mógł być dalej rozwijany, konieczne jest wspieranie przez Państwa istniejących już mediów Strefy Wolnego Słowa – dziennika „Gazeta Polska Codziennie", tygodnika „Gazeta Polska", niniejszego miesięcznika, a także Telewizji Republika oraz portalu niezależna.pl. To dzięki tym mediom możemy iść dalej i budować Albiclę. ■



MAMY PRAWDZIWĄ SZANSĘ NA STWORZENIE MIEJSCA, W KTÓRYM NIKT NIKOGO NIE BĘDZIE BLOKOWAŁ ZA NAZYWANIE ABORCJI ZABIJANIEM BEZBRONNYCH DZIECI, NIKT NIE BĘDZIE DYSCYPLINOWAŁ ZA KRYTYKĘ IDEOLOGII LGBT CZY CYTOWANIE PISMA ŚWIĘTEGO. MIEJSCA, KTÓRE BĘDZIE WOLNE OD LEWICOWEGO SZALEŃSTWA I ZAKŁAMANIA.

eprasa.pl 8877ab7377



Piotr Lisiewicz

15-letnia Marysia Skłodowska wraz z koleżanką idą do szkoły, mijając Pałac Saski w Warszawie. „A pomnik! Wracajmy, zapomniałyśmy o pomniku!" – woła nagle Marysia. Dziewczynki wracają pod pomnik z napisem na cokole „Polakom wiernym swojemu monarsze". Car tak uczcił zdrajców powstania listopadowego. Przyszła noblistka soczyście spluwa na pomnik Polaków wysługujących się obcym potęgom. A potem, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, pędzi do szkoły, by nie spóźnić się na pierwszą lekcję.

eprasa.pl 8877ab7377

Ewa Curie. Antykomunistka, zapomniana córka noblistki



FOT. NAC

Taką scenę opisuje jej córka, Ewa Curie, w biograficznej opowieści „Maria Curie" z 1937 roku. Film nakręcony na jej podstawie wszedł na ekrany w 1943 roku i otrzymał siedem nominacji do Oscara.

Najpiękniejsza kobieta Paryża

Ewa Curie nazywana była wówczas najpiękniejszą kobietą Paryża, pokazywaną na okładce magazynu „Time", a także „Vogue" oraz „Paris Match". Jej matka tak żartowała wówczas z jej modowych upodobań: „Och, moje drogie biedactwo, jakież okropne obcasy! Nie, nigdy mnie nie przekonasz, że kobiety są stworzone do chodzenia na szczudłach. A to cóż za nowa moda dekoltowania się z tyłu? Z przodu jeszcze to wyglądało jako tako, ale te kilometry kwadratowe nagich pleców...".

Eve Curie, bo tak nazywali ją Francuzi, była też nominowana do Pulitzera za swoje wojenne reportaże „Podróż wśród wojowników", światowy bestseller. Czy zgadną Państwo, kiedy ukazało się pierwsze ich polskie wydanie? Otóż w 2017 roku! W PRL książka ukazać się nie mogła, bo autorka pisała w niej o zsyłkach i generale Władysławie Andersie.

A jak pisała? Ano tak: „Przypominam sobie wypowiedziane przy innej okazji słowa generała Andersa, dowódcy wojsk polskich w Rosji, dzielnego oficera, osiem razy rannego w czasie wojny z Niemcami, byłego jeńca sowieckiego: – Wrócimy do Polski. Nie wszyscy do niej dotrą. Ale Polska powstanie. Te proste słowa wywołały w mojej pamięci tysiączne echa: przecież to logiczny dalszy ciąg wspaniałej polskiej historii. Mało zmienia się dusza Polski w ciągu stuleci. Zniknął już raz z mapy świata ten niezniszczalny kraj, Ojczyzna mojej Matki, potem się odrodził, teraz zniknął znowu. Tak jak pływak, który raz się zanurza, a raz wypływa na powierzchnię".

Francuzka, która nigdy nie miała polskiego obywatelstwa, ale czuła się także Polką, pisała dalej o korzeniach myślenia Andersa: „Za każdym razem, kiedy Polak mógł odetchnąć i powiedzieć to co myśli, zawsze mówił to samo z wzniosłą nieugiętością. W 1834 roku będzie to Adam Mickiewicz, wołający we wstępie »Pana Tadeusza«: »...Ojczyzno moja – ty jesteś jak zdrowie. Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił...«. W 1863 roku będzie to bohater powstania styczniowego Ludwik Narbutt, który padłszy na polu walki zdołał jeszcze z uśmiechem na ustach wyszeptać: – Jakże jestem szczęśliwy. Umieram za Ojczyznę".

Odznaczona przez Ignacego Mościckiego i Lecha Kaczyńskiego

Ktoś pomyśli, że Ewa Curie nie wróciła po 1989 roku do naszej świadomości, bo to zamierzchła historia. Otóż nie, córka noblistki żyła niemal 103 lata i zmarła w 2007 roku, przyjmując odznaczenia z rąk dwóch prezydentów Polski: Ignacego Mościckiego i, krótko przed śmiercią, Lecha Kaczyńskiego.

Ona i jej historia musi do Polski powrócić teraz. I to się już dzieje, bo gdy ponownie pojawiły się książki, kropla zaczęła drążyć skałę. Jak doszło do tego, że Ewa Curie, niegdyś podejmowana przez głowy państw z całego świata, odchodziła zapomniana przez Polaków?

Może dlatego, że w przeciwieństwie do siostry, Ireny Joliot-Curie, również noblistki, która pod wpływem męża, Frédérica Joliot-Curie, przewodniczącego Światowej Rady Pokoju, została komunistką, Ewa przez całe życie stała po stronie wolności i dobra? Wystarczy wspomnieć, że przez Vichy Ewa pozbawiona została obywatelstwa i majątku, a gdy jej siostra wspierała Sowiety, Ewa była doradcą sekretarza generalnego NATO.

Ta jej postawa miała również polski kontekst. Waldemar Piasecki, dziennikarz ze Stanów Zjednoczonych, pisał o nim w „Dzienniku Wschodnim": „Gdy PKWN zakładał Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Ewa Curie – w przeciwieństwie do starszej siostry Ireny i jej męża Fryderyka Joliota – była zdecydowanie przeciwna legitymizowaniu przez rodzinę uczelni. Uważała, że władza jaka nadeszła ze Wschodu, w wyniku jałtańskich rozstrzygnięć Churchilla, Roosevelta i Stalina, jest dla Polski opresją. Irena i Fryderyk mieli inne zdanie, czemu dali także wyraz przyjmując doktorat honorowy UMCS".

„Oto wjeżdża człowiek, co kościoły kala"

Ewa Curie była przyjaciółką Jana Lechonia, chyba najostrzejszego antykomunisty wśród polskich poetów, który w liście do Mieczysława Grydzewskiego z 12 kwietnia 1948 roku wspominał moment, gdy Ewa i Irena w tym samych dniach znalazły się w Ameryce: „Była tu Ewa Curie w tym samym czasie, co jej siostra Pasjonazja Joliot. Zrobiła mi szalony apetyt na Paryż i jeśli Ty tutaj nie przyjedziesz – to ja jeszcze przed wojną wybiorę się w Wasze strony". Złośliwe określenie „Pasjonazja Joliot" dotyczyło Ireny Joliot-Curie, którą Lechoń porównywał do hiszpańskiej działaczki komunistycznej Dolores Ibarruri Gomez, ps. La Pasionaria.

Lechoń, który poznał Ewę Curie w latach 30., gdy pracował w ambasadzie polskiej w Paryżu, po upad-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 8877ab7377



Maria Skłodowska-Curie z córkami Ewą (z lewej) i Ireną, 1908 r.

epress.pl/247ab7377



ku Francji w 1940 roku zadedykował jej wiersz „Pożegnanie Marsylianki":

Jak to? Więc te zwycięskie z ciężkich spiżów działa
W dziedzińcu Inwalidów nieruchomo stały,
I Dziewica z chorągwią, co rwie się do chwały,
Na te wojska, wchodzące u stóp jej, patrzała,
Nienawistne, ciągnące w ciężki dzień upalny?
Jak to? I nic? I cisza w Inwalidów grobie?
I słońce pada ciągle na Łuk Tryumfalny?
I nic? I każdy śpieszy i myśli o sobie?

Dalej Lechoń pisał o tym, który podbija Paryż, a wcześniej zajął pozbawioną pomocy Francji Polskę:

Patrz! Oto wjeżdża człowiek, co kościoły kala
I wielkim bohaterom zagląda do trumny.
On bluźni: „Cóż się teraz oprze mojej mocy,
Gdy to miasto uklękło wśród mych armat huku?".

Lechoń w Nowym Jorku wydawał w tym czasie „Tygodnik Polski", w którym Ewa Curie opublikowała artykuł „Sześć spotkań z polskim wojskiem". Pisała w nim, że Polacy byli bardziej zaskoczeni klęską Francji niż... Francuzi: „Polacy bowiem mieli jeszcze w pamięci słowa Mickiewicza: »ja bym na Francuzów spuścił się w czasie wojny jak na czterech tuzów...«. Ciągle jeszcze dawne echo budziła w ich sercach strofa hymnu narodowego: »Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy...«".

Tamtej Francji już nie było i poza Francją miało toczyć się też późniejsze życie Ewy Curie, ale teraz spróbujmy opowiedzieć o nim w sposób uporządkowany...

Einstein drapie się po skałach

„Kiedy się urodziłam, matka moja miała lat trzydzieści siedem. Gdy podrosłam na tyle, aby móc ją zrozumieć i poznać, była już kobietą starą i bardzo sławną. A przecież ja nigdy w niej nie widziałam właśnie tej »słynnej uczonej«: zapewne dlatego, że myśl o własnej wielkości i sławie była dla Marii Curie czymś tak dalekim i nieważnym" – pisała w książce o matce Ewa.

Ewa urodziła 6 grudnia 1904 roku w Paryżu. Ojca, Pierre'a Curie, praktycznie nie poznała, bo zginął pod kołami powozu konnego, gdy miała dwa lata. Miała polską guwernantkę i po polsku mówiła zdecydowanie lepiej niż jej starsza o siedem lat siostra. W przeciwieństwie do niej nie chciała zostać naukowcem, bliższy był jej świat sztuki. O tym, że ma muzyczny talent, mówił sam Ignacy Jan Paderewski. Młodziutka Ewa zapamiętała go następująco: „Młody pianista jest uroczy – i wygłodniały. Zakochany i zdenerwowany, szczęśliwy i zrozpaczony. A kiedyś stanie się jednym z najgenialniejszych wirtuozów i – w swojej odrodzonej ojczyźnie – prezesem Rady Ministrów".

Amerykańska dziennikarka Shelley Emling w książce „Maria Skłodowska-Curie i jej córki" pisze o jej dziecięcej korespondencji z zapracowaną matką: „Ewa – choć miała dopiero siedem lat – już zdołała pokazać, że kariera naukowca to zdecydowanie nie dla niej. Jej listy są beztroskie, zdarza się, że nie dłuższe niż jedno zdanie".

Wśród wczesnych wspomnień Ewy pojawia się wycieczka z plecakiem w Alpy z mamą, siostrą, a także Albertem Einsteinem i jego synem. Ewa pisze, używając swojego genialnego poczucia humoru: „Einstein, zaabsorbowany, drapie się po skałach, mija, nie widząc ich nawet, groźne przepaści. Nagle zatrzymuje się, chwyta rękę Marii i woła: – Rozumie pani, chciałbym wiedzieć, co się dokładnie dzieje z pasażerami spadającej windy... Ta rozczulająca ciekawość pobudza do szalonego śmiechu młodą gromadkę, która nie przypuszcza wcale, że z tym wyimaginowanym spadaniem w windzie mogą się wiązać zagadnienia z dziedziny teorii względności!".

Polska, która kruszy kajdany

Jak pisze Shelley Emling, w młodości to zdradzająca naukowe ambicje Irena była w bliższych relacjach z matką. Później jednak się to zmieniło. W książce „Maria Curie" Ewa rekonstruuje, skąd wzięła się postawa życiowa matki. Opisuje rodziców Marii, którzy mieszkają w budynku warszawskiego „gimnazjum na Nowolipkach", w którym fizyki uczy jej ojciec Władysław Skłodowski. Na bramie gimnazjum widnieje napis: „II Warszawskaja Mużskaja Gimnazija". Ale w szkole rządzi kto inny. „Za tymi oknami mieszka człowiek, którego rodzina Skłodowskich nienawidzi i boi się najwięcej ze wszystkich ludzi na świecie. To pan Troickij, dyrektor gimnazjum. Ten, co w tych murach uosabia całą potęgę i całe okrucieństwo rządów cara".

Przyszłą noblistkę przepytuje wizytujący szkołę inspektor: „Jakie są imiona władców, którzy panowali w naszej ojczyźnie od czasu carowej matuszki Katarzyny II?". Bezbarwnym głosem Mania wylicza – poprawnie i jakby bezosobowo: „Paweł I, Aleksander I, Mikołaj I, Aleksander II, obecnie najmiłościwiej nam panujący".

Inspektor jest zadowolony. A dziewczyny odreagowują opowiadanie tych bredni pluciem na pomnik kolaborujących z Moskwą Polaków. Ewa opisuje najbardziej tragiczne chwile z życia Mamy: rozstrzelanie przez Rosjan brata jej koleżanki: „Nastąpiła noc, której dziewczęta nigdy nie zapomną. O której z dreszczem mówić będą nawet wówczas, gdy ich twarze pokryje

FOT. NAC

eprasa.pl 8877ab7377

sierść zmarszczek, a włosy staną się srebrzystobiałe. I gdy ich ojczyzna już od dawna będzie wielkim, wolnym państwem. Noc przed egzekucją"

Co zajmuje wtedy jej Mamę? „To sprawy związane z wielkim ideowym i myślowym ruchem ówczesnej naszej młodzieży... kształćmy się i idźmy uczyć tych, których rząd rosyjski utrzymuje w stanie umyślnej ciemnoty: robotników, chłopów, wszystkie niższe, uboższe warstwy polskiego społeczeństwa" – pisze córka. Matka czuje się socjalistką bliską PPS, uczęszcza na wykłady Uniwersytetu Latającego, niemniej „poczucie wewnętrznej niezależności duchowej każe jej zawsze odsuwać się od stronnictw politycznych, a patriotyzm odrzuca ją od marksizmu, od międzynarodówki. Przede wszystkim chce Maria służyć swej własnej ojczyźnie".

Gdy znajdzie się w Paryżu, wolność będzie dla niej szokiem: „Cudowne jest to, że każdemu na ulicy wolno głośno mówić, co myśli. Że w księgarni można kupić każdą książkę...". Przyszła noblistka „na jednym z patriotycznych obchodów występuje w »żywych obrazach« jako »Polska, która kruszy kajdany«. Tego wieczoru poważna i trochę dzika studentka zmienia się nie do poznania". Aż ojciec namawia ją do rezygnacji z podobnych demonstracji, tłumacząc, że w Paryżu na pewno jest pod rosyjską obserwacją, a ma wrócić do Warszawy...

Żyjąc jak dzieci żołnierzy

Matka-noblistka, niezależnie od naukowych zajęć, dba o córki. Choć czasem nie jest łatwo, na przykład wtedy, gdy Ewa ma 10 lat i wybucha I wojna światowa. Wielkie wynalazki matki służą rannym na froncie. Szczególnie wozy rentgenowskie pozwalające skutecznie pomagać rannym. Jak pisze Ewa, niektórzy lekarze nieufnie spoglądają na podobne osiągnięcia techniki i „dopiero po kilku udanych próbach... nie tają zachwytu, znalazłszy rzeczywiście w miejscu, wskazanym przez rentgenogram i przez Marię, odłamek pocisku, którego na próżno szukali przedtem swym skalpelem".

A córki w tym czasie? „Żyją mniej więcej tak jak dzieci żołnierzy. Ich matka daje sobie »urlop« tylko wówczas, gdy gwałtowny atak bólów nerkowych zmusi ją do parodniowego leżenia. Jeśli jest w domu, to znaczy – że jest chora. Kiedy nie jest chora – jest w Suippes, w Reims, w Calais, w Poperinghe w lub w którymś innym z tych trzechset czy czterechset francuskich i belgijskich szpitali, jakie odwiedziła w czasie wojny".

Matka nie uczy ich tchórzostwa. Ewa pisze: „Pozwala im zostać w Paryżu w r. 1918 w czasie bombardowania miasta z »grubej berty«. Zdaje mi się, że nie byłaby rada, gdyby jej córki okazały się zbyt ostrożne i wymagające".

Duet, który doskonale się uzupełniał

W 1921 roku matka z córkami płynie do Ameryki, gdzie witają je rozentuzjazmowane tłumy. Pada ze zmęczenia, odbierając kolejne hołdy dla zbawczyni świata, więc muszą zastępować ją córki. I oto dochodzi do sytuacji komicznych: przed Ewą, 16-latką, „wygłaszają dostojni panowie długie mowy, przygotowane dla pani Curie, pełne zwrotów o »jej wspaniałych dziełach«, o »długim życiu pracy« i, co gorsza, oczekują stosownej odpowiedzi!". Ta ich udziela... To dopiero szkoła życia!

Shelley Emling pisze: „Irena z Ewą stworzyły duet, który doskonale się uzupełniał. Ewa gustowała w wytwornych bankietach i urzekała gości błyskotliwą konwersacją, natomiast Irena, choć obcy ją onieśmielali, świetnie radziła sobie, gdy trzeba się było wypowiedzieć na tematy naukowe. Dziennikarze byli urzeczeni obiema dziewczynami, choć więcej miejsca poświęcali Ewie".

Siostrom najbardziej podoba się wycieczka do kanionu rzeki Colorado. Ewa pisze, że wraz z Ireną „szaleją z radości. Wszystko je bawi: i trzydniowa podróż przez piaski Teksasu, i urocze samotne stacyjki, tonące w upalnych słonecznych promieniach, i, zwłaszcza, jazda na indyjskich koniach... Groźna wizja tych skał, gór, piasków i zwałów kamieni".

Prezydent nie zwraca jaśka

Ewa, podobnie jak siostra, kończy studia na Collège Sévigné w Paryżu, uzyskując licencjat z nauk przyrodniczych i filozofii. W tym czasie w całej Polsce rozklejone są plakaty „Kupujcie cegiełki na Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie!". „Wreszcie w pewien słoneczny poranek 1925 r. prezydent Stanisław Wojciechowki uroczyście położył pierwszą cegłę przyszłego instytutu. Wojciechowski znał się z Marią z czasów jej studiów na Sorbonie. W pewnym momencie spytał ją: – Pamięta pani ten jasiek, który mi pani pożyczyła na drogę, gdy jechałem do kraju w tajnej misji politycznej? Ogromnie mi się wtedy przydał. – Pamiętam nawet, że mi go pan zapomniał zwrócić!" – taki dialog opisze Ewa.

Po wyjściu za mąż przez siostrę w 1926 roku, Ewa nadal mieszka z matką w Paryżu, opiekując się nią. Towarzysząc jej w podróżach po Francji, do Włoch, Belgii czy Szwajcarii. W 1932 roku razem z prezydentem Czechosłowacji Tomášem Masarykiem odbywają podróż do Hiszpanii.

Shelley Emling opisuje, jak Ewa czuwa przy chorej matce przed jej śmiercią. „Młodsza córka, by chronić matkę przed tą świadomością, zdecydowała nie wzywać rodziny, na której widok Maria na pewno zrozumiałaby prawdę" – pisze.

eprasa.pl 8877ab7377

Pokój za wszelką cenę to brak pokoju

Po wybuchu II wojny światowej w 1939 roku Ewa Curie została mianowana przez powieściopisarza i dramaturga Jeana Giraudoux, który został francuskim komisarzem do spraw informacji, kierownikiem oddziału kobiecego tegoż komisariatu. Po kapitulacji Francji przedostała się na pokładzie przepełnionego i ostrzeliwanego przez niemieckie samoloty statku do Anglii. Tam opowiedziała się za gen. Charlesem de Gaulle'em i siłami Wolnej Francji. Na skutek czego rząd w Vichy w maju 1941 roku odebrał jej obywatelstwo, skonfiskował też jej majątek pozostawiony w kraju.

O Polakach zdziwionych klęską Francji Ewa pisze: „Polacy zadali sobie po prostu pytanie: »Gdzie będziemy walczyli teraz?« – i udali się do Anglii... W tych dniach klęski pewien polski oficer pożyczył swój skórzany płaszcz kapitanowi Jean Becourt-Foch, wnukowi Marszałka Focha i dopomógł mu dostać się na pokład polskiego statku".

Ewa działa na rzecz sprawy polskiej, francuskiej oraz zaangażowania Ameryki w wojnę. W 1940 roku zostaje przyjęta w Białym Domu przez ówczesną pierwszą damę Ameryki Eleanor Roosevelt. Przebywając w USA stworzyła wraz z poznańskim reżyserem Romualdem Gantkowskim film przypominający Zachodowi o Polsce okupowanej przez Niemców „Kraj mojej matki". „The Land of My Mother" zawiera unikatowy, nagrany wcześniej na kolorowej taśmie filmowej reportaż z przedwojennej Polski.

Jak pisze Shelley Emling: „wykłady, które wygłosiła w różnych amerykańskich miastach, oficjalne promowały jej książkę o Marii Curie, jednak prawdziwym celem wizyty było przekonanie Amerykanów do udziału w wojnie". Eleanor Roosvelt zaprosiła Ewę na kolację i nocleg do Białego Domu. 9 kwietnia wygłosiła historyczne przemówienie w Amerykańskim Stowarzyszeniu Księgarzy w Nowym Jorku: „Zrozumieliśmy, że pokój za wszelką cenę oznacza brak pokoju. Zrozumieliśmy, że życie ludzkie ratowane za wszelką cenę nie ma żadnej wartości... Zrozumieliśmy, że jest coś straszniejszego, bardziej przerażającego niż śmierć: to życie w strachu".



Okładka magazynu „Time" z 12 lutego 1940 r. ze zdjęciem Ewy Curie

Katolicka wiara odrodzona w Sowietach

W 1941 roku rusza na front jako korespondentka wojenna „The New York Herald Tribune". Jak piszą Hanna Schreiber i Iwona Wojciechowska, autorki wstępu do polskiego wydania książki „Podróż wśród wojowników", jej relacje z frontów II wojny światowej były czytane zarówno przez najważniejszych polityków tamtych czasów, jak i rzesze zwykłych czytelników. W książce przedstawia sylwetki swoich rozmówców i najważniejszych pierwszoplanowych postaci światowej polityki, takich jak Roosevelt, Churchill, Sikorski, Anders, Czang Kaj-szek, Czou En-laj, Gandhi, Pahlawi i wielu innych.

Reportaż z Rosji nie budzi w Polakach najlepszego wrażenia – w Ewie Curie ujawnia się polityk, którym zresztą w jakimś stopniu zostanie. Sowiety opisuje jako mocno zaskakującego sojusznika antyniemieckiej koalicji. Oczywiste bzdury opowiadane jej przez podstawionych przez komunistów rozmówców pozostawia przeważnie bez komentarza.

Ale relacje ze spotkania z uwolnionymi przez Sowietów Polakami przedstawiają w mocny sposób polskie racje. W książce pisze: „Fantastyczne jest także to, że odrodzenie armii jednego z najbardziej katolickich krajów w Europie, jedynego całkowicie katolickiego kraju wśród Zjednoczonych Narodów nastąpiło w państwie, gdzie panuje komunizm i ateizm, i że formowaniu się nowych polskich pułków na terenie Związku Sowieckiego towarzyszył tak niezwykły wybuch wiary i żarliwej pobożności".

Plan Marshalla i wstyd dla rodziny

Po ukończeniu pisania reportażu Ewa wstępuje do ochotniczego korpusu kobiecego armii wygnańczej de Gaulla w Anglii. Przechodzi wyszkolenie szeregowca w koszarach, szorując podłogi, czyszcząc guziki od munduru i dzieląc wszystkie trudy musztry wojskowej.

Po wojnie z powodu poparcia Ireny dla komunistów jej losy z siostrą ostatecznie się rozchodzą. W sierpniu 1948 roku Irena odwiedza Polskę i haniebnie bierze udział w Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju. W tym czasie Ewa redaguje w Paryżu czołowy centroprawicowy dziennik „Paris-Presse". A w latach 1952–1954 zostaje doradcą sekretarza generalnego NATO, którym był wtedy Hastings Lionel Ismay.

19 listopada 1954 roku poślubia amerykańskiego polityka i dyplomatę Henry'ego Richardsona Labouisse'a. Jej mąż był dyrektorem zarządzającym misją Planu Marshalla dla Francji. Tymczasem jej siostra Irena wraz mężem Plan Marshalla, realizowany

eprasa.pl 8877ab7377



eprasa.pl 8877ab7377



FOT. NAC

z myślą o tym, że silna Europa równa się skutecznej walce z komunizmem, uważali za „imperialistyczną ingerencję w wewnętrzne sprawy innych krajów".

Lechoń pisze w swoich „Dziennikach": „Ewa Curie wyszła dzisiaj za mąż za jakiegoś niby ważnego Amerykanina francuskiego pochodzenia. Nie chcę powiedzieć za dużo, ale mam dzień przez to popsuty. Gdzieś na dnie serca miałem nadzieję, że to będzie jednak moja przyszłość, że – jak mówili romantycy – »nasze dusze należą do siebie« i że kiedyś się połączą. Ewa Labouisse, Madame Labouisse – co to jest i co to będzie?".

W 1965 roku sekretarz generalny ONZ zaproponował mężowi Ewy objęcie stanowiska dyrektora organizacji UNICEF, zajmującej się pomocą dla dzieci. Jako wysłannik UNICEF-u odwiedził wraz z żoną ponad sto krajów. Koszty podróży Ewy pokrywali zawsze z własnej kieszeni. Ewę często nazywano pierwszą damą UNICEF-u i niezmordowaną obrończynią praw dzieci. A jej mąż 10 grudnia 1965 roku odebrał w imieniu organizacji Pokojową Nagrodę Nobla. Ewa z właściwym sobie poczuciem humoru mówiła: „Medali noblowskich w rękach rodziny jest pięć. Dwa mamy, jeden ojca, po jednym siostry Ireny i jej męża Fryderyka. Mój małżonek, Henry Labouisse, otrzymywał go jako dyrektor generalny UNICEF. Jedyną osobą, która nie dostała tego medalu, jestem ja. Wstyd dla rodziny".

Jej serce biło zawsze dla Polski

Do Polski przyjechała dopiero w 1999 roku na uroczystość odsłonięcia pomnika Armii Krajowej przed Sejmem RP. Do III RP nie do końca była przekonana. Jak pisał Waldemar Piasecki: „do nowej ojczyzny ostatecznie przekonało ją wstąpienie Polski do NATO", czyli organizacji, którą współtworzyła. Piasecki pisze: „Kiedy Ewa Curie obchodziła setne urodziny, nie brakowało jej dowodów pamięci od sekretarza generalnego ONZ czy prezydentów Francji i USA. Tylko polskiego nic nie było [...] Z okazji 100-lecia urodzin Ewy Curie rząd Marka Belki zdecydował, że szczeblem stosownym do wysłania życzeń będzie minister nauki. Ten skierował je do... Paryża, choć Ewa już tam od pół wieku nie mieszkała".

Na YouTube obejrzeć można filmik polonijnej TV Antenna, na którym widać, jak dziarsko poruszająca się 101-latka, niewyglądająca zupełnie nas swój wiek, rozmawia przy okazji odznaczania przez Lecha Kaczńskiego z polonijnym dziennikarzem, a ten relacjonuje: „Jej serce biło zawsze dla Polski, jeszcze w maju tegoż roku zapytana przeze mnie, kim tak naprawdę się czuje, odpowiedziała: »Polką«". Zmarła we śnie 22 października 2007 roku w swojej rezydencji na Sutton Place na Manhattanie. ■

eprasa.pl 8877ab7377

Piotr Grochmalski

HOŁD TUSKA





fot. Xinhua/ PAP/News Pictures

Donald Tusk tak naprawdę jest dziełem Angeli Merkel. Wszyscy w Europie wiedzieli, że to ona wybrała go na przewodniczącego Rady Europejskiej. Przekonała Brytyjczyków i Francuzów, bardzo długo niechętnych wobec tej kandydatury. To też ona, wbrew polskiemu rządowi i polskiej racji stanu, przeforsowała go na drugą kadencję. Tuż przed finalnym rozstrzygnięciem, Merkel w niemieckim parlamencie zachwalała izbie, która dba o niemiecką rację stanu, że Tusk zostanie wybrany. Niemieckie media ogłosiły, iż Tusk „Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec". To oczywisty klucz do zrozumienia całej kariery tego polityka. Skuteczny instrument realizacji niemieckich interesów.

Nie tylko w Polsce dostrzeżono kelnerską czołobitność byłego szefa Rady Europejskiej, z jaką zwrócił się publicznie do kanclerz Angeli Merkel i niemieckich towarzyszy [16 stycznia bieżącego roku z okazji zjazdu CDU – przyp. red.]. Daniel Brössler, dziennikarz „Süddeutche Zeitung", wytłuszczonym drukiem informował w artykule z 17 stycznia, jak to „Donald Tusk, szef Europejskiej Partii Ludowej, na zjeździe partii CDU walczy o użycie większej siły przeciwko nacjonalizmowi Węgier". Dziennikarz podkreślił, iż oczekiwano, że wystąpienie byłego polskiego premiera będzie typowe, standardowe. „Ale Donald Tusk od samego początku nadał taki ton, że

eprasa 8377ab7377

skłonił ludzi do zwrócenia na siebie uwagi". Dziennikarz nie poinformował, że Tusk mówił do Merkel po niemiecku. „To w dużej mierze dzięki Tobie wolność, uczciwość, przejrzystość, prawda i rozum nie przegrały w walce z autorytarnymi tendencjami, z korupcją, kłamstwem i populizmem". Powiedział to po tym, jak Angela Merkel, w krytycznym momencie europejskiej walki z pandemią, złamała solidarność UE i zakupiła, za plecami innych przywódców, dodatkowe szczepionki dla Niemców. Wcześniej twardo walczyła o to, aby narody Unii działały w tej sprawie wspólnie. Merkel pokazała, że życie Niemca jest jej zdaniem więcej warte niż życie innych Europejczyków, w tym rodaków Tuska. W innym fragmencie, przytoczonym przez Brösslera były premier RP twierdził, że „Jeśli nie straciliśmy wiary, że zjednoczona Europa ma przyszłość i że nasze wartości mają znaczenie, to jest to także wynik waszej konsekwencji, waszej cierpliwości i po prostu waszej przyzwoitości". Te słowa niemiecki dziennikarz skomentował następująco: „Schlebiał Tusk swoim kolegom z niemieckiej partii na tle Gdańska". Widać, nawet dla Brösslera było to niesmaczne przedstawienie. Nie próbował nawet ukrywać swojej ironii i dostrzegł staranną reżyserię Tuska – a szczególnie dobrze dobrane tło, miłe dla niemieckiego oka.

▶ Zniesmaczony niemiecki dziennikarz

Daniel Brössler starał się wybierać z przemówienia Tuska te wypowiedzi, które nie ośmieszały go zupełnie, ukazując skalę jego zapamiętania w hołdowaniu Merkel. Dlatego poniższych słów nie ma w tekście opublikowanym w „Süddeutche Zeitung": „Jakby ktoś mnie zapytał, na kogo naprawdę mogłem liczyć w naszych staraniach o utrzymanie wysokich standardów naszego publicznego życia, to bez wahania wskazałbym na CDU. To CDU zawdzięczamy w dużej mierze, że nie zatraciliśmy wolności, uczciwości, przejrzystości i prawdy w walce z tendencjami autorytarnymi, z korupcją, kłamstwem i populizmem. Wasz sposób rządzenia był i jest błogosławieństwem nie tylko dla Niemiec, ale i całej Europy, dla waszych wschodnich sąsiadów, a jako Polak wiem, o czym mówię. Również dla państw Bałkanów i ich marzeniu o Europie oraz Ukraińców w ich walce z agresją". Tusk doskonale wie, że Merkel zrobiła wszystko, aby przejść do porządku dziennego nad gigantyczną aferą korupcyjną, jakiej dopuścił się jej poprzednik – kanclerz Gerhard Schroeder. Pod koniec sprawowania swojego urzędu zagwarantował miliardy euro wsparcia z niemieckiego budżetu dla Nord Stream. Merkel odkryła ten fakt dopiero wówczas, gdy zwrócono się do niemieckiego rządu o przelanie pieniędzy na tę inwestycję, która była strategicznym projektem niemiecko-rosyjskim. W tym czasie Schroeder pracował już dla Putina, otrzymując za swe usługi wysoce godziwe łapówki. Wszystko działo się przy otwartej kurtynie. Jak widać, walka Merkel z korupcją i kłamstwem nie przeszkodziła jej w otwartym przyzwoleniu dla Putina do korumpowania niemieckich polityków. Tusk doskonale to wszystko wie. Ma też pełną świadomość, że gdyby nie było Nord Stream, Rosja nie odważyłaby się na wojnę z Ukrainą. Nie doszłoby, w imię realizacji chorych ambicji Berlina, do dramatycznej, geopolitycznej katastrofy. Jej skutki nadal odczuwa Europa. Merkel też to wiedziała, że jej działania zachęcają Putina do agresji. To jest polityczny elementarz. Bez tej inwestycji dostawy rosyjskiego gazu na Zachód nadal musiałyby biec głównie przez Ukrainę. A to powodowałoby, że Kijów – w odpowiedzi na groźby Moskwy – mógł zakręcić kurek.

▶ Tusk chce węgierskich głów

Niemiecki dziennikarz opisuje w artykule, jak Tusk wprost domagał się wyrzucenia węgierskiego Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej (EPL). Widać uznał, że jako szef EPL zdobędzie dodatkowe punkty, gdy na forum potężnej CDU, która faktycznie decyduje o wszystkim w EPL, pokaże swoją nadgorliwość i gotowość do dalszej wiernej służby w imię niemieckich interesów. Sądząc, że takie są oczekiwania wobec niego, uniesionym głosem zwracał się do zebranych: „Apeluję do waszej niezłomności w naszej wspólnej walce o liberalną demokrację, także w naszych własnych szeregach... trzeba teraz podjąć trudne decyzje w obronie naszych wspólnych wartości". Typowa logika Tuska – w imię demokracji złamać demokrację i wyrzucić Węgrów. Naciskał, przekraczając granice dobrego smaku: „Jasne stanowisko z waszej strony będzie czynnikiem decydującym i dlatego jest na wagę złota". Nie zrozumiał, jaka wyznaczona została mu rola. W swoim „szczerym" dzienniku, opisującym jego urzędowanie w Brukseli, Tusk opisuje, jak podczas obchodów 10-lecia niepodległości Czarnogóry całe swoje przemówienie wygłosił po czarnogórsku. Jak zaznacza, wywołał takie wrażenie, że prezydent Dukanović

eprasa.pl 8877ab7377

miał łzy w oczach – „taki wielki chłop, a wzruszył się jak dziecko. To najprostszy sposób, aby w krajach, które wciąż czują, że są trochę na uboczu i gdzie odczuwalny jest deficyt prestiżu, okazać ludziom szacunek" – skomentował „szczerze" w swoim dzienniku. Mamy uwierzyć, że z tego samego powodu przemówił do Merkel w jej języku? Trudno nadążyć za „szczerością Tuska".

Dobry Tusk

Tusk w swoich dziennikach podkreślał: „Przyjąłem taką zasadę, że będę stał zawsze po stronie najmniejszych, najsłabszych albo najbardziej zagrożonych państw członkowskich". Oczywiście „szczerze" wierzymy. W innym miejscu pisze „To już trzeci król w naszej stajence. Wilhelm-Aleksander, król Niderlandów, człowiek dość niezwykły i zwyczajnie bardzo fajny. [...] uśmiecha się do mnie łobuzersko". W innym miejscu rzuca od niechcenia „Lubię szczyty G7. Umożliwiają prawdziwą dyskusję. Przy stole siedzą tylko liderzy najbogatszych państw świata oraz Unii Europejskiej". Trudno zrozumieć, czy Tusk rzeczywiście ma świadomość swojego kabotyństwa. W jednym z najbardziej dramatycznych fragmentów jego zapisu, nieopatrznie, nieświadom tego zupełnie, ukazuje twardy mechanizm łamania kołem Grecji przez niemiecką kanclerz. Pod datą 12 lipca 2015 roku pisze: „Tego było za wiele nawet dla Merkel. Angela jest zawsze przygotowana do dyskusji o najmniejszych drobiazgach, przy każdej okazji precyzyjnie i z pasją tłumaczy Tsipasowi [premier Grecji – przyp. P.G.], co należy zmienić w greckim systemie emerytalnym, w prawie pracy i jak ograniczać wydatki". Tak to wygląda owe wsparcie dla słabszych. Czy tak przebiegały rozmowy Tuska-premiera z kanclerz, jak podporządkowywać polskie interesy niemieckim? Ale ta scena ma ciąg dalszy: „Merkel mówi, że to już koniec. Tsipas, blady, też już nie chce dłużej rozmawiać. [...] Wybaczcie, ale nie wypuszczę was stąd" – te ostatnie słowa wymówić miał Tusk. Do dzisiaj nie rozumie rzeczywistego znaczenia tej sceny, którą sam opisał. W ten sposób Merkel dokonała skutecznego eksperymentu na Grecji, jak pozbawić to państwo wielu kluczowych atrybutów suwerenności i zrobić to rękoma takich ludzi jak Tusk.

System lemingów i sługusów

Trudno nie odnieść wrażenia, że Tusk nie pojmuje, iż na łamach owego do granic absurdu nieszczerego dziennika pokazał rzeczywiście całą prawdę o sobie jako człowieku, który niewiele rozumiał z wydarzeń, w których brał udział. I o faktycznej roli, jaką odgrywał. Zadziwia, jak Tusk fałszuje swoją pozycję wobec Merkel. Pierwszy raz wspomina o tej kobiecie, która uczyniła go przewodniczącym Rady Europejskiej, na stronie 31. swego dziennika, gdy twierdzi, że rozmawiał z nią o wojnie na Ukrainie („To od niej w dużej mierze zależy postawa całej Unii wobec Ukrainy"). Na wcześniejszych stronach pojawiają się dziesiątki innych nazwisk polityków. A Merkel, z którą musiał do tej pory rozmawiać setki razy (choćby podczas ugadywania swojej kandydatury), nie występuje w jakimkolwiek kontekście. Nawet nie dzwoni do niego, aby mu pogratulować. Jakby unikał pisania o niej, aby nie wyszło, jaka była jego rzeczywista rola. Świadczy o tym opis wydarzenia z 11 stycznia (s. 25) – marsz solidarności w Paryżu po zabiciu dziennikarzy z „Charlie Hebdo" przez fundamentalistów islamskich. Tusk opisuje, jak przepycha się z Grasiem przez tłum do pierwszego rzędu. Dostrzega, że „Król Jordanii trzyma mocno za rękę swą piękną małżonkę Ranię, ale po chwili rozdziela ich tłum". Pisze: „Po mojej lewej stronie idzie palestyński prezydent Abbas, gdzieś po prawej izraelski premier Netanjahu. Bardzo symboliczne". Na następnej stronie Tusk publikuje wybrane przez siebie zdjęcie. A na nim widać, jak trzyma ramię Abbasa (po lewej), a po prawej mocno wisi na ramieniu Angeli Merkel. Zadziwiające – Tusk zmanipulował przekazem, aby nie opisać, że idzie u boku kanclerz Niemiec, najpotężniejszego polityka UE. Po co to zrobił?

Gertrud Höhler w biografii Merkel pisze, że dwór, który stworzyła wokół siebie, ów „System M opiera się na lemingach i sługusach". Paradoksalnie Tusk doskonale spełnia równocześnie oba te kryteria. Podczas swego wystąpienia na zjeździe CDU dał temu pełny wyraz. Powiedział wówczas: „Jeśli w ogóle o jakiejś partii można powiedzieć, że jest przyzwoita, to jest to największy komplement, jaki mogę sobie wyobrazić. Dziękuję też za pierwszorzędne polityczne przywództwo w drastycznym momencie naszej historii. Pandemia, brexit, podziały w łonie Unii, chaos, który panuje za Atlantykiem – razem doprowadziły do ekstremalnie ciężkiego egzaminu dla cierpliwości, skuteczności i odpowiedzialności. A ciężar tej odpowiedzialności w ostatnich miesiącach spoczywał na trzech wspaniałych kobietach: Angeli Merkel, Annegret Kramp-Karrenbauer i Ursuli von der Leyen".

eprasa.pl 8877ab7377

To nie Merkel, to Prawda

Tusk czuje respekt przed Merkel. Boi się jej, ale jest jej bezgranicznie posłuszny. Tak naprawdę jest jej dziełem. Wszyscy w Europie wiedzieli, że to ona wybrała Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej. Przekonała Brytyjczyków i Francuzów, bardzo długo niechętnych wobec tej kandydatury. Miesiące tajnych negocjacji dotyczących Tuska, skrywanych za publicznymi deklaracjami, że europejska polityka go nie interesuje, że walczy o to, żeby szefem unijnej dyplomacji został Radosław Sikorski. W tym czasie już dawno przystał na propozycję Merkel i stał się jej kandydatem. To też ona, wbrew polskiemu rządowi i polskiej racji stanu, przeforsowała go na drugą kadencję. Tuż przed finalnym rozstrzygnięciem, Angela Merkel w niemieckim parlamencie zachwalała izbie, która dba o niemiecką rację stanu, że Tusk zostanie wybrany. Niemieckie media („DieWelt" – flagowy tytuł koncernu Axel Springer na rynku prasy opiniotwórczej) ogłosiły, iż Tusk „Jest Polakiem, ale gra w drużynie Niemiec". To oczywisty klucz do zrozumienia całej kariery tego polityka. Skuteczny instrument realizacji niemieckich interesów. Aby ukryć tę oczywistą prawdę, Tusk wymyśla w swoich dziennikach bajkę, że to David Cameron i Matteo Renzi są przyczyną jego wyboru. O Renzim pisze: „Jestem w jakimś sensie jego dłużnikiem. To on uparł się, żeby Federica Mogherini została Wysokim Przedstawicielem, czyli szefem europejskiej dyplomacji, co zamknęło drogę Radkowi Sikorskiemu, naszemu kandydatowi na to stanowisko. Skoro funkcja Wysokiego Przedstawiciela dostała się południu Europy, to wraz z premierami naszego regionu uparliśmy się, że szef Rady ma być ze wschodu". I druga bajkowa wersja: „Lubię Camerona... Jest bardzo brytyjski, absolutna elita, podobno jest potomkiem króla Wilhelma IV, kończył Eton i Oxford. [...] To on jako pierwszy publicznie poparł moją kandydaturę na szefa Rady. Bez jego deklaracji nie zdecydowałbym się na kandydowanie". Jest i trzecia wersja: „Wieczorem przychodzi ambasador Marek Prawda, przedstawiciel Polski przy Unii...Właśnie go wyrzucają w ramach czystek. W czerwcu 2014 r. spytał mnie na lotnisku w Brukseli, czy już zdecydowałem się kandydować na szefa Rady. Odpowiedziałem, że wręcz przeciwnie. I wtedy ten zawsze spokojny [...] człowiek zaczął mówić podniesionym głosem, [...] że nie mam prawa tego robić, że Polska takiej szansy długo nie dostanie... Chyba właśnie wtedy zacząłem serio myśleć o Brukseli".

Jest łatwo sterowalny

W dzienniku uderza jedno. Brak jakichkolwiek śladów jego aktywności jako przewodniczącego Rady Europejskiej na rzecz Polski. Nic. Pusto. Oto opis spotkania z prezydentem Dudą, który „przyleciał porozmawiać o agendzie europejskiej, brexicie, gazociągu Nord Stream, migracji i Ukrainie". Tusk to wylicza, ale o czym pisze? „Na konferencji prasowej żartobliwie wzywam go [prezydenta Dudę – przyp. red.] do przejścia na jasną stronę mocy. Trochę zaniemówił, ale jakoś wybrnął". Jak to kontrastuje z jego poddańczym uniżeniem wobec Merkel. Pisze: „Rada ma nowego sekretarza generalnego. Odchodzi Niemiec Uwe Corsepius, będzie doradzał Merkel w sprawach europejskich. Jest chyba nieszczęśliwy, że go ponownie wezwała do Berlina, ale poczucie służby i dyscypliny ma we krwi".

Dla Tuska Merkel „jest niezniszczalna". Ustawicznie zabiega o jej względy. Reaguje na każdy objaw niezadowolenia z jej strony. Tak było 8 listopada 2015 roku, gdy przyleciał na spotkanie z Merkel. Pisze: „Merkel z lekkimi pretensjami, że w jakimś wywiadzie skomentowałem negatywnie jej politykę migracyjną". Wygląda na to, że Tusk najwięcej czasu poświęcał wychwytywaniu niuansów w zachowaniu Merkel i błyskawicznym na nie reagowaniu. Zbigniew Parafianowicz na łamach „Gazeta Prawnej" jeszcze w 2017 roku pisał: „Angela Merkel promuje kandydaturę byłego premiera Polski, bo na rękę są jej dwie rzeczy: że jest łatwo sterowalny i że podziela stanowisko Niemiec w kwestii negocjacji z Londynem o brexicie". A potem wielokrotnie podkreślała w wywiadach, że „nigdy nie zawiodła się na Donaldzie Tusku".

Swoim hołdem złożonym Angeli Merkel na zjeździe CDU w pełni potwierdził głęboką lojalność i oddanie w pracy na rzecz ojczyzny pani kanclerz. Gertrud Höhler, oceniając karierę Merkel, stwierdziła, iż „w zjednoczonych Niemczech na polityczny szczyt może trafić człowiek negujący wszelkie wartości, które wyznają partnerzy ze starego zachodniego świata; należą do nich normy prawne, umowy, wolność konkurencji i kanon podstawowych zasad moralnych". Merkel doskonale rozpoznała w Tusku ten potencjał relatywizmu. W historii państwa polskiego trudno znaleźć drugiego takiego polityka, który tak wiele dobrego zrobiłby dla Niemiec kosztem interesów swojej ojczyzny. ■

eprasa.pl 8877ab7377

Ryszard Czarnecki

Tusk dla Berlina, Berlin dla Tuska...

Przewodniczący Tusk, pokazując, że w praktyce politycznej jest pasem transmisyjnym władz Republiki Federalnej do Polski, walczy o kolejną kadencję na stanowisku szefa europejskich ludowców lub w przyszłości coś innego, co spadnie z unijnego stołu obsługiwanego przez Niemcy.

Donald Tusk jest laureatem nagród fundowanych przez niemieckie i austriackie fundacje oraz uczelnie. Jego działalność pozapolityczna – znany album fotograficzny o Gdańsku, a zwłaszcza jego wymiar historyczny – zyskiwała uznanie niemieckich kręgów opiniotwórczych. Bez poparcia Berlina i osobistego kanclerz Angeli Merkel ówczesny premier „z Sopotu" nie miałby szans na uzyskanie stanowiska – i to dwukrotnie – przewodniczącego Rady Europejskiej.

Przypomnijmy, że w latach poprzedzających nowe unijne rozdanie w 2014 roku o stanowisko Sekretarza Generalnego NATO ubiegał się Radosław Sikorski. Gdyby je uzyskał, wówczas byłoby niemożliwe, aby Polska otrzymała drugie kluczowe stanowisko w strukturach międzynarodowych. Skądinąd poza tą porażką Sikorski przegrał wcześniej w 2010 roku prawybory prezydenckie w Platformie Obywatelskiej na rzecz Bronisława Komorowskiego.

W 2014 roku w praktyce Tusk – jako szef rządu – nie tylko nie zaangażował się w kampanię Sikorskiego, lecz... wręcz ją publicznie wykpiwał, choćby w znanym wywiadzie dla „Polska The Times". Co więcej, gdy kończyła się druga kadencja Komisji Europejskiej ekspremiera Portugalii José Manuela Barroso i przymierzano się do podziału stanowisk, znowu wystartował Radosław Sikorski. Tym razem walczył o stanowisko niegdyś zajmowane przez Hiszpana Javiera Solanę, który po tym, jak był Sekretarzem Generalnym NATO, piastował też funkcję HR (czyli High Representative) – Wysokiego Przedstawiciela Unii Europejskiej ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. Oczywiście Sikorski znowu, zapewne o tym nie wiedząc, znalazł się na kursie kolizyjnym ze swoim politycznym i rządowym pryncypałem – Donaldem Tuskiem. Tyle że niegdysiejszy lider Kongresu Liberalno-Demokratycznego publicznie zaprzeczał, że kandyduje na przewodniczącego RE, choć wszystko miał już ustalone z Frau Kanzlerin. Zaś ekssenator PiS (sic!) i na początku lat 90. laureat „Gazety Polskiej", prowadził kampanię medialną, nie wiedząc, że karty w dużym stopniu zostały już rozdane.

Wspominam tę sytuację sprzed siedmiu lat, aby pokazać, że Niemcy konsekwentnie grały nie na tego, który w wykładach i wywiadach domagał się... wyraźnego zwiększenia ich roli w Unii Europejskiej (Sikorski), tylko na tego, który po cichu, bez rozgłosu, gwarantował Niemcom zachowanie ich strategicznych interesów nad Wisłą, Odrą, Wartą i Bugiem, ale też szerzej: w ramach Grupy Wyszehradzkiej.

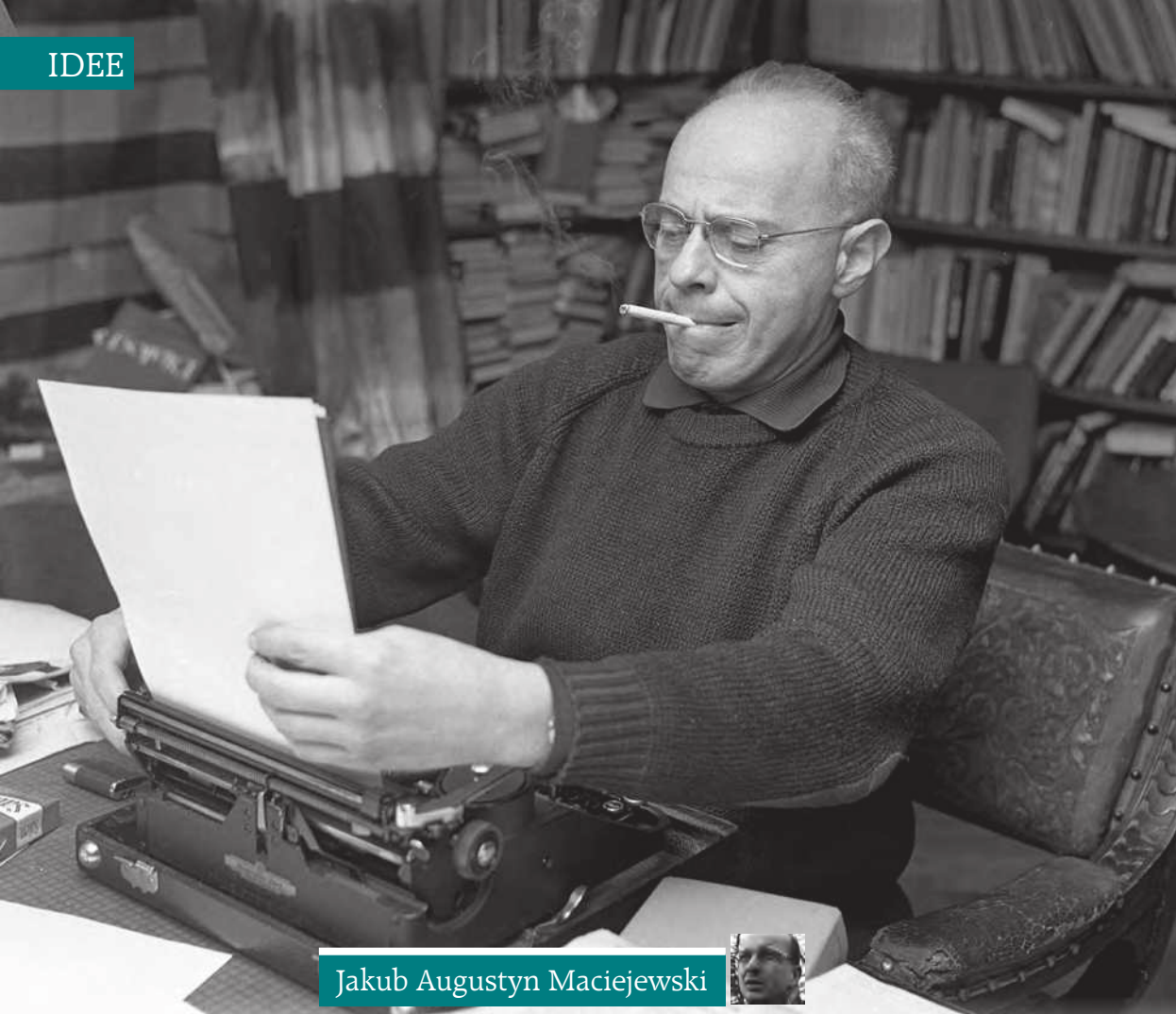
Charakterystyczne, że czasem Donald Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej werbalnie prezentował stanowisko nieco inne niż Niemcy, na przykład w kwestii polityki migracyjnej. Jednak gdy dochodziło do kluczowych rozstrzygnięć, Merkel zawsze mogła na niego liczyć. Spektakularnym tego przykładem była decyzja zaufanej współpracowniczki Tuska, premier Ewy Kopacz, która pod jego ewidentną presją zerwała ustalenia przyjęte przez cztery państwa V4 i wbijając nóż w plecy Pradze, Bratysławie i Budapesztowi, poparła relokację imigrantów spoza Europy do naszego kraju i „kwoty" dla uchodźców. Ta decyzja rządu w Warszawie tuż przed wyborami w 2015 roku – przyjęto ją we wrześniu – z całą pewnością przyczyniła się do porażki wyborczej koalicji PO-PSL. Jednocześnie pokazała Niemcom, że Tusk będzie dotrzymywał zobowiązań wobec Berlina, nawet gdy mogą one słono kosztować jego macierzystą partię w kraju.

Nie dziwmy się zatem, że jako szef Europejskiej Partii Ludowej, następca Wilfrieda Martensa i Josepha Daula, pobierający 6 tys. euro miesięcznie Donald Tusk pasuje głównej akuszerce EPP, czyli niemieckiej CDU. Wbrew niektórym jego krytykom w Polsce nie razi mnie to, że Tusk do Niemców zwraca się po niemiecku, lecz to, co w tym języku wyraża.

Przewodniczący Tusk, pokazując, że w praktyce politycznej jest pasem transmisyjnym władz Republiki Federalnej do Polski, nie buduje sobie – wbrew pozorom – pozycji politycznej w Polsce, lecz walczy o kolejną kadencję na stanowisku szefa europejskich ludowców lub w przyszłości coś innego, co spadnie z unijnego stołu obsługiwanego przez Niemcy.

Ot, i cała filozofia polityka, który konsekwentnie stawiał na Niemcy. Zresztą z wzajemnością... ■

eprasa.pl 8877ab7377



Jakub Augustyn Maciejewski

NA KRAŃCU CZŁOWIECZEŃSTWA. STANISŁAW LEM POWRACA

Powiedzieć, że futorolog Stanisław Lem przewidywał kierunki rozwoju ludzkości, to jak nic nie powiedzieć. Wybitny umysł zapisał nam przestrogę przed popadnięciem w niewolę technologii, która dziś ziszcza się na naszych oczach. Rok Stanisława Lema to pora na odświeżenie jego proroctw.

eprasa.pl 8877ab7377

Trzeba będzie przypomnieć kilka niejednoznacznych postaw Stanisława Lema, tych – typowych dla PRL-owskiej inteligencji – kart biografii, które nie pozwolą mianować go bohaterem czy intelektualistą sprzeciwiającym się reżimowi – ale przede wszystkim pisarzowi należy oddać największy laur filozoficzno-literacki. W podrzędnie prowincjonalnym intelektualnie PRL-u Stanisław Lem opracował koncepcje, które popłynęły pod prąd całego światowego mainstreamu, a powieści, które te treści poniosły w świat, okazały się znakomite literacko, powalając niczym w nokaucie autorów science fiction na całym globie. Gdyby urodził się Amerykaninem, byłby pewnie laureatem literackiego Nobla albo milionerem, którego dzieła przenoszono by masowo na srebrny ekran. Sława i finanse nie przebiły PRL-owskiego szklanego sufitu, ale wielkość intelektualna pozostała na wyżynach filozoficznego Olimpu. Stanisław Lem jako jeden z nielicznych twardo i konsekwentnie twierdził, że technologia nigdy (!) nie będzie wolna od wad projekcyjnych ułomnego człowieka, że rozum ludzki zawsze (!) będzie poznawczo ograniczony, a scalanie człowieka z maszyną (transhumanizm) zaprowadzą ludzkość na manowce.

Wizja świata zdominowanego przez maszyny nie była u Lema prostym, popkulturowym buntem robotów – była egzystencjalną klęską człowieka, który uwierzy w siebie i swoje dzieła, a potem z hukiem rozbije się w gąszczu nieprzewidzianych skutków. O tym czytamy już w stosunkowo lekkich „Opowieściach o pilocie Pirxie", w nieco bardziej skomplikowanych „Dziennikach gwiazdowych" oraz w klasycznym dla literatury science fiction, najsłynniejszym „Solaris" czy „Głosie Pana". W epoce kompletnego szaleństwa ludzkości na punkcie techniki, podbojów kosmicznych czy narodzin informatyki i cybernetyki jeden Stanisław Lem wysyłał w świat literacki komunikat: hola, hola, niewiele z procesu rozwoju technologii rozumiecie.

I miał rację.

Bez brązowienia

Jednak zanim dotkniemy robotów, kosmitów, klonów i wehikułów czasu, które u pisarza nie były gadżetami, a nośnikami współczesnych dylematów ludzkości, trzeba przypomnieć jego niewybitne życie osobiste, biograficzne ścieżki literackiego życia PRL, w którym wielu wdepnęło w komunistyczne błoto. Lem nie wszedł co prawda na poziom kolaboracji spod znaku Putramenta, Zawieyskiego czy Iwaszkiewicza, ale socjalizmowi ukłonił się nieraz. Jego pierwsza powieść, „Szpital przemienienia", była bardzo realistyczna i opisywała niemiecką eksterminację pensjonariuszy szpitala dla psychicznie chorych, słynną historię lekarza Karola Mikulskiego, który przed wojną był eugenikiem, a w obliczu nadejścia nazistów zginął za swoich niepełnosprawnych podopiecznych. Gdyby Lem pisał w wolnej Polsce, to może nie zostałby pisarzem science fiction, bo ucieczka w daleką literacką i naukową fikcję ratowała przed cenzurą. „Szpital przemienienia" był tyle razy przerabiany przez stróży socjalistycznej moralności, że początkujący pisarz zniechęcił się do pisania pod dyktando urzędników Polski Ludowej. Umieszczenie jego bohaterów w kosmosie albo w kontakcie z obcymi, dawało mu większą swobodę w pisaniu, choć autor „Solaris" w czasach stalinowskich nadal kłaniał się komunistom. W „Obłoku Magellana" oprócz psychologicznych dylematów kosmonautów, pisarz opisywał ogólnoświatowe zwycięstwo komunizmu. Pierwsze fragmenty książki powstawały w 1953 roku, a wydanie całości nastąpiło w 1955 roku, więc strach przed stalinowskim reżimem mógł w części usprawiedliwiać serwilizm wobec ideologii, ale późniejsze uszczypliwości Lema wobec kapitalizmu, Amerykanów i opisywanie przyszłej wyższości technologicznej Sowietów towarzyszyło pisarzowi przez kolejne dekady. I tak oto w niewinnych „Opowieściach o pilocie Pirxie" główny bohater trafia pewnego razu na Księżyc i spotyka się z sowieckimi kosmonautami zaskakującymi amerykańskich kolegów zaawansowaną konstrukcją swoich skafandrów. Drobiazg? Cóż, na tym polegała sowiecka propaganda – na licznych detalach pokazywania wyższości cywilizacyjnej naszego wschodniego sąsiada. W „Kongresie futurologicznym" amerykański polityk to hipokryta, który wzywa do pokoju na świecie, choć świat nienawidzi USA za wojenne postawy, a w „Pamiętniku znalezionym w wannie" Amerykanie są twórcami podziemnych bunkrów, chroniących ich przed globalną zagładą, do której sami się przyczyniają.

Lem potrafił też wyśmiewać się z Boga i Kościoła z rozmachem równym sowieckiej propagandzie. Tak jak pocztówkowy Gagarin miał powtarzać, że był w kosmosie i Boga nie widział, tak i bohaterowie Lema obnażali rzekome absurdy katolicyzmu. W jednym z opowiadań ewangelizowani kosmici zabijają zakonnika-misjonarza, bo ten pragnie być męczennikiem. Zdaniem absurdalnej interpretacji Lema wyświadczają mu więc przysługę, bo dzięki okrutnej śmierci będzie on zbawiony. W innym opowiadaniu bohater Ijon Tichy odkrywa, że ludz-

FOT. JAKUB GRELOWSKI/PAP

eprasa.pl 8877ab7377

kość stworzył nie Pan Bóg, ale Pam i Bugg – dwóch kosmitów, którzy na uboczu swojej intergalaktycznej trasy zrobili alkoholową imprezę i jeden z nich zwymiotował na przystankowej planecie, Ziemi właśnie, zapoczątkowując na niej rozwój życia. Pisarz musiał się później wstydzić tego dziełka, skoro we wznowieniach i wyborach opowiadań już się ono nie pojawiało.

Dobry pisarz nie musi być oczywiście katolikiem, ale ta prześmiewczość i prymitywny humor na temat chrześcijańskich wyobrażeń bliższe były satyrom z antyklerykalnych pisemek niż literaturze wysokich lotów.

O ile Lem uległ pokusie przypochlebienia się władzy ludowej, a być może i sam wierzył w przewagę komunizmu, to jego ponadpolityczne refleksje wyprzedziły literaturę science fiction o całe dekady, zaś jego talentu i wszechstronności pozazdrościli autorzy z innych stron świata.

Człowiek Stanisława Lema

Gdyby w największym skrócie streścić świat Stanisława Lema, byłoby to twierdzenie o niemożliwości zrozumienia świata przez ludzki umysł. Żadne kosmiczne podróże, gigantyczne komputery czy spotkania z mieszkańcami innych planet nie dadzą nam wymarzonej utopii, nie rozwiążą naszych problemów, nie pomogą w codziennych rozterkach. Superszybkie podróże wywołają zmiany w organizmie, przez które będzie trzeba brać specjalne leki, których efekty uboczne będą wymagały nowych preparatów, które z kolei... i tak w nieskończoność. Każdy krok w rozwoju ludzkości mnoży pytania przy znajdowaniu jedynie garstki odpowiedzi. Gdy bohater „Powrotu z gwiazd" wraca po stu latach na Ziemię, ludzkość zabiła już stres, strach i niepewność specjalnymi narkotykami, ale stała się przy tym tak uboga poznawczo, że pozostał jej tylko beztroski seks. W jednej z podróży Ijona Tichego poznajemy osoby, które osiągnęły najwyższy poziom możliwości modyfikacji ciała – i do czegóż ludzkość wykorzystała to odkrycie? Ano do popisów mody i ekstrawagancji – a to ktoś sobie dorobił tuzin nóg, ktoś inny bliźniaka syjamskiego, a pożytku czy choćby duchowego rozwoju nie było w tym żadnego. Co prawda XXI wiek jeszcze nie przyniósł nam takich możliwości modyfikacji ciała, lecz tendencje ludzkich kaprysów Lem rozpoznał trafnie – dziwactw operacji plastycznych, tatuaży czy kolczykowania można na ulicach dużych miast, a tym bardziej w internecie, oglądać aż do zgrzytu zębów.

Człowiek u Stanisława Lema staje więc przed światem, kosmosem, nauką, ze swoim rozumem i im więcej próbuje odkryć, tym bardziej jest zagubiony. Głębokie poznanie jest niemożliwe, kontakt z istotami pozaziemskimi jest daleki od jakiegokolwiek zrozumienia, bo *homo sapiens* wszędzie przykłada swoją miarę, stosując owe motto, że „człowiek jest miarą wszechrzeczy", a jednak okazuje się, że nie jest – i dlatego jego percepcja wciąż brnie w ślepe zaułki.

Tę pseudorozumność Lem przedstawiał w wielu powieściach, ale przytoczmy tę mniej znaną i nie z gatunku science fiction, lecz... kryminału-dreszczowca. W „Śledztwie" przenosimy się do otulonego mgłą Londynu, na którego obrzeżach w dziwnych okolicznościach znikają z kostnic zwłoki. Znikają tak, jakby ktoś je zabierał albo... same budziły się i wychodziły z pomieszczeń. Bohater-detektyw rusza do akcji i operuje najwyższymi zdolnościami logicznymi i statystycznymi, odnajdując tropy prowadzące do ekscentrycznego naukowca. Brzmi to dość standardowo jak na ten gatunek literatury, a jednak śledczy natrafiają na ścianę. Uczony przedstawia im koncepcję, w której powody znikania zwłok są kompletnie nie do wytłumaczenia. Nie zdradzając do końca fabuły, można wspomnieć, że przy każdym incydencie ze zwłokami pojawiały się te same okoliczności pogodowe, podobne odległości od orientacyjnych punktów Londynu, a wreszcie i zdechły kot. Jaki to ma związek?... Nie wiemy – i nie dowiemy się. Nie dowie się tego detektyw, czytelnik, a nawet naukowiec nie może być pewny, czy jego koncepcja jest trafna. Świat to wielka zupa z milionami kawałków, które człowiekowi – *homo sapiens* jako takiemu – jawią się jako logicznie powiązane elementy.

Tymczasem świat się wymyka z tych błahych, sztywnych, płytkich narzędzi poznawczych człowieka.

„Człowiek rozumny to człowiek statystyczny" – tłumaczy w jednej z końcowych scen przenikliwy bohater. „Czy dziecko będzie piękne czy brzydkie? Czy muzyka da mu rozkosz? Czy dostanie raka? O tym wszystkim decyduje gra w kości. [...] O spotkaniu kobiety, którą pokocham, o mojej długowieczności, o wszystkim decyduje normalny rozkład statystyczny, więc może także o tym, czy będę nieśmiertelny? Może ona staje się czyimś udziałem na ślepo, przez przypadek, od czasu do czasu, tak jak uroda lub kalectwo? A skoro nie istnieją jednoznaczne przebiegi, skoro rozpacz, piękno, radość i brzydota są dziełem statystyki, statystyką jest podszyte nasze poznanie, istnieje tylko ślepa gra, wiekuiste układanie się przypadkowych wzorów" – czytamy

eprasa.pl 8877ab7377

w wywodzie. Uznajemy coś za fakty i za procesy, lecz docieramy tylko do ich zewnętrznych objawów, nie rozumiejąc istoty rzeczy. „Nieskończona liczba rzeczy szydzi z naszego umiłowania Ładu. Szukajcie – a znajdziecie; zawsze w końcu znajdziecie, jeżeli będziecie tylko dość żarliwie szukali, statystyka bowiem niczego nie wyklucza, czyni wszystko możliwym, jedynie mniej lub więcej prawdopodobnym. Historia zaś jest ziszczaniem się brownowskich ruchów, statystycznym tańcem cząstek, które nie przestają marzyć o innym doczesnym świecie" – czytamy w uniwersalnym wykładzie, który pasuje zarówno do historii o znikających zwłokach, jak i do naszych, ogólnoludzkich, pragnień poukładania i wielkich zjawisk takich jak ekonomia, polityka międzynarodowa, po indywidualne marzenia o szczęśliwej rodzinie czy życiu w zdrowiu. Lem podnosił tu rolę przypadku czy niezrozumiałych zjawisk, by utrzeć nosa myślicielom XX wieku, którzy uwierzyli, że rozmontowali ludzkość niczym zegarmistrz, przesuwający trybiki skomplikowanego urządzenia. Nic z tego, twierdził Lem, i jednocześnie w inteligentny sposób wyszydzał miażdżącą większość literatury science fiction.

Człowiek u Lema staje przed światem, kosmosem, nauką, ze swoim rozumem i im więcej próbuje odkryć, tym bardziej jest zagubiony. *Homo sapiens* wszędzie przykłada swoją miarę, stosując motto, że „człowiek jest miarą wszechrzeczy", a jednak okazuje się, że nie jest – i dlatego jego percepcja wciąż brnie w ślepe zaułki.

Spokojnie z tymi kosmitami

Tak jak w jego „Śledztwie" nie znajdujemy rozwiązania (czyli inaczej niż w normalnych kryminałach), tak w jego powieściach o kosmitach nie odnajdujemy... kosmitów. Lema irytowały wyobrażenia obcych jako zielonych, szarych czy niebieskich ludzików, stworów z wieloma oczami czy rękami, bo jeśli istnieje jakaś forma życia poza Ziemią, to może ona mieć kształt, który naszym ciasnym wyobrażeniom w ogóle nie przypomina życia! Najwyższym wyrazem tej koncepcji jest dwukrotnie ekranizowana powieść „Solaris" i równie udana książka „Głos Pana". W obu przypadkach „życie" pozaziemskie nie przypomina życia w sensie małych komórek, a próba skomunikowania się z tą inteligencją bohaterom Lema się nie udaje. Solaris to planeta-bóg, która nieco manipuluje ziemskimi badaczami, ale robi to być może mimochodem, bez kompletnego zwracania uwagi na wstrząsające konsekwencje, jakie dziwne zjawiska wywołują u kosmonautów. I tutaj pisarz znowu daje prztyczka w nos – my, ludzie, nie jesteśmy znowu tacy ważni, by kosmici zawracali sobie nami głowę. To dlatego Lemowi tak bardzo podobała się powieść rosyjskich autorów, braci Strugackich, którzy podobną koncepcję wyłożyli w „Pikniku na skraju drogi". W „Głosie Pana" na Ziemię dociera tajemniczy sygnał z odległych galaktyk, ale pomimo całego wysiłku ludzkości udaje się jedynie zrozumieć, że jest w nim jakaś treść, ale jaka – nie wiemy. Zdecydowanie hollywoodzkie produkcje ze spektakularnymi zwycięstwami Ziemian nad obcymi cywilizacjami nie znajdują u polskiego pisarza nawet cienia odbicia.

Spokojnie z tymi maszynami

I tak jak człowiek nie potrafi porozumieć się z kosmitami, tak samo maszyny są taką inną kategorią bytu, że ich funkcje odrywają się od celów ich konstruowania. I tak oto superkomputer Golem XIV nie jest zainteresowany dylematami ludzkości, jest znudzony „ludzką" nauką i w końcu opuszcza swoich konstruktorów. W „Bajkach robotów", tworzonych w nieco komediowej wersji, mechaniczne stwory żyją stylem podobnym do ludzkiego, bo przejęły nawyki swoich konstruktorów (włącznie z opowiadaniem czy spisywaniem „bajek"), ale jednak robiły to inną drogą. Podobnie w jednym z opowiadań o pilocie Pirxie bohater odkrywa, dlaczego bardzo zaawansowany technologicznie statek kosmiczny zawiódł – programował go człowiek z czymś na podobieństwo nerwicy natręctw, więc swoje kompulsywne nawyki przekazał maszynie. Zatem nie panujemy nad swoimi dziełami, co oczywiście ma konsekwencje także w zakresie militariów. W powieści „Pokój na Ziemi" ludzkość przeniosła technologie zbrojeniowe na

eprasa.pl 8877ab7377

Księżyc, ale tam komputery wytworzyły własną subkulturę, realizując plany, o których człowiek wcześniej nawet nie myślał – znacznie bardziej skomplikowane niż filmowe „bunty robotów". W innym dziele Lema wehikuł czasu, znany z setek czy tysięcy utworów literackich i filmowych, u Lema ma jeszcze jeden skutek, o którym nikt nie wspomniał – przenosząc się w przyszłość na przykład o sto lat, o tyle właśnie lat starzeją się komórki podróżnika. W efekcie: podróżnik w czasie ląduje w przyszłości jako rozłożone zwłoki. Można więc półżartem podsumować, że Stanisław Lem wzorem stetryczałego geniusza obnażał nielogiczne koncepcje innych twórców science fiction, ale robił to wszystko w obrębie swojej spójnej wizji relacji człowieka i jego technologii – człowiek jako przekonany o swojej wielkości odkrywca i świat, który tę wielkość ma w głębokim poważaniu.

ce „Samobójstwo Oświecenia" pisał o tym profesor Andrzej Zybertowicz i jego zespół socjologów, ale badacze widzieli już przy tym rozwój internetu, telefonów komórkowych i tysiąca innych mediów, gdy zaś Lem przepowiadał to pół wieku temu – gdy w polskich domach w planie maksymalnym można było dostać czarno-biały telewizor! I znowu ze „Śledztwa" wyciągnijmy jeden z wywodów o przekazywaniu władzy anonimowej technologii, choć pisarz osadził ją w realiach współczesnej sobie zimnej wojny: „Budowanie coraz większych urządzeń do rozważań strategicznych oznacza [...] konieczność zwiększania ilości faktów, jaką ładuje się w taki mózg. To z kolei oznacza rosnące panowanie tych urządzeń nad zbiorowymi procesami w społeczeństwie". Tu padają arcyważne słowa: „Jeżeli się taki mózg zbudowało, to trzeba go słuchać" – konstatuje Lem, który w powieściach stwarza

STANISŁAW LEM OBNAŻAŁ NIELOGICZNE KONCEPCJE INNYCH TWÓRCÓW SCIENCE FICTION, ALE ROBIŁ TO WSZYSTKO W OBRĘBIE SWOJEJ SPÓJNEJ WIZJI RELACJI CZŁOWIEKA I JEGO TECHNOLOGII – CZŁOWIEK JAKO PRZEKONANY O SWOJEJ WIELKOŚCI ODKRYWCA I ŚWIAT, KTÓRY TĘ WIELKOŚĆ MA W GŁĘBOKIM POWAŻANIU.

Gates i Musk nie czytali Lema

Nie rzecz w tym, by powiedzieć o trafnych przewidywaniach Stanisława Lema czy o ostrzeżeniach przed nowymi technologiami. Lem po prostu kreował wizerunek człowieka i świata, który można uniwersalnie przyłożyć do różnych wyzwań ludzkości i sprawdzić, co z tego wyniknie. Jeśli więc w amerykańskiej Dolinie Krzemowej rozpowszechnia się wiara, że umysł ludzki przeniesiemy do komputera, o czym może i marzy Bill Gates, albo że osiągniemy nieśmiertelność, o czym wspomina Elon Musk, to Lem by z tego zadrwił tak jak z przekonania, że spotkamy UFO i wymienimy się technologiami. Nic z tych zaawansowanych planów nie wyjdzie nam zgodnie z oczekiwaniami, to znaczy może i przeniesie się jakąś część świadomości do komputera, ale nasze ograniczenia poznawcze przeoczą jakiś kluczowy element układanki, który wywoła dramatyczne skutki. Być może totalitaryzmy. Nie tylko takie jak jak ten w „Powrocie z gwiazd", gdzie człowiek musi się szprycować narkotykami, ale taki, gdzie gubimy motyw, kto, dlaczego i w jaki sposób rządzi. Kilka lat temu w książwielkie wynalazki, które mają służyć panom, a okazuje się, że same stają się panami. Przyczyną jednak – i to wyróżnia Lema od innych futurologów i wizjonerów science fiction, jest nie złowieszczość pozaziemskiej czy sztucznej inteligencji, lecz ułomność natury ludzkiej. Na każdej ulicy możemy zresztą zobaczyć dzieciaki owładnięte takim „mózgiem", smartfonem, który miał im pomagać w komunikacji, a zniewolił ich reakcje, relacje i myślenie.

Obecnie, w trzeciej dekadzie XXI wieku, idee transhumanizmu rozwijają się w najlepsze – mówią o połączeniu mózgu i ciała ludzkiego z komputerem. Bogowie Doliny Krzemowej wierzą we wszystko to, co pół wieku temu Lem określił jako kompletne niezrozumienie i technologii, i ludzkiego myślenia. Za kilka, kilkanaście lat przekonamy się, kto był bardziej przenikliwy.

Granica człowieczeństwa

Znając koncepcję „idei" Platona czy Kartezjańską wizję „człowieka jako ducha w maszynie", można by przypuszczać, że autor „Solaris" niewie-

eprasa.pl 8877ab7377

le wniósł do literatury. Jednak osadzenie dylematów staro- i nowożytnych filozofów w skomputeryzowanym świecie pokazało nowe horyzonty. Bo tworzenie sztucznej inteligencji albo konstruowanie osobowości może wywrócić świat ludzkich wartości.

Przykłady Lema są mroczne, ocierające się o sadyzm albo nierozwiązywalne, tragiczne dylematy. W roli przewodnika po paradoksach zabawy w stwórcę występuje często kosmiczny podróżnik Ijon Tichy. Odnajduje on jednego naukowca, który stworzył świat postaci ze sztuczną inteligencją (Lem pisze o „taśmach" bo w tamtym czasie komputery czytały oprogramowanie z perforowanych taśm). Słowem: na komputerze szalonego konstruktora powstała cała miniludzkość funkcjonująca w swoich społecznościach. Ale naukowiec stworzył jedną postać, która ma wątpliwości i podejrzewa, że cały świat jest tylko iluzją, a jego otoczenie – zaprogramowaną sztuczną inteligencją. Informatyk niczym demiurg bawi się emocjami i wątpliwościami swojego bohatera, obserwując wykreowane osobowości jak szczury w klatce. Późniejszy o 50 lat kultowy już dzisiaj film Matrix jest jedynie płytką wersją Lemowej idei.

W innej przygodzie Ijon Tichy spotyka profesora Zazula, który klonuje ludzi, także siebie, a potem tych ludzi zabija... Tichy postanawia ukarać naukowca, ale oto na końcu dowiaduje się o złowieszczych okolicznościach klonowania, które... usprawiedliwiają zabójcę? Jeśli ktoś myśli, że to niemożliwe, niech sięgnie po „Dzienniki gwiazdowe" – Lem udowadnia, że rozpasane eksperymenty naukowe stworzą nierozwiązywalne dylematy i zatrą granice moralności. Nad innym zagadnieniem możemy się pochylić w opowiadaniu „Terminus" z pilotem Pirxie w roli głównej. W świecie przyszłości, obawia się Lem, naśladownictwo emocji czy pamięć maszyn będzie tak przekonująca, że nie sposób będzie ją odróżnić od uczuć ludzkich czy od pamięci człowieka. Ludzkie zachowania i reakcje oderwą się od człowieka i zaczną żyć poza nim – jak je traktować? Sklonowana dziewczyna w jednej z powieści Lema wie, że jest sklonowana, że jest niejako „gorsza", ale czy to odbiera prawo do życia i do miłości, którą otrzymywał jej „oryginalny", wcześniejszy odpowiednik?

Wynalazcy, odkrywcy i naukowcy chcący rozwiązać problemy ludzkości zachowują się w powieściach Lema niczym zadufane dzieci, które bawiąc się zapałkami w prochowni pełnej ładunków wybuchowych, chcą płomieniem oświetlić napis na ścianie. Oświetlą – ale potem wysadzą świat w powietrze.

Granica geniuszu

Lem jest bodaj jedynym autorem z państw komunistycznych, którego arcydzieło zekranizowano dwukrotnie – i to na dwóch politycznych biegunach świata – w USA i w ZSRS. Sowieci byli pierwsi, a przeniesieniem „Solaris" na srebrny ekran zajął się wybitny reżyser Andriej Tarkowski. Film science fiction z 1971 roku, jeszcze rosyjskiej roboty, ciężko dziś się ogląda, bo przedstawienie przyszłości wygląda tam nieco chropowato, nieudolnie, niemniej dzięki Tarkowskiemu świat jeszcze bardziej zainteresował się Stanisławem Lemem. W 2002 roku tę samą powieść zekranizował Steven Soderbergh, a w roli głównej wystąpił George Clooney. Ani amerykański, ani sowiecki film się Lemowi nie podobały, jednak krytycy literaccy podkreślają, że jego literatura jest właściwie nie do przeniesienia na ekran. Lem nie był futurologicznym gadżeciarzem, wymyślającym wynalazki dla uciechy widzów – u niego każda technologia służy do rozważania pierwotnych pytań o byt, świadomość, życie i śmierć. Owszem, można się zachwycać, jak to w „Powrocie z gwiazd" Lem opisuje internet i książki elektroniczne (takie dzisiejsze e-booki), a w „Edenie" translator mowy, czyli coś jak dzisiejszy „Google translate", któremu można coś powiedzieć w dowolnym języku, a on na dowolny język przetłumaczy. Dlatego po Lema mogą sięgać fani kosmicznych przygód, statków międzygwiezdnych czy świata robotów, ale czytelnik może w tej literaturze sięgać dużo, dużo głębiej.

Być może za głęboko sięgnął w te książki amerykański pisarz science fiction Philip Dick, autor takich kultowych dzieł jak „Przedludzie" czy „Raport mniejszości". W połowie lat 70. literat zasypał FBI listami z donosami na autora „Solaris", twierdząc, że... Stanisław Lem nie istnieje. Amerykanin przekonywał, że za nazwiskiem LEM stoi tajna komórka komunistycznych służb specjalnych, która w powieściach zaszyfrowuje tajne treści dla szpiegów i naukowców. Dick uważał te powieści za zbyt genialne, zbyt różnorodne i wszechstronne, by mogła je napisać jedna osoba. Jego podejrzenia były podlane problemami psychicznymi, niemniej jako ceniony i kasowy twórca wiedział, jak oceniać dzieła science fiction. I właśnie w dziełach Lema można grzebać w nieskończoność, odkrywając w nich nowe tajemnice. Pisarz potrafił nawet napisać serię recenzji książek, które... nigdy nie powstały. Wymyślił ich sens, bohaterów, opisał je niczym krytyk literacki i to tak przekonująco, jakby je naprawdę przeczytał. No ale skoro był pisarzem podejrzewanym o nieistnienie, to cóż to było dla niego zrecenzować nieistniejące tytuły... ■

eprasa.pl 8877ab7377

Grzegorz Wszołek



BIG TECH wkracza w nasze życie

Donald Trump został wykluczony cyfrowo arbitralną decyzją światowych korporacji. Grono biznesmenów udowodniło, że jest w stanie ośmieszyć najpotężniejszego polityka na świecie za pstryknięciem palca. Co to oznacza dla nas? Czy rzeczywiście jesteśmy bezpieczni w mediach społecznościowych, czy jednak trwamy w bańce szumu informacyjnego? Do codziennych zagrożeń w nieumiejętnym korzystaniu z serwisów doszedł jeszcze jeden problem, niezależny od każdego z nas – cenzurowanie treści.

Po ataku na Kapitol, który na trwale zapisze się na czarnych kartach amerykańskiej demokracji, światowe koncerny technologiczne wskazały winnego. I odcięły go od dostępu do mediów społecznościowych. Donald Trump został pozbawiony prawa do korzystania z wielu najpopularniejszych kanałów, umożliwiających mu kontakt z wyborcami – od Twittera, Facebooka i Instagram po Google i YouTube.

Najpotężniejszy polityk na świecie został w zasadzie wykluczony cyfrowo, co środowiskom liberalnym na całym świecie, kibicującym Joe Bidenowi, przypadło do gustu. Trump odchodzi z urzędu prezydenta w niesławie, przegrywając batalię wyborczą i podważając ostateczne wyniki, lecz bez skutecznie przeprowadzonego kontrataku w sądach. Jednak cenzorskie zapędy Big Tech, czyli wielkiej „piątki", głównych graczy na rynku mediów społecznościowych, mogą odnieść skutek odwrotny do zamierzonego. Po pierwsze – utrwalają legendę Trumpa, który od lat przeciwstawia się stronniczości mediów i narzeka na sekowanie poglądów innych od mainstreamowych. Po drugie – wzbudzają potężne obawy, również wśród krytyków republikanina, o to, czy aby świat nowych technologii nie posunął się o krok za daleko. Skoro można wyrzucić z sieci kogoś takiego jak Trump, to równie dobrze każdy, niepasujący profilem ideologicznym internauta, może zostać pozbawiony prawa do wyrażania poglądów.

▶ Cenzorskie praktyki Twittera

Czy Trump łamał prawo, wzywając do powtórki głosowania i podważając ostateczne wyniki, które napływały z konkretnych stanów? Nikt mu wprost tego nie zarzucił. Twitter postanowił wyjść pierwszy przed szereg: od maja skrupulatnie oznaczano twitty Trumpa jako „wprowadzające w błąd". Abstrahując od tego, kto w sporze dotyczącym amerykańskiej demokracji ma rację – na jakiej podstawie recenzowano wpisy republikanina? Czy prawnicy lub specjaliści od Twittera przeprowadzili gruntowną analizę faktów i zbadali wszystkie możliwe naruszenia procesu wyborczego? To, że incydenty w kilku stanach nie mogły przesądzić o zmianie lidera w wyścigu o Biały Dom, jest poza dyskusją. Problem w tym, że Twitter uzurpował sobie prawo do bezczelnego komentowania poglądów Trumpa za każdym razem, gdy się z nim nie zgadzano. Tym samym stwarzano wrażenie na odbiorcach potencjalnie niezainteresowanych polityką, że ich przywódca jest szaleńcem, a skoro tak, to można go srogo upokorzyć. Niestety, istnieje w związku z tym prawdopodobieństwo powtórzenia cenzorskich praktyk w przyszłości.

Dyrektor generalny Twittera Jack Dorsey przyznał się po czasie do błędu, ubolewając nad tym, że portalowi nie udało się wypromować zdroworozsądkowej debaty politycznej. Co ciekawe, sam postawił diagnozę – zdecydowanie spóźnioną – o zbyt dużej swobodzie wielkich korporacji technologicznych w zarządzaniu tym, co jest prawdą, a co nie w sieci. „Jest to niebezpieczny precedens, pokazuje bowiem, że jednostka lub korporacja może skutecznie kontrolować część debaty toczącej się w skali całego globu. Przyszedł czas, by poważnie zastanowić się nad naszymi działaniami i środowiskiem, jakie nas otacza" – wyznał Dorsey na Twitterze.

Z dystansem do polityki największych koncernów podeszła nawet kanclerz Angela Merkel, pozostająca w ostrym sporze ze zbanowanym republikaninem. Jeśli Trump miałby zostać zablokowany, to „w ramach, które definiuje ustawodawca, a nie na podstawie decyzji kierownictwa mediów społecznościowych" – odparł w imieniu szefowej niemieckiego rządu rzecznik gabinetu, Steffen Seibert. Merkel dostrzega zatem coś, czego nawet nie próbuje polska opozycja zachwycona fatalnym traktowaniem Trumpa.

▶ Zdecydowali za użytkowników

Z biznesowego punktu widzenia decyzja potentatów sieciowych nie ma najmniejszego sensu. Zbanowany przywódca generował im ogromny ruch i gwarantował interakcje, jego wpisy śledziło ponad 88 mln „followersów" na całym świecie. Koronnym argumentem zwolenników wyrzucenia kont Trumpa jest fakt akceptacji regulaminu prywatnych platform. I byłby on przekonujący, gdyby nie fakt wycinania w pień mniej znaczącej konkurencji. Gdy wyborcy Partii Republikańskiej zaczęli przenosić się z Twittera do GAB lub Parlera, aplikacje szybko zniknęły z Google Play. Nie można było ich pobrać, zatem to korporacje zdecydowały za użytkowników, co warto/można pobierać na smartfony, a które portale są nieodpowiednie. Nie miało to nic wspólnego z uczciwą konkurencją i aż trudno uwierzyć w oficjalny powód, przedstawiany przez amerykańskiego giganta – według niego społeczność Parlera szykowała się do kolejnych zbrojnych akcji po szturmie na Kapitol. Działania Big Tech sprowadzają się do prostej zasady: możesz stworzyć swój biznes, ale my i tak pogorszymy twoje

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8877ab7377

zasięgi. Twitter i Facebook długo będą bezkonkurencyjnymi liderami na rynku. W dużej mierze za sprawą każdego z nas.

Czyhające niebezpieczeństwa

Jednak nie tylko blokada cyfrowa Trumpa stanowi ogromny problem w związku z mediami społecznościowymi. W ostatniej dekadzie – szczególnie tuż po 2010 roku – stały się miejscem fascynującej dyskusji na różne tematy i pasem transmisyjnym wiarygodnych informacji. To tam szybciej zdobywaliśmy wiedzę o decyzjach poszczególnych władz, co zresztą utrwaliło się na stałe. Komunikatory pozwoliły użytkownikom uzyskać komfortowy kontakt z rodziną i przyjaciółmi, co fantastycznie sprawdza się w czasach pandemii koronawirusa. Social media ułatwiają poznanie innych osób, zawieranie znajomości, a nawet odnalezienie drugiej połówki. Dla dziennikarzy i tradycyjnych mediów są wręcz obowiązkowe w codziennej pracy. Często mówi się, że jeśli kogoś nie ma na Facebooku lub Twitterze, to tak naprawdę nie istnieje.

Zalety korzystania z najpopularniejszych aplikacji są zatem oczywiste, ale z biegiem czasu uwydatniły się poważne zagrożenia. Dziś to miejsca, skąd wylewają się potoki inwektyw, fake newsów i absurdalnych teorii spiskowych, przy których wpisy Donalda Trumpa są tylko rysą na jakości debaty. „Każdy mógł zobaczyć, jak bezpodstawne i niebezpieczne były niektóre wypowiedzi Donalda Trumpa. Ale tak po prostu go zablokować, to znaczy pójść na łatwiznę. W ten sposób operatorzy platform uchylają się od odpowiedzialności. Ponieważ nawet bez Donalda Trumpa na ich platformach można znaleźć miliony fałszywych doniesień, ogromne ilości mowy nienawiści i obrzydliwej propagandy. Twitter, Facebook i inne strony muszą się tu wykazać i wypełniać swoje zobowiązania społeczne. Muszą wykrywać, odpowiednio komentować, a w razie potrzeby usuwać fałszywe informacje" – celnie skomentowała niekonsekwencję Big Tech Manuela Kasper-Claridge, redaktorka naczelna niemieckiego wydawcy „Deutsche Welle".

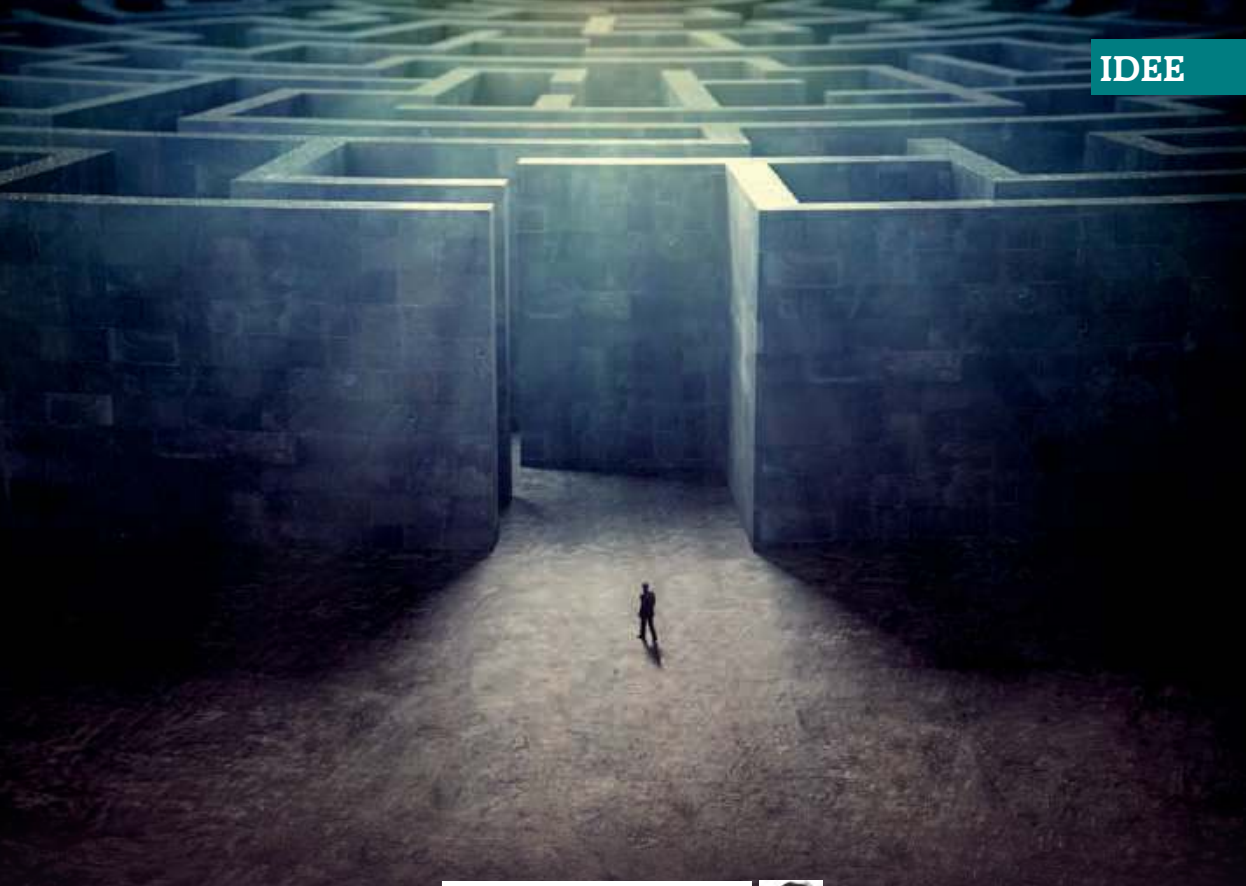
Twitter lub Facebook zamiast skutecznie zwalczać mowę nienawiści, usuwały konta zwolenników prezydenta Stanów Zjednoczonych, domagających się ponownego przeliczenia głosów wyborczych. Kierując się logiką technologicznych biznesmenów, okaże się zaraz, że Trump narusza regulamin mediów społecznościowych, ale pornografia już nie. Bez trudu odnajdziemy setki, jeśli nie tysiące dotąd niezablokowanych filmików dla dorosłych na Twitterze. W żaden sposób też portale nie zabezpieczają użytkowników przed groźnym przestępstwem – wyłudzeniem. Od miesięcy złodzieje przejmują konta poszczególnych osób i wysyłają za pomocą Messengera linki aktywacyjne do BLIK-u. Tworzą sprytne wiadomości, na pierwszy rzut oka sprawiające wiarygodne wrażenie, na przykład proszą o przelew na paliwo lub zakupy. Po wejściu w link, ofiary tracą swoje oszczędności. Cyberprzestępcy atakują ostatnio nawet polityków. Posłowie PiS: Marek Suski, Marlena Maląg, Iwona Michałek, Andrzej Melak czy Joanna Borowiak – to tylko niektóre przykłady tych, którzy na własnej skórze odczuli skutki przejęcia kont przez niepowołane osoby.

Rzadko podnoszonym problemem nowoczesnych technologii jest bieżąca inwigilacja zainteresowań internautów. Pozwala ona na precyzyjne sprofilowanie reklam widocznych na Facebooku. Właściciele portalu otrzymują nasze „dossier": miejsce zamieszkania, pracy, aktualną lokalizację, datę urodzenia, a nawet nazwiska członków rodziny czy partnerów. W połączeniu ze stronami, w które wchodzimy, dogłębnie poznają nawet zainteresowania internautów. Dane mogą zostać wykorzystane w marketingu, choć nietrudno wyobrazić sobie scenariusz wpływania na poglądy użytkowników. Tak ogromny dobór informacji pozwala na stworzenie dokładnego profilu każdej osoby, tym bardziej, gdy dzielimy się ze światem prywatną sferą życia.

Wyjście z trudnej sytuacji

Nic nie zapowiada zmiany podejścia Big Tech do prowadzonego biznesu. Blokada Trumpa zmusza wręcz do postawienia pytania: kto będzie następny na liście do usunięcia? Politycy konserwatywni? Radykalno-prawicowi? Niektórzy posłowie opozycji pół żartem, pół serio sugerowali, że los amerykańskiego przywódcy podzielą przedstawiciele obozu władzy w Polsce. Zuckerbeg i Dorsey zwiększyli ochotę wielu „obrońcom wolności" na cenzurowanie niewygodnych treści. Wyjściem z sytuacji są tworzone oddolnie portale społecznościowe, takie jak Albicla. Pytanie jednak, jak długo utrzymają się na rynku przy tak wielkich graczach, niemających oporów w walce z konkurencją. I – co paradoksalne – wciąż oferują najwięcej opcji dla internautów, poszukujących szybkiej informacji, rozrywki i komunikacji z innymi. ■

eprasa.pl 8877ab7377



Małgorzata Matuszak



Pomiędzy życiem a śmiercią

Wobec rozwoju technik podtrzymywania i przedłużania życia wypracowanie uniwersalnych zasad etycznych związanych z ich zastosowaniem stało się bardzo trudne. Z jednej strony nie możemy stać się więźniami nowoczesnych technologii, musimy pozwolić komuś umrzeć, kiedy przyszedł na to czas, z drugiej zaś nie możemy przedwcześnie rezygnować lub przerywać leczenia chorego na podstawie osądu, że dalsze podtrzymywanie jego życia nie ma sensu.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8877ab7377

Współczesna medycyna i jej techniczne możliwości pozwalają na podtrzymywanie życia poza granice „naturalnego życia", na przesuwanie linii między życiem a śmiercią. Te możliwości sztuki lekarskiej, będące źródłem niekwestionowanych dobrodziejstw, szans pomocy osobom ciężko chorym, prowokują jednocześnie do stawiania pytań o moralną ocenę różnych, nieznanych dotąd, sytuacji związanych z życiem i śmiercią człowieka. Z jednej strony bowiem można ratować i przedłużać życie, z drugiej – przeciąć proces umierania. Gdzie przebiega ta niejednokrotnie trudna do uchwycenia granica? Kiedy trzeba ratować bądź podtrzymywać życie za wszelką cenę, a kiedy można lub wręcz nawet trzeba odstąpić od leczenia?

Dobro pacjenta

„Zawsze trzeba kierować się dobrem pacjenta" – takie stwierdzenie słyszymy zwykle w odpowiedzi na zadane wyżej pytanie. I słusznie, gdyż dobro osoby jest w takiej sytuacji najważniejsze. Problem polega na tym, że trudno niekiedy o uzgodnienie, co naprawdę nim jest. Wielokrotnie mieliśmy z takimi przypadkami do czynienia.

W styczniu byliśmy świadkami walki toczącej się o Polaka w śpiączce, przebywającego w brytyjskim szpitalu, w Plymouth. Brytyjscy lekarze twierdzili, że zmiany, które zaszły w mózgu mężczyzny, były tak głębokie i trwałe, że jedynym słusznym rozwiązaniem w tej sytuacji było odłączenie go od aparatury podtrzymującej życie, nawadniającej go i odżywiającej. Robiono to kilkukrotnie. Zgodę na takie działanie wyrazili żona i dzieci, przeciwne temu były zaś matka i siostry pana Sławomira. Kobiety utrzymywały, że stan mężczyzny się poprawił – samodzielnie oddychał, reagował na obecność rodziny, cierpiał i płakał. Na nagraniu, które trafiło do sieci, widać, jak mrugał oczami w czasie obecności bliskich. Sprawa trafiła do sądu, który uznał, że w obecnej sytuacji podtrzymywanie życia mężczyzny nie jest w jego najlepszym interesie i w związku z tym odłączenie aparatury podtrzymującej życie będzie zgodne z prawem, zaś mężczyźnie należy zapewnić opiekę paliatywną, by do czasu śmierci zachował jak największą godność i jak najmniej cierpiał.

Polskie władze podjęły wszelkie starania, by przetransportować chorego do Polski, na jego przyjęcie chęć wyraziła chociażby klinika „Budzik". Brytyjski sąd jednak sprzeciwiał się temu, tłumacząc swą odmowę dobrem pacjenta: jego zdaniem transport wiązałby się z dużym ryzykiem śmierci. Można jednak w tym miejscu zadać pytanie: czy taka śmierć bardziej uwłaczałaby godności pana Sławomira niż ta w wyniku braku pożywienia? Wszyscy zdawali się pragnąć jego dobra, choć każda strona w inny sposób. Żona twierdziła, że mąż nie chciałby być w ten sposób podtrzymywany przy życiu, druga część rodziny była innego zdania, argumentując to tym, że jako praktykujący katolik mężczyzna opowiadał się za prawem do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, nie chciałby zatem, by jego życie zakończyło się w ten sposób.

Podobna sytuacja, wzbudzająca falę protestów, miała miejsce dwanaście lat temu we Włoszech. Sąd, na prośbę ojca Eluany Englaro, podjął decyzję o odłączeniu kobiety od sztucznego odżywiania. Personel szpitala, w którym przebywała, odmówił zaniechania sztucznego odżywiania, tłumacząc to tym, że „konstytucjonalnym obowiązkiem szpitali jest obrona życia, a nie uśmiercanie". Eluanę Englaro przeniesiono więc do innego ośrodka, gdzie podjęto kroki zgodne z decyzją sądu. Sprawa ta wywołała tak wielkie kontrowersje również z tego powodu, że całkowitej śmierci mózgu nie stwierdzono.

Również w przypadku pana Sławomira sprawa nie jest jednoznaczna. Dokładnych badań neurologicznych, jak wynika z doniesień medialnych, nie przeprowadzono. Matka pana Sławomira zapewnia zaś, że w trakcie wizyty członków rodziny w szpitalu płakał, ruszał głową, reagował na głos, nie można więc było jej zdaniem jednoznacznie stwierdzić, że jej syn był w śpiączce, a tym bardziej w stanie wegetatywnym.

Pytania fundamentalne

W wyniku wciąż rosnących możliwości medycyny możliwe jest utrzymywanie przy życiu, w sztucznych warunkach, pacjenta zupełnie pozbawionego świadomości. Serce może bić, a krew krążyć nawet wtedy, gdy wykres encefalogramu stał się płaską linią. Te nowe możliwości medycyny, którym drogę otworzyły postęp naukowy i techniczny, potrzebują kryteriów oceny słuszności działania w budzących różnego rodzaju wątpliwości sytuacjach. Jedynym sposobem odnalezienia się w nich jest powrót do fundamentalnych pytań. Skądinąd bardzo trudnych, bo dotyczących dziedziny, w której jesteśmy zarówno tymi, którzy pytają, jak i tymi, o których w pytaniu nam chodzi. Pytamy wszak o samych siebie.

Warunkiem koniecznym, i wystarczającym, by człowieka – w świetle medycznej wiedzy – uznać za zmarłego, jest stwierdzenie śmierci pnia mózgu. O niej możemy mówić wtedy, gdy następuje trwałe i nieodwracalne ustanie jego funkcji, co niekoniecznie oznacza natychmiastową śmierć wszystkich komórek mózgu. Stwierdzenie to, choć budzi kontrowersje filozoficzne, jest powszechnie przyjętym rozumieniem śmierci człowieka, stanowiącym podstawę do orzekania konieczności odłączenia od aparatury podtrzymującej życie. Co jednak, jeśli śmierć pnia mózgu stwierdzona nie została? Mózg człowieka jest zbyt skomplikowany strukturalnie i czynnościowo, byśmy mogli jednoznacznie uznać nieodwracalność toczących się w nim procesów. Niemożliwe jest określenie, ile i co czują ludzie będący w śpiączce. Nikt tego nie wie. Nawet gdy badanie wykazuje całkowity brak aktywności kory

eprasa.pl 8877ab7377

mózgowej, to nie możemy zaręczyć, że człowiek nie ma odczuć. Nie wiadomo, ile życia jest w ich bezruchu. Jakby sami nie mogli się zdecydować, czy przejść definitywnie na drugą stronę czy zawrócić z tej drogi, z powrotem do świata. Do świata, który, w myśl zasady: jeśli nie ma z kimś kontaktu – nie żyje, uznał ich za zmarłych.

Znane są doniesienia na temat ludzi w śpiączce, uznanych za „przypadki, które nie rokują dobrze", którzy zdecydowali się powrócić do „naszego świata". Lyndee Pellettiere-Swapp, która po odłączeniu od aparatury podtrzymującej życie w cudowny sposób odzyskała świadomość, stwierdziła, że w czasie, kiedy debatowano o tym, czy żyje czy nie, słyszała wszystkie rozmowy bliskich. „Pamiętam lekarza, który otwierał moje oczy i mówił rodzinie, że nie ma ze mną kontaktu. A ja tam byłam, nie mogłam się ruszyć, krzyknąć" – mówiła później.

Uporczywa terapia

Mamy obowiązek bronić życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Mamy obowiązek zrobić wszystko, aby umierający człowiek odchodził godnie. Musimy jednak pamiętać o tym, że tak jak nieetyczne jest nieuprawnione zaniechanie podtrzymywania funkcji życiowych człowieka, tak też nieetyczna jest uporczywa terapia, która nie przynosi niczego poza cierpieniem chorego. Niezgoda na eutanazję, w jakiejkolwiek z jej form, nie oznacza zgody na przedłużanie życia za wszelką cenę. Jak zaś pisał Robert Spaemann: „Jeśli gdzieś umieranie nie jest rozumiane i kultywowane jako część życia, to w tym momencie zaczyna się cywilizacja śmierci".

Śmierć jest wpisana w nasze życie, jest jego częścią i przychodzi moment, kiedy trzeba się z nią pogodzić. Jest oczywistością życia, koniecznością i prawem natury, człowiek zaś jako ten, który rozpoznaje siebie jako byt wpisany w prawa przyrody, którym podlega, jest istotą zdającą sobie sprawę ze śmiertelności własnej i innych ludzi. Zrozumiałym jest fakt, że kiedy dotyczy to osoby nam bliskiej, najbliższej, nie przychodzi to nam łatwo. Ogromny ból, który wówczas nas ogarnia, nie może jednak przesłonić nam tej podstawowej prawdy o naszym ludzkim życiu. W dzisiejszych czasach często o niej zapominamy. Zanika dziś kultura śmierci. Śmierć nie jest celebrowana. A przecież mądrość w obliczu nieuchronnej śmierci to przyzwolenie na jej nadejście. Jan Paweł II w swoim Testamencie napisał piękne słowa: „[...] z możliwością śmierci każdy zawsze musi się liczyć. I zawsze musi być przygotowany do tego, że stanie przed Panem i Sędzią – a zarazem Odkupicielem i Ojcem".

Istnieje różnica między kuracją uporczywą a wytrwałą. Artykuł 32 Kodeksu Etyki Lekarskiej mówi: „W stanach terminalnych lekarz nie ma obowiązku reanimacji lub uporczywej terapii i stosowania środków nadzwyczajnych". Trzeba jednak uznać i to, że zaniechanie działania w pewnych sytuacjach może spełniać wszelkie znamiona biernej eutanazji, zabronionej w artykule 31. Powstają trudności w wytyczeniu granicy między metodami zwyczajnymi i nadzwyczajnymi, między środki naturalnymi i sztucznymi, a szczególnie dużo kontrowersji wywołuje problem sztucznego odżywiania. Zasadniczo uważa się, że sztuczne odżywianie jest metodą zwyczajną, trudno wszak uznać jakąś za bardziej naturalną. Niekiedy jednak sztuczne odżywianie może być zbyt uciążliwe dla chorego w stosunku do nadziei na poprawę jego stanu. Czy trzeba je uznać zatem za terapię uporczywą?

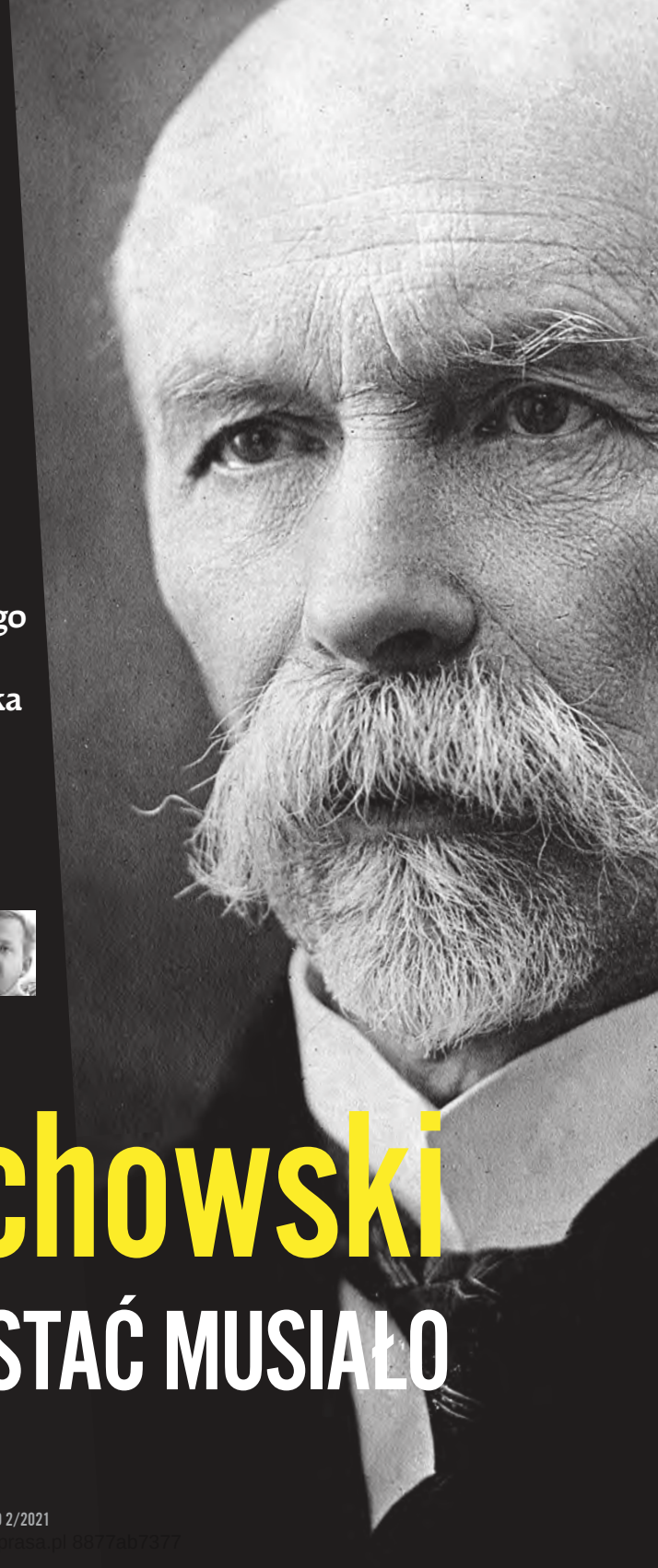
O terapii uporczywej, z której należy zrezygnować, oraz o środkach nadzwyczajnych i proporcjonalnych, pisał Jan Paweł II w encyklice „Evangelium Vitae" z 1995 roku. „Od eutanazji – czytamy w papieskim przesłaniu – należy odróżnić decyzję o rezygnacji z tak zwanej »uporczywej terapii«, to znaczy z pewnych zabiegów medycznych, które przestały być adekwatne do realnej sytuacji chorego, ponieważ nie są już współmierne do rezultatów, jakich można by oczekiwać, lub też są zbyt uciążliwe dla samego chorego i dla jego rodziny". W takich sytuacjach, gdy śmierć jest bliska i nieuchronna, można w zgodzie z sumieniem „zrezygnować z zabiegów, które spowodowałyby jedynie nietrwałe i bolesne przedłużenie życia, nie należy jednak przerywać normalnych terapii, jakich wymaga chory w takich przypadkach" (Kongregacja Nauki i Wiary, „Iura et bona", AAS 72 (1980) 551).

(Nie)zgoda na śmierć

Jeśli ktoś z naszych bliskich umiera, zastanawiamy się zawsze, czy lekarze mogli zrobić „coś więcej". Czy odłączając kogoś od aparatury, nie chcą po prostu zatrzeć śladów swych błędów. Czy nie nazbyt krótko walczono o czyjeś życie. Także dochodzi do głosu nasz strach przed odpowiedzialnością moralną: czy nasza zgoda na zaprzestanie terapii nie jest przedwczesna, czy może można zrobić coś jeszcze.

Wobec rozwoju technik podtrzymywania i przedłużania życia wypracowanie uniwersalnych zasad etycznych związanych z ich zastosowaniem stało się bardzo trudne. Z jednej strony nie możemy stać się więźniami nowoczesnych technologii, musimy pozwolić komuś umrzeć, kiedy przyszedł na to czas, z drugiej zaś nie możemy przedwcześnie rezygnować lub przerywać leczenia chorego na podstawie osądu, że dalsze podtrzymywanie jego życia nie ma sensu. Zagadnienie to stanowi jeden z głównych problemów współczesnej bioetyki. Chociaż i ona napotyka w tym względzie trudności. Każdorazowo należy bowiem w danej sytuacji szczegółowo rozważyć dany przypadek. Bioetyk jednak, jeśli nie jest lekarzem specjalistą, nie ma wystarczającej wiedzy medycznej, by ten konkretny przypadek jednoznacznie ocenić. ■

eprasa.pl 8877ab7377



Profesor Marian Zdziechowski przewidział starcie dwóch totalitaryzmów: bolszewickiego i narodowo-socjalistycznego, kiedy jeszcze nikomu nawet podobne myśli nie kiełkowały w głowie. Ze starcia zwycięsko miała wyjść według niego bolszewia, a w wyniku owego zwycięstwa Polska miała się znaleźć przez dziesięciolecia pod sowieckimi wpływami.

Dariusz Jarosiński



Zdziechowski
TO, CO SIĘ STAĆ MUSIAŁO

eprasa.pl 8877ab7377





2



3



4

1. Profesor Marian Ursyn Zdziechowski, prorok z Nowosiółek
2. Marian Zdziechowski z żoną w majątku Suderwie pod Wilnem
3. Dworek Zdziechowskich w Nowosiółkach koło Rakowa na ziemi mińskiej, 1908 r.
4. Kadra naukowa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie około 1922 r. Siedzą od lewej: prof. K. Zimmermann, prof. Wiktor Staniewicz, Władysław Mickiewicz, prof. Marian Zdziechowski, stoją od prawej: prof. Stanisław Pigoń, prof. Benedykt Kubicki, prof. Ferdynand Ruszczyc, prof. Józef Kallenbach, prof. Juliusz Kłos

1

FOT. BUUMK.PL, ARCH.

Powiedzenie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, pasuje do profesora Mariana Zdziechowskiego, pisarza, filozofa, publicysty, rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Zdziechowski miał świadomość nadciągającej potwornej katastrofy do Polski i Europy ze strony bolszewii: „Od początku rewolucji rosyjskiej spełniam niewdzięczną rolę Kasandry i ostrzegam, gdzie i jak mogę, słowem i piórem, przed grożącym ludzkości niebezpieczeństwem, największym, jakie świat dotychczas widział, i niestety, jak owa mityczna kapłanka trojańska, czynię to daremnie, bez skutku".

Wiosną 1937 roku wileński uczony nakreślił czarny scenariusz najbliższej przyszłości: „wolałbym umrzeć teraz w zgodzie z Bogiem, w otoczeniu najbliższych, zapatrzony w rozciągające się przede mną wzgórza i lasy, podniesiony na duchu odczuciem czegoś wielkiego, nieskończonego, tajemniczego a bliskiego, niż za rok, za dwa albo trzy, może wcześniej jeszcze, może nieco później, zgnić w sowieckiej czerezwyczajce". Pan Bóg wysłuchał prośby profesora i zabrał go do siebie 5 października 1938 roku. Niespełna rok później Polskę zaatakowały Niemcy nazistowskie i Rosja bolszewicka, a bolszewia stanowi do dzisiaj śmiertelne zagrożenie dla świata. Być może gdzieś zza światów spoglądał profesor na to, co się działo w Polsce, i mówił ze smutkiem i goryczą: „A nie mówiłem, a nie pisałem?".

Człowiek – sumienie narodu

Zdziechowski cieszył się ogromnym autorytetem, był osobą niezwykle szanowaną nie tylko w Wilnie i nie tylko w Polsce, lecz także za granicą, zapraszano go na zagraniczne uniwersytety na wykłady, odczyty, należał do wielu międzynarodowych towarzystw naukowych. Między innymi gościnnie wykładał na Sorbonie, zagraniczne uczelnie przyznawały mu honorowe doktoraty. W 1917 roku otrzymał propozycję objęcia katedry na Uniwersytecie Londyńskim, lecz jej nie przyjął. Jak widać, nie zawsze darzyć kogoś szacunkiem znaczy tyle samo co go słuchać, akceptować jego myśli, tym bardziej kiedy to, co mówi, brzmi tak bardzo pesymistycznie. Dzisiaj profetyczne ówcześnie słowa traktujemy jako wyraz realizmu, nie tylko politycznego, lecz także życiowego.

Marian Zdziechowski był miłośnikiem literatury rosyjskiej, filozofii, utrzymywał kontakt z wieloma pisarzami, wybitnymi myślicielami, m.in. Włodzimierzem Sołowjowem, Mikołajem Bierdiajewem, księciem Eugeniuszem Trubeckim i jego bratem Grzegorzem, Borysem Cziczerinem, Dmitrijem Mereżkowskim, Sergiejem Bułgakowem, Piotrem Struwe, korespondował z Lwem Tołstojem, którego odwiedzał w Jasnej Polanie. Profesor znał osobiście ojca świętego papieża Piusa X, miał okazję kilka razy z nim rozmawiać. Do pewnego czasu Zdziechowski utrzymywał towarzyskie i naukowe kontakty z profesorem Tomaszem Masarykiem, wykładowcą filozofii na Uniwersytecie w Pradze. W 1918 roku Masaryk stanął na czele rządu powstałego państwa czechosłowackiego, jego polityka była zdecydowanie wroga w stosunku do Polski. Uważał Polskę za anachroniczny przeżytek. Zdziechowski potępił zajęcie przez wojska Czechosłowacji Śląska Cieszyńskiego w 1919 roku, odmówił w związku z tą agresją przyjęcia stanowiska ambasadora RP w Pradze. Szczególnie haniebnie zachował się Masaryk w lipcu 1920 roku, kiedy już jako prezydent Czechosłowacji odmówił przepuszczenia wojsk węgierskich śpieszących na pomoc śmiertelnie zagrożonej ze strony bolszewików Warszawie. Masaryk knuł przeciwko Polsce, by państwa Ententy nie udzieliły nam pomocy. Po tym incydencie z wojny polsko-bolszewickiej Zdziechowski publicznie zerwał wszelkie kontakty z Masarykiem.

Kiedy Zdziechowski zmarł w 1938 roku, w gazetach pisano, że odszedł „Człowiek – sumienie narodu". Profesor postrzegał politykę przez pryzmat moralności, uważał, że racja stanu nie może być ważniejsza od racji moralnych. Często odwoływał się do sumień polityków, kiedy w kraju działy się rzeczy niegodziwe, m.in. interweniował w sprawie uwolnienia polskich generałów uwięzionych po zamachu majowym.

Zdziechowski został pochowany na wileńskim cmentarzu wojskowym na Antokolu we wspólnym grobie ze zmarłą w 1936 roku żoną Marią. Miał dwóch synów: Ksawerego (1888–1941) oraz Edmunda (1895–1915). Syn Ksawery zmarł w łagrze w rejonie północnego Uralu w grudniu 1941 roku.

Mały staruszek o ascetycznej twarzy

Czesław Miłosz, który w latach 1929–1934 studiował prawo na Uniwersytecie w Wilnie, miał okazję słuchać wykładów profesora Zdziechowskiego. Wspomina swego wykładowcę w eseju napisanym w 1943 roku „Religijność Zdziechowskiego" jako anachronicznego staruszka z minionej epoki, oderwanego od rzeczywistości. O tym, że Miłoszowi profesor zupełnie obojętny nie był, świadczyć może też wiersz zatytułowany „Zdziechowski", który ukazał się w tomiku poetyckim „To" w 2000 roku. W tym okresie Miłosz dokonywał już pewnego podsumowania życia.

Warto przytoczyć fragment eseju Miłosza, bo zawiera on kilka ważkich zdań i na pewno przybliża postać wybitnego uczonego. „W okresie dwudziestolecia w niskich sklepionych salach uniwersytetu wileńskiego miewał wykłady staruszek o ascetycznej twarzy – Marian Zdziechowski. Miał godność rektorską, nazwisko jego otoczone było nimbem prawości i mądrości – ale dla większej części młodzieży, uwikłanej w zażarte spory między skrajną prawicą i lewicą, był tylko szacownym zabytkiem minionej epoki. Naszym zdaniem – moim i moich ró-

eprasa.pl 8877ab7377

wieśników, którzy w latach 1930–1934 zajmowali się odkrywaniem Ameryk – staruszek nie miał pojęcia o tak zwanych problemach dnia, a jego nawoływania o niebezpieczeństwie grożącym światu ze strony komunizmu i nacjonalizmu odznaczały się zabarwieniem żałośliwie maniakalnym. Jego wizja eschatologiczna zbliżania się czegoś nieuniknionego a strasznego trafiała w mgliste odczucia jego czytelników i słuchaczy, zgadzała się z atmosferą czasu. Ale tylko wizja. Całe rozumowanie, wnioski, wskazania – rozmijały się z dążeniami młodych, którzy właśnie w prądach uznanych przez profesora za dzieło szatana dopatrywali się zbawienia i to, co było dla niego nocą, brali za »promienne oblicze wschodzącego dnia«. Dopiero potem, po latach, wielu z nich miało drogą gorzkich doświadczeń powrócić do niektórych prawd głoszonych przez Zdziechowskiego i uznać, że te same podstawy mogą się na coś przydać, chociaż zmieniło się »niebo historyczne«".

Miłosz szkicując portret uczonego, użył wielu określeń: starzec, „mały staruszek o ascetycznej twarzy", prawy i mądry profesor, „szacowny zabytek minionej epoki", żałosny maniak, wizjoner niczym Kasandra wieszczący zagładę, prorok „wołający na puszczy", boski mędrzec „zapatrzony w nurt dziejów", postać dużego formatu, filozof rozpaczy, myśliciel anachroniczny, wybitny myśliciel chrześcijański, jeden z ostatnich myślicieli religijnych.

Jeszcze zacytujmy jeden fragment, w którym Miłosz wydobywa z wyobraźni postać profesora – staruszka idącego ulicami Wilna wśród postępowej młodzieży, niewiele rozumiejącej z otaczającej rzeczywistości, nieświadomej nadciągającej katastrofy:

„Wyobrażam sobie Zdziechowskiego, jak idzie ulicami Wilna czytając z barokowych jak zawsze w tym mieście chmur tragedię oszalałej i skazanej ludzkości – a tuż obok orkiestra studenckiego balu gra jeszcze tango »Jak pantera co w złotej klatce« i młode istoty odbywają pierwsze wtajemniczenie w sprawy niepokojów, lęków, dotknięć, zapachów, dramatów serca. Nie wiem, co zostaje z balowych sukien lila, z wymienianych ukradkiem pocałunków, ze spotykania drżących rąk. Może w jakimś ostatecznym obrachunku nie ma mniej niż najtęższych osiągnięć pracowitej myśli. Ale te pocałunki, te wirowania w takt muzyki, różowości świtu na szybach i uczuciowe dramaty – nie są, nie sposób znaleźć ich śladu, są jednorazowe jak ludzie, którzy ich doznali – i to przesądza spór na ich niekorzyść – a myśliciel kroczy dalej, poza granicę śmierci".

Jak wiadomo, Czesław Miłosz nie ukrywał fobii w stosunku do polskiej prawicy, polskiego Kościoła katolickiego i w ogóle polskości. Po 1945 roku służył reżimowi komunistycznemu. Bliższe mu były poglądy profesora Tadeusza Krońskiego niż profesora Mariana Zdziechowskiego. Krońskiego uważał za przyjaciela, nazywał go żartobliwie „Tygrysem". Zachowała się obszerna korespondencja przyjaciół, w jednym z listów Kroński pisał do Miłosza po wojnie: „My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji [...] zdławiony powinien być antyintelektualizm polski, romantyzm, sentymentalizm, ksenofobia, katolicyzm". W wywiadzie dla „Tygodnika Solidarność" (nr 46 (321) 11 listopada 1994 r.) Zbigniew Herbert przypomniał swoją kłótnię z Miłoszem: „Był to 1968 czy 1969 rok. Powiedział mi – na trzeźwo – że trzeba przyłączyć Polskę do ZSRR. Ja na to: »Czesiu, weźmy zimny tusz i chodźmy na drinka«. Myślałem, że to żart lub prowokacja. Lecz gdy powtórzył to na kolacji, gdzie byli Amerykanie, którym się to nawet spodobało – wstałem i wygarnąłem. Takich rzeczy nie można mówić – nawet żartem" – wspominał Herbert.

Prezydentem nie będę

Marian Ursyn Zdziechowski herbu Rawicz urodził się 30 kwietnia 1861 roku w majątku Nowosiółki koło miasteczka Raków na ziemi mińskiej na Kresach Wschodnich. W Rakowie mieszkały cztery pokolenia Zdziechowskich. Była to zamożna rodzina ziemiańska, szlachecka. Marian Ursyn ukończył gimnazjum w Mińsku w 1879 roku. Studiował na uniwersytetach w Petersburgu, Dorpacie, Genewie, Grazu i Zagrzebiu. W 1888 roku zamieszkał w Krakowie, podjął pracę naukową i dydaktyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie pod kierunkiem profesora Stanisława Tarnowskiego uzyskał doktorat na podstawie pracy „Mesjaniści i słowianofile". W 1894 roku habilitował się, a w 1905 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. W okresie krakowskim poświęcił się przede wszystkim pracom z zakresu historii literatury i krytyki literackiej.

Lata I wojny światowej spędził w rodzinnym majątku Nowosiółki koło Rakowa, podróżował też do Moskwy, Petersburga. Z grozą i przerażeniem obserwował bestialstwo bolszewików w czasie rewolucji. Wydarzenia rewolucji wywarły ogromny wpływ na twórczość Zdziechowskiego. W 1919 roku, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, zamieszkał w Wilnie, podjął pracę na odradzającym się Uniwersytecie Stefana Batorego. Pełnił funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego, zasiadał też na stanowisku rektora uniwersytetu w latach 1925–1927.

Z inicjatywy profesora Mariana Zdziechowskiego powstało w Wilnie pismo „Słowo". Do grupy konserwatywnych współzałożycieli należeli zamożni ziemianie kresowi, inteligencja ze szlacheckim rodowodem: Marian Broel-Plater, Albrecht Radziwiłł (z Nieświeża), Stanisław Wańkowicz, Jan Tyszkiewicz, Tadeusz Dembowski, Janusz Franciszek Radziwiłł. Pierwszy numer dziennika „Słowo" ukazał się na wileńskim rynku wydawniczym 1 sierpnia 1922 roku. Jego redaktorem naczelnym został 26-letni monarchista, konserwatysta, mimo młodego

eprasa.pl 8877ab7377

wieku wybitny publicysta Stanisław Cat-Mackiewicz. Ostatni numer „Słowa" wyszedł 18 września 1939 roku, po napaści Sowietów na Polskę. Było to pismo o zasięgu regionalnym, jednak w miarę upływu lat formułowane na jego łamach poglądy coraz bardziej oddziaływały na życie polityczne kraju. Po śmierci Józefa Piłsudskiego, Stanisław Cat-Mackiewicz, który był jego gorącym zwolennikiem, przeszedł wraz ze swym pismem do opozycji wobec rządów sanacyjnych. Spowodowało to zastosowanie przez władze państwowe szeregu represji wobec „Słowa" i osób pracujących w redakcji. 22 marca 1939 roku Stanisław Mackiewicz został aresztowany i na 17 dni osadzony w Miejscu Odosobnienia w Berezie Kartuskiej pod zarzutem „osłabiania ducha obronnego Polaków", gdyż ostro krytykował politykę obronną i zagraniczną ówczesnych władz.

W 1926 roku, po przewrocie majowym, marszałek Józef Piłsudski zaproponował Marianowi Zdziechowskiemu kandydowanie na urząd prezydenta RP. Tak to wspominał profesor w eseju „Ze wspomnień o Piłsudskim i jego epoce":

„Była godzina pierwsza, skończyło się urzędowanie moje i zaledwie na Zamkową wyszedłem, ujrzałem chłopaków sprzedających ulotki z wiadomością, że Marszalek prezydentury, którą mu delegacje Sejmu i Senatu ofiarowały, nie przyjął, a jako kandydatów wymienił Mościckiego i mnie. Droga do domu prowadziła koło inspektoratu armii. Spostrzegł mnie jeden z adiutantów generała Rydza Śmigłego. Wybiegł i zatrzymał mnie: »Czy wie pan rektor, że Marszałek zaproponował pana na prezydenta?«. »Wiem, ale prezydentem nie będę«. »Jak to, dlaczego?«. »I lewica, i prawica jednakową mają antypatię do osoby mojej, więc kto na mnie głosować będzie? Że zaś Marszałek postawił kandydaturę moją, choć niezawodnie się domyśla, że niewiele, a może żadnego głosu nie otrzymam – uważam to za sympatyczny gest z jego strony w stronę Wilna, Wileńskiej Batorowej Wszechnicy, która jest ukochanym jego dzieckiem, a ja w chwili obecnej jestem jej rektorem; wreszcie propozycja Marszałka jest także gestem w stronę konserwatyzmu, oznaczającym, że nie ma on nic przeciw wyborowi konserwatysty i monarchisty, byleby miał pewność, że to człowiek uczciwy«". Jak wiadomo, na urząd prezydenta został wybrany wówczas, w 1926 roku, Ignacy Mościcki.

Interesujący szkic do portretu duchowego, intelektualnego profesora Zdziechowskiego, przedstawił Stanisław Cat-Mackiewicz w książce „Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.". Obaj panowie ze sobą wiele lat współpracowali, znali się doskonale. Ów szkic powstał właśnie *à propos* odbywających się w 1926 roku wyborów na urząd prezydenta RP:

„Profesor Zdziechowski, konserwatysta, nigdy politykiem nie był, będąc zawsze pisarzem politycznym. Był obok profesora Petrażyckiego, znakomitego, genialnego teoretyka prawa, jednym z niewielu Polaków, znanych za granicą. Nosił w sobie wyjątkową dystynkcję osobistego uroku, kultury umysłowej i gorącego serca. Głęboki znawca literatury XIX wieku, lubował się w pisaniu książek treści politycznej, był przed wojną neoslawistą, bronił Puszkina w Krakowie, a Chorwatów i Słoweńców przed Węgrami. Po wojnie stał się przede wszystkim madziarofilem. Była to natura skłonna przede wszystkim do obrony uciśnionych, bronił tych, przeciwko którym zwracała się odmienność losu. Bronił Żydów, gdy ich prześladowano, był prawie antysemitą, gdy Żydzi panowali; bronił Chorwatów, gdy panowali Węgrzy, bronił Węgrów, gdy ich upokorzył traktat w Trianon; był germanofilem, gdy podczas wojny mieszkał w Petersburgu, stał się obrońcą resztek białej emigracji, gdy żebrała po brukach Paryża i Warszawy; bronił Piłsudskiego, gdy ten był w Sulejówku, po zaginięciu generała Zagórskiego napisał list o nim, nazywając go swoim przyjacielem. Ponieważ Piłsudski lubił Zdziechowskiego, a po wysłuchaniu odczytu o Chateaubriandzie powiedział o nim po rosyjsku: »Wot bojewoj gienierał«, więc zaproszono Zdziechowskiego już po zamachu majowym, aby wygłosił przemówienie w auli uniwersyteckiej z powodu imienin Marszałka. Zdziechowski mówił cały czas o generale Szeptyckim i innych ludziach nielubianych przez Piłsudskiego. Była to głęboka natura artystyczna, można było nawet o nim powiedzieć, że był sumieniem Polski, ale nie nadawał się na polityka: jego sądy estetyczne na tyle górowały w nim nad sądami politycznymi".

▶ Wrócić do punktu, skąd się wyszło, do Boga

W okresie wileńskim profesor Zdziechowski wiele prac poświęcił zjawisku bolszewii, zagrożeniom ze strony bolszewii dla Polski i Europy. Swoje przemyślenia zawarł m.in. w publikacjach: „Renesans a rewolucja" (1925), „Od Petersburga do Leningradu" (1934), „Terror intelektualny w Rosji" (1937), „W obliczu końca" (1937), „Widmo przyszłości" (1939, wydanie pośmiertne).

Zdaniem Zdziechowskiego, bolszewizmu nie można wytłumaczyć i zrozumieć w sposób racjonalny, bo jest to zjawisko spoza kategorii politycznych, społecznych. „Bolszewicki przewrót od samego początku odczuwałem metafizycznie, nawet eschatologicznie. Było dla mnie jasne, że bolszewizm był czymś więcej niż jednym z kierunków rewolucyjnych. Obrzydliwość haseł, zaciekłość i okrucieństwo tych, co je głosili, fanatyczna żądza sponiewierania i skalania wszelkiego piękna – wszystko to, nie dając się wytłumaczyć logicznie, wydało mi się wyrazem opętańczego szału, świadczyło o wkroczeniu jakichś ciemnych, apokaliptycznych potęg na widownię dziejów" – wyłuszczał w eseju „Tragiczna Europa".

W „Widmie przyszłości" wileński filozof pisał o odczuwaniu działania nadprzyrodzonych sił zła: „Od pierw-

eprasa.pl 8877ab7377

szej chwili wyczułem w bolszewizmie zjawisko zupełnie od wszystkiego odmienne, czego wytłumaczyć nie mogę inaczej jak bezpośrednią ingerencją zaświatowych, metafizycznych potęg ciemności".

Według Zdziechowskiego bolszewizm stara się zaciekle zniszczyć w duszy ludzkiej wszystko to, co ją nad zwierzę wyróżnia. Głównym celem bolszewizmu jest zniszczenie religii, wykorzenienie z duszy człowieka wszelkiej myśli o Bogu, zabicie tęsknoty za życiem wyższym. Uważał, że dla budowy bolszewizmu z duszy człowieka należy wyeliminować, jak to nazywał, trzy podstawy życia: religię, rodzinę i poczucie własności. W oczach Zdziechowskiego bestializm bolszewickich rewolucjonistów wieńczył proces gnicia cywilizacji zachodniej, widoczny już wyraźnie od rewolucji francuskiej, oraz spełniał proroctwa o nadchodzącym końcu historii i panowaniu Antychrysta.

W tekście „Duchowa podstawa walki z bolszewizmem" poszukiwał profesor możliwości uniknięcia katastrofy. „Czytamy w Ewangelii, że przyjdą czasy, »gdy ludzie schnąć będą od strachu i oczekiwania tych rzeczy, które będą przychodzić na wszystek świat« (Luc. XXI). Czasy te już przyszły tam, o miedzę od nas – i do nas idą. Winni temu są ci, co przeszkodzić mogli, a nie przeszkodzili: myśliciele i pisarze, jak R. Rolland [pisarz francuski 1866–1944 – przyp. D.J.], którzy podłym frazesem, iż ze zła rodzi się dobro i szczęście, zagłuszyli w sobie sumienie i nie słyszą jęku swych bliźnich, torturowanych i mordowanych tam, w Rosji; winni są publicyści, którzy z ulicy biorą hasła i za pomocą prasy urabiają opinię; winni ci, których oślepia chciwość i w interesy z diabłem wchodzą; a najwinniejsze są rządy, które kłaniając się i zabiegając o łaskę opętańców moskiewskich, tym samym wyrok śmierci sobie samym piszą.

Czy da się odrobić to, co dopuściła bezmyślna niedbałość, czy da się odeprzeć najście potęg ciemności? Nie wiem, ale to pewne, że ciężkie próby mamy przed sobą. Może niejednego z nas czeka męczeństwo. Niechże gotowi będą ci, co są i co chcą być hufcem Chrystusowym – Gens Santa (ród niezłomny)!".

W „Widmie przyszłości" pisał: „Co nas od zbliżającej się nawałnicy uratować może? Tylko świętość mogłaby zwyciężyć w tej strasznej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza". Bolszewickiemu nihilizmowi Zdziechowski przeciwstawiał siłę ludzkiego ducha. To było, jego zdaniem, prawdziwe pole bitwy z bolszewią.

W powrocie do silnej wiary chrześcijańskiej widział światełko nadziei. Najlepiej to chyba oddaje Zdziechowski w eseju „Tragiczna Europa":

„Komunizm to socjalizm integralny, bezkompromisowy, czyli nie liczący się z rzeczywistością, pędzący do celu poprzez rewolucję i zniszczenie, bo innej drogi nie ma. Rewolucja i zniszczenie są prawem natury i na tym prawie natury stoją okrutne dogmaty materializmu marksistowskiego: »Niech zginie dziewięć dziesiątych ludności Rosji – mawiał Lenin – byleby jedna dziesiąta ujrzała nowy, na zasadach Marksa zbudowany świat«. W bolszewizmie rosyjskim odżył duch jakobinizmu francuskiego, tyle że podniesiony do najwyższej potęgi.

Rewolucja o charakterze międzynarodowym, zakrojona na cały świat, musi stopniowo zagarnąć wszystkie inne kraje, aby w swoim własnym kraju nie zginąć. W tym celu bolszewizm znakomicie zorganizował wszecheuropejską, a nawet wszechświatową propagandę. [...]

Europa przeżywa dramat stopniowej utraty złudzeń, które dotąd kierowały jej życiem. Jako cel brała człowieka, to jest ludzkość, rozum, naturę, opanowanie świata materialnego, państwo, dobrobyt klas upośledzonych – rzeczy doniosłe, lecz tylko jako środki do celu ostatecznego, do Boga. Dziś widzimy, że człowiek nie jest dobry, rozum nie jest nieomylny, natura jest obojętna, nauka – równie przydatna do rzeczy dobrych, jak i złych. Materia przygniata ducha, a państwo – naród; klasy są to tyranie, którym brak duszy. Jakieś siły nieznane unoszą nas ku nieznanym celom, wpadamy w defetyzm ducha.

Jedno jest wyjście: wrócić do punktu, skąd się wyszło, do Boga, do koncepcji chrześcijańskiej, uważającej człowieka za istotę noszącą obraz Boży w sobie i przeznaczoną do celów nadprzyrodzonych, nie zaś za fenomen biologiczny. Koncepcja chrześcijańska wymaga autorytetu stojącego na straży Prawa Bożego. Jedno z dwojga – albo autorytet duchowy, albo przymus fizyczny. [...]

Wobec wspólnego wroga i wspólnego niebezpieczeństwa progresywnej dechrystianizacji świata, niech wszyscy chrześcijanie bez różnicy wyznań i w przeświadczeniu, że bez chrześcijaństwa nie ma cywilizacji, złączą się w wysiłkach wspólnej pracy".

Zdziechowski widział rzeczywistość z niebywałą przenikliwością, której niestety zabrakło wielu późniejszym publicystom. Nie wahał się nazywać po imieniu opisywanych zjawisk. Widział jasno cele bolszewików, nie ulegał złudzeniom, nie oszukiwał ani siebie, ani swoich czytelników, co do zamierzeń bolszewickich wobec Polski. Przewidywał trafnie to, co się stać musiało.

Na naszych oczach przemija postać świata. Warto sięgać do publikacji profesora Mariana Ursyna Zdziechowskiego – w nich znajdziemy wiele aktualnych opinii. Może nie jest jeszcze za późno, by ocalić świat przed bolszewicką zagładą? ■

***

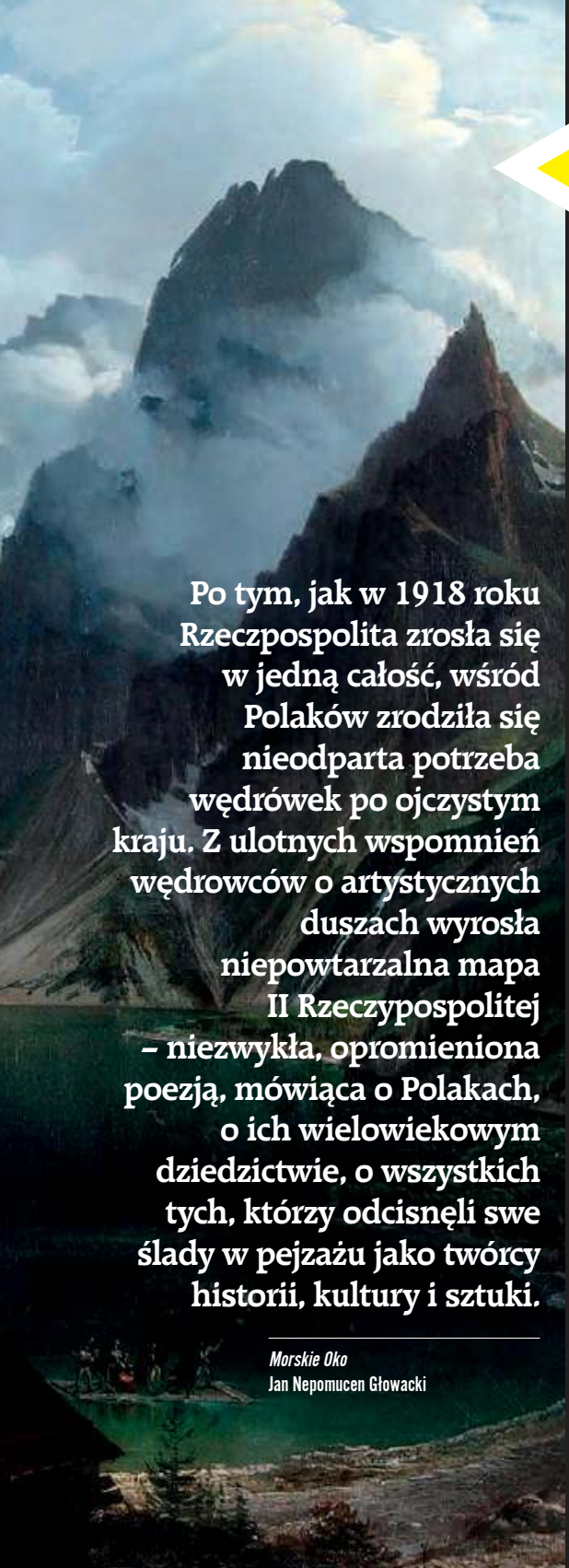
PS. W dawnym dworku Zdziechowskich, w Suderwie pod Wilnem, znajduje się szkoła podstawowa, której we wrześniu 2007 roku decyzją rady samorządu rejonu wileńskiego nadano imię Mariana Zdziechowskiego. Znajduje się ona przy ulicy Mariana Zdziechowskiego. W szkole urządzona została izba pamięci poświęcona profesorowi.

eprasa.pl 8877ab7377



Agnieszka Kowalczyk

Z WĘDRÓWEK PO ZIEMI NASZEJ



Po tym, jak w 1918 roku Rzeczpospolita zrosła się w jedną całość, wśród Polaków zrodziła się nieodparta potrzeba wędrówek po ojczystym kraju. Z ulotnych wspomnień wędrowców o artystycznych duszach wyrosła niepowtarzalna mapa II Rzeczypospolitej – niezwykła, opromieniona poezją, mówiąca o Polakach, o ich wielowiekowym dziedzictwie, o wszystkich tych, którzy odcisnęli swe ślady w pejzażu jako twórcy historii, kultury i sztuki.

Morskie Oko
Jan Nepomucen Głowacki

Tego, jak patrzeć na polską ziemię, by dojrzeć w niej „żywą krynicę poezji", uczył niegdyś swych rodaków Józef Ignacy Kraszewski, który mówił, że rodzimy krajobraz „trzeba [...] poznać głębiej, umiłować, wżyć się w jego tajniki, trzeba może zatęsknić za nim, może po nim zapłakać. Naówczas strzeli z serca promień natchnienia i ozłoci wszystko, [...] zaśmieją się chatki i zaszumią drzewa, i przemówią omszone krzyże nasze". Słowa te wzięli sobie do serca żyjący już w Niepodległej ludzie pióra i artyści, a wśród nich Jan Lechoń, Rafał Malczewski, Stanisław Wasylewski i Witold Hulewicz. Oni to zapragnęli odkrywać na nowo różnorodność „barw miejscowych ziemi naszej" wyrosłych z ducha miejsca przemawiającego własnym głosem. A tym wszystkim, co piękne dla oka i drogie dla duszy, dzielili się w swych oryginalnych szkicach krajoznawczych, reportażach i wspomnieniach, które i dziś mają dla czytelnika szczególny urok.

U generała Dąbrowskiego w Winnej Górze

Wędrując szlakiem wielkopolskich dworów i pałacyków, w których tętni duch polskości, niezmordowany poszukiwacz pamiątek i śladów przeszłości Stanisław Wasylewski nie mógł się oprzeć pokusie zajechania do Winnej Góry. Posiadłość ta wiązała się nieodłącznie z osobą generała Jana Henryka Dąbrowskiego, który otrzymał od Napoleona Bonaparte wielkopolski dwór wraz z majątkiem za żołnierskie zasługi. Swoją bowiem ojcowiznę w Krakowskiem przeznaczył na formowanie pierwszych oddziałów wojska polskiego we Włoszech – „na rozpięcie tego łuku błyskawicowego, który miał starą próchniejącą Polskę z nową, idącą, dziewiętnastowieczną połączyć!".

Do tego, że Wielkopolska stała się jego domem i że złączył z nią dożywotnio swe losy, przyczyniła się nie tylko darowizna Napoleona, lecz przede wszystkim działalność wojskowo-obronna generała, który w czasie Insurekcji Kościuszkowskiej wsparł swą szablą wielkopolskie wystąpienie zbrojne, a w 1806 roku wszczął w tej części kraju powstanie przeciwko Prusakom. Dzięki zaś swym cechom charakteru – jako człowiek „metodyczny, solidny i trzeźwy" – doskonale przystawał do ideału Wielkopolanina. Jego prawnuk Andrzej Mańkowski pokazywał Wasylewskiemu pamiątki, jakie pozostały po nim w Winnej Górze – najbardziej osobiste drobiazgi i sprzęty wojskowe – proste, symboliczne, oddające istotę jego żołnierskiego żywota. Była wśród nich staroświecka luneta, przez którą dało się dostrzec, jak „zagorzałe zioła dżdżu z nieba wołają", był srebrny pas z nabojnicą, były sakiewki z koralików „wydziergane czułą dłonią niewieścią", a do tego oprawny w safian pugilares z miniaturą córki. Można sobie wyobrazić, że wszystko to spoczywało w szufladzie kantorka w czasie,

77ab7377

kiedy „generał na frontach bitewnych okazji do swoich ośmiu blizn zaszczytnych szukał". Wysłużona natomiast i zdarta do cna torba podróżna, kryjąca w sobie prymitywne szczotki, nożyczki, wyszczerbione przyrządy toaletowe, świadczyła najlepiej o tym, jak jej właściciel mało dbał o swoje wygody i jak przywykł do twardej żołnierskiej służby. Najważniejsza ze wszystkich była jednak relikwia bitewna – „rękawiczka z prawej ręki, pospolita, wełniana, brunatnego koloru z rudym zaciekiem gdzieniegdzie. Na palcu wskazującym pod samym paznokciem wielka dziura, jakby wygryziona przez myszy. To pamiątka wyprawy na Moskwę, ślad kuli, która strzaskała palec wodzowi, gdy z szablą do góry wzniesioną szedł na czele swej dywizji do kontrataku pod Brylem, na linii Wilno–Borysów. 28 listopada 1812 roku". Obok niej zaś spoczywał przecięty na pół pierścień, który w inny sposób nie mógłby zejść z pogruchotanego i napuchniętego palca.

Wyobraźnię Wasylewskiego rozpalały pełne obrazów ściany winnogórskiego domu. Najsilniej przyciągał jego uwagę wizerunek Napoleona wyhaftowany przez cesarzową Józefinę oraz szereg reprodukcji dzieł włoskiego renesansu, które generał Dąbrowski szczególnie sobie upodobał. Przywodziły mu one na myśl chwile własnego tryumfu, gdy legioniści pod jego wodzą „na oczach rozentuzjazmowanego Rzymu szli przy odgłosie trąb i kotłów na wzgórze Kapitolu". Z innego obrazu wyłania się postać generała wspartego o tom Schillera, który schowany w zanadrze munduru, uchronił go przed niechybną śmiercią w Lombardii. Nic jednak nie mogło dorównać marmurowemu popiersiu dłuta nieznanego artysty, przechowywanemu w kaplicy winnogórskiego kościoła i stanowiącemu najwierniejsze bodaj odzwierciedlenie postaci niezłomnego wodza Legionów. Z chwilą, gdy ciało generała legło już na marach, wszelkie formy utrwalania jego pamięci spotkały się z gwałtownym oporem władz zaborczych, bo jak opowiada Wasylewski, „dla administracji pruskiej postać buntownika, który w roku 1806 podniósł oręż przeciw prawowitej monarchii, koszmarem była i czerwoną płachtą. Unicestwiali każdy zamiar postawienia mu pomnika, prześladowali każdą pielgrzymkę do mauzoleum". Na sarkofagu pozwolono umieścić jedynie imię i nazwisko zmarłego, a o każdy inny symboliczny element trzeba było staczać zacięte boje, jak choćby o nazwy zwycięskich bitew wyryte na filarze. Jakież więc musiało być zdziwienie każdego, kto znalazł się w tym miejscu, gdy pewnego dnia na straży grobowca stanął Orzeł Biały rozpościerający swe skrzydła nad postacią pierwszego z Polaków, co stało się za sprawą jego syna, który przemyślnie uśpił czujność wysokiego urzędnika pruskiego. Dowiedziawszy się, że jest on zapalonym filatelistą, zakupił w Lipsku drogocenną kolekcję znaczków i „podarował mu ją na wieczne oddanie", a ten przymknął oko na wszystko, „tak mu się znaczki podobały".

Generał Dąbrowski, w przeciwieństwie do swego wielkiego rywala, księcia Poniatowskiego, nie posiadał własnej legendy – „nie umiał zręcznie płynąć na jej falach, jak tamten nieustraszony i wspaniały gładysz, nie chciał błyszczeć, nie łamał się z sobą, nieubłaganie konsekwentny, zimny i mrożący". Jego udziałem nie był ani spektakularny odwrót znad Berezyny (wracał ranny w karecie), ani heroiczna śmierć na polu bitwy. Zmarł w dość prozaicznych okolicznościach. Upadek przy wychodzeniu z powozu przypłacił prowadzącą do śmierci gangreną. Gdy ciało bohatera spod Lipska układano wśród grobów królewskich na Wawelu, Dąbrowski mógł pomyśleć w duchu: „A ja mam mojego mazurka!".

▶ Polska Atlantyda

Uchodząca za kolebkę polskiej państwowości Wielkopolska „tysiącami wykopalisk udowadniała swoją słowiańskość", a w czasach niewoli była „źródłem prawdziwej wiary narodowej". W Niepodległej zaś, w 1933 roku, rozwarła swe głębie przed archeologami, którzy stanęli wobec tajemnicy sprzed 2,5 tysiąca lat, jaką skrywała leżąca na Pojezierzu Gnieźnieńskim wieś Biskupin. Oszołomiony rewolucyjnym odkryciem Stanisław Wasylewski obwieszczał, że oto „rozstąpiła się ziemia na półwyspie biskupińskim i odsłania doskonale w mule bagiennym zakonserwowaną, niby muszka w bursztynie, prapolską osadę przedhistoryczną z epoki wczesnego żelaza [...]. Weszliśmy na trop polskiej Pompei! Atlantyda wyjrzała z otchłani wieków!".

Mijały wieki, a fale biskupińskiego jeziora wciąż z taką samą siłą biły o nabrzeże, przypominając o dawnych mieszkańcach prapolskiego grodu, którzy na bagnistym półwyspie wznieśli swą osadę z okazałymi domostwami, z ulicami „wybrukowanymi" kłodami drewna, z potężnym drzewno-ziemnym wałem obronnym i zabezpieczającym go falochronem. Na ślady ukrytego wśród torfowisk grodu natrafił w 1933 roku miejscowy nauczyciel Walenty Szwajcer, który o swoim znalezisku powiadomił profesora Józefa Kostrzewskiego, jednego z najwybitniejszych archeologów. I tak dzięki inicjatywie tego pasjonata polskiej prehistorii w nieznanym dotąd rejonie Wielkopolski ruszyły zakrojone na szeroką skalę badania naukowe z udziałem całego zastępu antropologów, archeozoologów, botaników i chemików.

Oglądając wykopalisko z każdej strony, Wasylewski puszczał wodze fantazji i oczyma wyobraźni widział przed sobą masywy wież obronnych i stojące rzędami przysadziste chaty o drewnianych podłogach i glinianych paleniskach. Wyrastały przed nim strzegące grodu wały wzniesione ze skrzyń wypełnionych ziemią, pia-

eprasa.pl 8877ab7377

skiem i kamieniami, a także brama o dwuskrzydłowych wrotach stanowiąca jedyne wejście do osady. Przypatrywał się wojownikom grzejącym się przy ogniu i spoglądał z podziwem na niewiasty przystrojone w „kabłączyki skroniowe", narodową ozdobę tych stron. W osadzie praca na pełnych obrotach – parobkowie mielą zboże na żarnach, żniwiarze ochoczo idą w pole z żelaznym sierpem, a wokół rozchodzi się zapach świeżo upieczonego chleba z ziaren prosa. O tym, jak tysiące lat temu życie toczyło się nad biskupińskim jeziorem, wiele powiedzieć mogli członkowie naukowej ekspedycji profesora Kostrzewskiego, którzy specjalizowali się w odczytywaniu tajemnych hieroglifów przeszłości. Tak na przykład „paleobotanik pouczy [...], jakie zboża uprawiali prapraszczurowie nasi, paleozoolog [...], zbadawszy kości zwierząt, zawyrokuje, że ludzie ci nie jadali zwierzyny łownej, bo mieli do zbytku mięsa ze zwierząt domowych. Już wówczas mieli Wielkopolanie wielką predylekcję do wieprzowiny, świnobicia bywały nierzadkie, jeśli sądzić z kości znajdowanych w chatach, golili się często i starannie, o dzieci dbali szczególnie, skoro garncarz miejscowy wyrabiał specjalne smoczki do ich karmienia". Z ziemi wydobyto nawet grzechotki, którymi biskupińskie dzieci bawiły się 2,5 tysiąca lat temu. Znaleziono też paciorki z ciemnoniebieskiego szkła, przywożone tu wprost z Egiptu, jako luksusowy towar importowany. Skarbów ukrytych w torfowych pokładach było zresztą bez liku, a wśród nich – przeróżne naczynia użytkowe, talerze, garnuszki i czarki, przęśliki do krosien, ciężarki, szpile i ozdoby. Największe emocje wzbudziło jednak... koło do wozu, gdyż jak się okazało, mieszkańcy Biskupina znajdowali się już w posiadaniu tego epokowego jak na owe czasy wynalazku. Co więcej, było to pierwsze takie koło odkryte na terenie Europy Środkowej!

Wody Jeziora Biskupińskiego i jego bagniste nabrzeża skrywały wiele jeszcze tajemnic, które zgłębiali polscy uczeni. Toteż już w latach 30. XX wieku narodziła się wśród nich myśl, by przeistoczyć „polskie Pompeje" w rezerwat prehistoryczny.

Kraków Jana Lechonia

Dzieciństwo Jana Lechonia upływało wśród skał i pagórków Ojcowa, trzy mile od Krakowa, na który spoglądał w bezchmurne dni ze szczytu Chełmowej Góry. Serce biło mu mocno i oczy śmiały się, gdy patrzył z wysoka na zalane słonecznym blaskiem wieże i dachy starożytnego miasta – miał przed sobą Wawel, kościół Panny Marii, Sukiennice i tyle jeszcze innych pamiątek przeszłości. Dalej zaś „przeczystą srebrną linią oddzielały niebo od ziemi" Tatry, w których, jak głosiły legendy, spoczywali śpiący rycerze. Dla Lechonia było to miejsce najgłębszych tęsknot i marzeń. Toteż gdy opuszczał bajeczną wyniosłość, która dostarczała mu tylu wzruszeń, coraz bardziej pożądał książek, obrazów i zakazanych pieśni otwierających wyobraźnię na to, co znajdowało się po tamtej stronie. „O tym, że Kraków był też w niewoli, wiedziało się, ale nie można było tego pojąć – pisał – skoro stamtąd przywoziło się pocztówki z białym orłem, za których posiadanie tutaj groziła ciężka kara, skoro tam w teatrze można było grać »Dziady« i »Kordiana«. Nie ma tam wprawdzie już królów i wodzów, ale żył jeszcze tak niedawno ktoś im równy, bo równy Mickiewiczowi i Słowackiemu". Był to Stanisław Wyspiański – rewelator prawd narodowych, człowiek wyrastający z ducha dawnej stolicy. W jego twórczości skupiało się wszystko, co było esencją polskiego życia – „dawni królowie i bohaterowie, Mickiewicz i postacie z poezji romantycznej, proroctwo przyszłości i jakiś smutek, darzący siłą". Z jego dzieł czytał Lechoń głęboką prawdę, że „duchy chodzą między żywymi, że nasze marzenia, widzenia są równie prawdziwe jak to, co nas otacza". W szczególności zaś „Wesele" było dla niego fenomenem mistycznego związku żywych i umarłych, współistnienia i przenikania się obu tych światów. Głęboko zapadła mu w pamięć zwiewna, poetyczna postać Racheli, która wyciąga swoje dłonie „ku czemuś, co jest za oknem, co jest najgłębszym czarem polskości, jej kwiatem i co jest tajemniczo spowite w chochoł ze słomy". Wszystko, co dzieje się w weselnej chacie i co kryje się za oknem, to dla niego sam Kraków – „tam można jeszcze mówić o tym, o czym się tutaj tylko marzy, tam jeszcze chłopi są tacy sami jak Głowacki, tam do poetów przychodzą duchy rycerzy, a za oknami jest pejzaż wesoły zarazem, falisty i zadumany, z którego urodziła się owa muzyka monotonna, urzekająca, prowadząca duchy z tamtego świata. Dnie, które się wtenczas przeżywa, jest to oczekiwanie, jak w ostatniej scenie »Wesela«, czy się nie usłyszy »tętentu od krakowskiego gościńca«; wszystko teraz prowadzi do tego, co było w książkach, to, co było poezją, marzeniem, staje się jedyną prawdą, przed którą ustępuje krótkowzroczny rozsądek mędrków". Lechoniowi wydawało się, że wciąż jeszcze słychać ów tętent legionowej braci i widać męża, jak pędzi na swej Kasztance, sroży krzaczaste brwi i poprawia sumiastego wąsa na dźwięk rogu, który to lirnik Wernyhora zostawił w bronowickiej chacie Gospodarzowi...

Wszystko to sprawiało, że Kraków miał dla poety-skamandryty swój nieodparty urok. Już w wolnej ojczyźnie ze wzruszeniem słuchał hejnału z wieży mariackiej i z rozrzewnieniem patrzył, jak „wysoki księżyc sadowi się na koronie Panny Marii", a o siódmej wieczorem zapuszczał się w okolice teatru, dokładnie wtedy, kiedy rozpoczynała się akcja w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego. Z każdą chwilą narastało w nim przeświadczenie o położonej na Krakowie pieczęci złotego wieku, co uobecniało się nie tylko w jego ar-

eprasa.pl 8877ab7377

chitekturze, lecz przede wszystkim w kulturze i duchowym klimacie. Odczuł to szczególnie silnie, gdy któregoś razu, powróciwszy z dalekiej podróży, zatrzymał się na krótko w mieście królów i artystów. Był wówczas pogodny lutowy dzień, „pełen tej popołudniowej gry światła i mroku, która kładzie na krakowskie gmachy te same woale poezji co liliowe mgły impresjonistów na Paryż". Miał wrażenie, jakby oglądał to miejsce po raz pierwszy. „Ach! – wyznawał w zachwycie – jakież wydało mi się wielkie, potężne, wspaniałe! Wawel, odsłonięty przez ogołocone z liści drzewa, wyglądał bardziej niż kiedykolwiek jak zamek widmo, jak groźna północna forteca, pusta zupełnie o tej porze Kanonicza zdawała się rozbrzmiewać chrzęstem starego uzbrojenia, nigdy Panna Maria nie wydała mi się tak wielka, tak do innych katedr niepodobna". Wszystko to pogłębiało w nim poczucie wspólnoty z tym miastem, opromienionym dziecinnym marzeniem i szczerym podziwem poety rozkochanego w skarbcu narodowej przeszłości.

Na skalnym Podhalu

„Ziemia podhalańska, ziemia kresów południowych Polski, wsparta o bastion Tatr, spływająca ku północy wachlarzem wyżyn i dolin, przecięta masywami Beskidów, uroczą Sądecczyzną – ziemia uboga, lecz nad wyraz piękna", odkrywana była przez Rafała Malczewskiego – artystę malarza, wielkiego miłośnika i popularyzatora Tatr, zapalonego narciarza i pasjonata górskich wędrówek, wreszcie autora nietuzinkowych listów nadsyłanych z Zakopanego. Polskie góry przyciągały go z magnetyczną siłą, której nie mógł się oprzeć, bo to świat „nadmiernie zielony, świeży w porównaniu z nizinami. [...] Tutaj właśnie można chłonąć jakąś witaminową siłę, zieloną krew z roślinności skromniejszej niż w dolinach, nabrzmiałej pragnieniem rozrostu, trwającej w powietrzu ostrym i pobudliwym. Nałykawszy się sałatki miasteczkowej, jest gdzie uciec. Wtedy każdy błogosławi chwilę, w której postanowił zjechać do Zakopanego, i otrzymuje nowy zastrzyk zakopianiny".

Od cepra do wariata

Z barwnych i skrzących się humorem listów Malczewskiego możemy dowiedzieć się między innymi, jak zwykle przebiegała w Zakopanem pierwsza wizyta cepra, czyli człowieka rozległych równin polskich. Taka eskapada, zwłaszcza w pełni sezonu, między Wigilią a świętem Trzech Króli, nie mogła obyć się bez wstrząsów i niespodzianek dla niedoświadczonego i naiwnego podróżnika, któremu zamarzył się niczym niezmącony wypoczynek w zamówionym pensjonacie.

„Gdy po okrutnej męce podróży w wagonie upchanym po pułap wysiądzie na zakopiańskim dworcu, [...] porwą go jacyś ludzie, umieszczą w sankach, nakryją kuframi i pognają z nim do pensjonatu, w którym ponoć go oczekują. Przyszłe lokum miało nosić nazwę »Nenufarek«, tymczasem ląduje w domu »Pod Trumienką«. Nie pomoże żaden opór. Zawloką go do tak zwanego holu portier z góralem, pozbawią paru złociszów i rzucą na pastwę gospodyni. Ona zaś o wszystkim wie. Wie, że miał mieszkać w »Nenufarku«, ale został w drodze handlu wymiennego odstąpiony jej. Dowie się, że »Pod Trumienką« zamieszkiwał Żeromski i Janosik, że tu właśnie zbiera się cały świat polityki i finansów [...]. Już jakieś rzęsiste dziewczę taszczy kufry z podziemia. »To tylko chwilowo zanocuje pan w spiżarni, od Nowego Roku przeniosę pana do łazienki« – mówi władczyni »Trumienki« [...]. Z czasem dopiero zauważy, że celka, którą zamieszkuje, nie ma okien, że w szafie tkwią słoiki z rydzami, tapczan zaś, na którym skłoni umęczony łeb, wykonany jest z dwóch blatów od jadalnego stołu, siennika i baranicy".

Pierwszy zaś wypad do stolicy Tatr grozi niechybną katastrofą, bo oto biedny ceper, jak przyznaje zahartowany w zakopiańskich bojach Malczewski, musi stanąć oko w oko z rozszalałym żywiołem ulicy. Musi mieć oczy z tyłu głowy, by wśród śnieżnej zadymki nie zderzyć się z pędzącymi na złamanie karku tabunami dzikich koni, poganianych przez „opętańczo ryczących" woźniców. Potrzeba mu czasu, by oswoić się z tym, jak raz po raz „ryczą klaksony, drą się wystraszone kobiety, w ponętnych wygibasach suną mistrzowie deski, kuśtykają początkujące niezdary, walące się pod końskie kopyta". Uliczny wir porywa, wciąga i obezwładnia. Łatwo zabłądzić w lesie domów, zgubić się wśród opłotków, nie mówiąc o utonięciu w śnieżnych zaspach albo pogryzieniu przez owczarki, które są „bardzo sprawne w postępowaniu z baranami". Gdy zaś półżywy ceper wróci do pensjonatu, sądząc, że na dziś koniec jego katuszy, będzie w błędzie, bo pod góralską strzechą nie zazna bynajmniej spokoju. Gospodyni zdążyła już w międzyczasie podnająć kąt jego spiżarni wraz z tapczanem innemu strudzonemu wędrowcowi, co skazuje go na polowe łóżko zbite przed chwilą z drzewa wyciętego na Polanie Chochołowskiej. Ceper nie traci jednak rezonu i postanawia wyprawić się na Kasprowy Wierch. Kolejką linową z Kuźnic dostanie się na wyśniony szczyt góry, a to, co nastąpi później, zapamięta na długo: „Przerażenie, nieopanowany pęd, gruchotanie kości, plucie kiszkami, nadziewanie na pal, śmierć z wyczerpania i wreszcie ostateczna ulga: łbem o sosnę i rozkoszne przejście w niebyt". Obudzi się dopiero w szpitalu z połamanymi żebrami, obojczykiem i nogą w gipsie, przykuty do łóżka na trzy tygodnie.

eprasa.pl 8877ab7377

Tego rodzaju przygody nie odstręczały jednak ceprów, dla których Zakopane miało swą niepojętą siłę przyciągania. W przekonaniu Malczewskiego dopiero za którymś z kolei przyjazdem można prawdziwie nasycić się Tatrami. Trzeba bowiem czasu, zanim taki świeżo upieczony przybysz posiądzie umiejętność zdobywania miejsc w pensjonatach i w kawiarniach, nauczy się cierpliwości, „zrozumie, że lepiej takiemu jak on ceprowi wychodzić na deskach na Wierch Kasprowy i zjeżdżać wagonikiem kolejki", że w klubie grają w brydża i w „Dyrdymałę", czyniące z gracza „śmierdzącą nogę, kalosz i zgniłą protezę", a na Kasprowym „gra się nawet w żywe kości" podczas kończących się katastrofą zjazdów narciarskich. Wreszcie przychodzi czas na metamorfozę – „po wydaniu paru tysięcy złotych, wypiciu kilkuset litrów alkoholu, paru złamaniach i paru aferach honorowych przestanie być ceprem i zacznie kandydować na swojaka. W chwili zaś, gdy zaawansuje na zaszczytne miano bywalca-tubylca, będzie już takim szaleńcem, że nie spostrzeże, iż jedynym dla niego przytułkiem poza Zakopanem są Tworki".

▶ Żeromski u wód Nałęczowa

Na Wyżynie Lubelskiej, poprzecinanej głębokimi wąwozami, nad srebrzystymi wodami rzeczki Bystrej wznosi się pośród zieloności kasztanowców, dębów i lip stara siedziba magnacka Małachowskich herbu Nałęcz, stanowiąca serce słynnego uzdrowiska klimatycznego. Nałęczów, bo o nim mowa, przyciągał od lat królów, wodzów i artystów. Pod urokiem tej nadwiślańskiej perły zdrojowej pozostawali Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Michał Elwiro Andriolli, Ewa Szelburg-Zarembina. Nade wszystko jednak sława uzdrowiska zrosła się z imieniem Stefana Żeromskiego, o czym przypominał w swym wspomnieniu poeta i krytyk literacki Witold Hulewicz.

„Gdy tak stoję wśród odwiecznych drzew nałęczowskich, dyszących żyzną wilgocią w upalny dzień – wyznawał – to imię »Żeromski« rozwija się przede mną jak karta księgi... Te same kolosy drzew tworzyły zieloną kopułę nad rosnącymi kartami »Siłaczki« i »Dziejów grzechu«. Te same głosy ptaszęce [...] towarzyszyły najtwardszym myślom autora »Popiołów«, jego dumie gorzkiej o wzniesieniu duszy narodu".

W chwili gdy Hulewicz wypowiadał te słowa, nałęczowska „Góra Armatnia" dźwigała na swym szczycie poczerniały, drewniany dom w zakopiańskim stylu, z jedną wielką izbą i z potrójnym, ogromnym oknem. Dom ukryty pośród wybujałej kępy dzikich drzew, wspaniałych białolistnych topoli, wysmukłych lip i akacji. To „Chata Żeromskiego", owa dumna chudoba, do której sprowadził swego dziedzica, kilkuletniego wówczas synka Adasia.

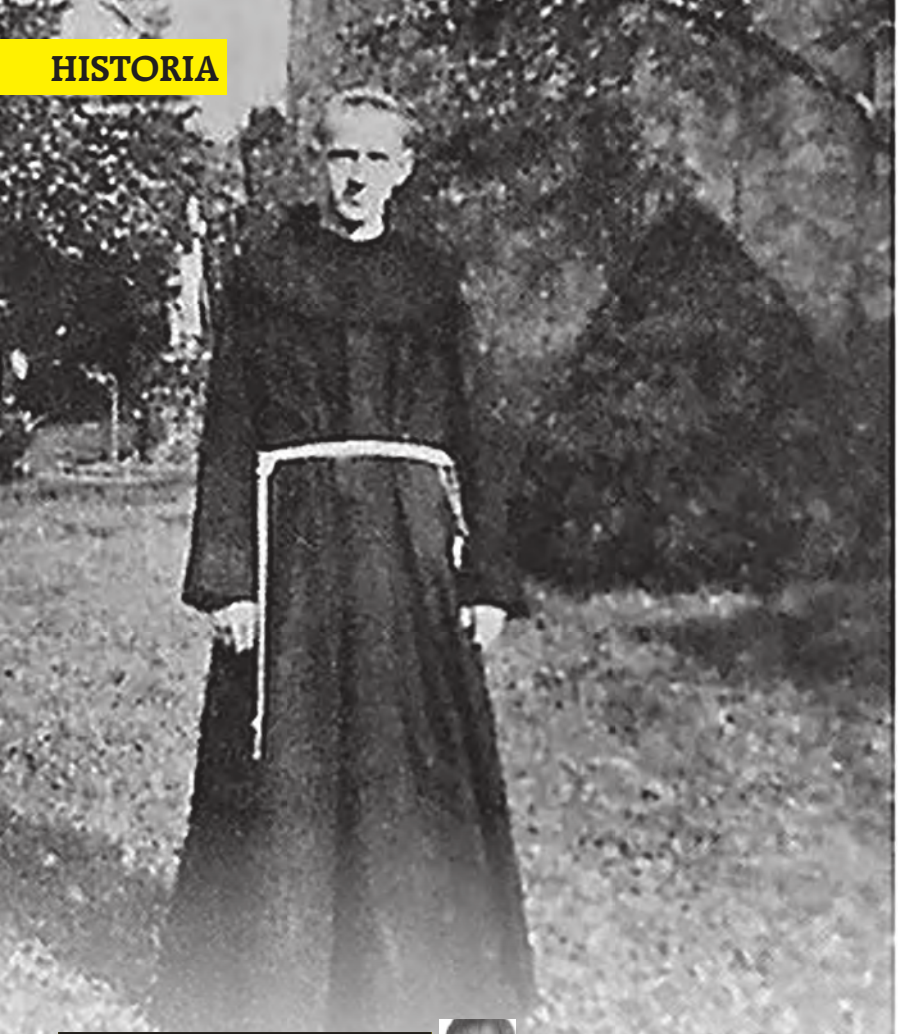
Nałęczów stał się dla pisarza ukochanym miejscem na ziemi, enklawą spokoju wymarzoną do pracy twórczej. W tym malowniczym zakątku Lubelszczyzny zarabiał niegdyś na życie guwernerką w willi państwa Górskich, tam też powstały jego „Opowiadania" i „Ludzie bezdomni", młodopolska powieść o doktorze Judymie. Budowę nałęczowskiego domu rozpoczynał w 1905 roku, gdy wrzało już w Rosji i w Królestwie Polskim, i gdy jako „postępowy apostoł walki czynnej" wygłaszał płomienne przemówienia, podsycając ogień „pierwszych wolności drgnień" i „marzeń o Polsce wolnej".

Zbudowana z gładkich sosnowych bali, jasna i przestronna „Chata Żeromskiego" przypominała wielki spichlerz, do którego prowadziły „zamczyste drzwi". Surowe belki ścian pazawieszane dużą liczbą obrazów, sztychów i fotografii mówiły wiele o kulcie, jaki pisarz żywił dla Mickiewicza i Prusa. Wśród rodzinnych pamiątek wciąż powracał ukochany Adaś – „od dwuletniego ślicznego maleństwa do harcerskich, sportowych, konnych fotografii młodzieńca". Ostatnia z nich ukazywała go „przed strasznym żniwem gruźlicy – skupione, smutne, zapatrzone oczy, tak uderzająco podobne do ojca". Pod wielkim oknem miejsce zajmowały staroświeckie meble, wśród nich biurko z kałamarzem i lampą naftową. Obok zaś żelazne łóżko, to samo, na którym umierał Adam, a przy nim serwantka skrywająca za szybkami jego szkolne podręczniki, farby i rysunki. O zgasłym przedwcześnie życiu mówiły oparte o murowany kominek narty chłopca i leżące na krześle siodło, w którym trzymał się dzielnie, jeżdżąc na swojej ulubionej „Łysce" do szkoły w Zakopanem. Wysoko na ścianach zawisły portrety samego Żeromskiego i inne jeszcze szkice malarskie, w tym ten z ułanami spontanicznie skreślony dla Adasia przez Stanisława Witkiewicza.

Hulewicz, patrząc na „Chatę Żeromskiego" zatopioną wśród starych drzew na „Górze Armatniej", poczuł, że ma przed sobą żywy „relikwiarz literatury polskiej", i doszedł do przekonania, że w przyszłości powstać tu musi muzeum tego, co po Stefanie Żeromskim ocalało: „Pod drzewami sadzonymi ręką twórcy »Popiołów«, w powietrzu przesyconym jego aurą, w obliczu »najcudowniejszego pod słońcem« pejzażu, który Żeromski ukochał nade wszystko – jest najlepsze miejsce na sanktuarium jego ducha i twórczości".

Na ocalenie od zapomnienia zasługuje wiele jeszcze innych szkiców krajoznawczych, bo z tych właśnie fragmentarycznych ujęć, ulotnych wspomnień wędrowców o artystycznych duszach wyrasta niepowtarzalna mapa II Rzeczypospolitej – niezwykła, opromieniona poezją, mówiąca o Polakach, o ich wielowiekowym dziedzictwie, o wszystkich tych, którzy odcisnęli swe ślady w pejzażu jako twórcy historii, kultury i sztuki. ■

eprasa.pl 8877ab7377





Ewa Polak-Pałkiewicz



Wielka wojna ojca Goldmanna

eprasa.pl 8877ab7377



Niemiecki franciszkanin, o. Gereon Goldmann OFM (1916–2003), jako kleryk seminarium w 1939 roku został żołnierzem Hitlera. Podczas wojny nie oddał ani jednego strzału. Był sanitariuszem, ratował rannych i potajemnie pomagał katolikom po obu stronach frontu.

fot. Arch.

Dobrze wykształcony młodzieniec rodem z Ziegenhain w Górnej Hesji, władający biegle siedmioma językami (francuski i włoski doszlifował podczas wojny), uzbrojony był w szczególny rodzaj odwagi i sprytu. Czerpał także nieco złośliwą, nie całkiem franciszkańską satysfakcję płynącą z wyprowadzania w pole i kompromitowania swoich ideowych przeciwników. Przez wszystkie lata wojennej epopei prowadził swoją wielką wojnę z Hitlerem i jego wyznawcami.

Rycerscy Anglicy

Gdy wybuchła wojna, miał za sobą trzy lata studiów seminaryjnych, był w nowicjacie franciszkanów. Najpierw znalazł się w Wehrmachcie, potem na kursie dla oficerów w SS i wreszcie, w 1942 roku, za odmowę wystąpienia z Kościoła został zdegradowany i wysłany karnie na powrót do Wehrmachtu. Doszedł tu do stopnia sierżanta. Wyższe szarże zarezerwowane były dla Niemców, którzy nie zamierzali zostać katolickimi duchownymi lub byli członkami NSDAP. Odznaczony wieloma medalami bojowymi za bohaterstwo w ratowaniu rannych pod ogniem artyleryjskim Karol Goldmann, o. Gereon, pod koniec wojny prosto z frontu w południowych Włoszech trafił do niewoli; blisko trzy lata spędził w obozie jenieckim.

W wydanych po wojnie wspomnieniach odnotował znamienną różnicę między stosunkiem do nieprzyjaciela żołnierzy alianckich oraz swoich rodaków, z których większość dała się zatruć nazistowską ideologią. Zresztą nie tylko Niemcy, także Rosjanie uważali ludzi, z którymi walczyli, za swoich osobistych wrogów. Mieli do nich stosunek czysto emocjonalny, pełen nienawiści. Nienawiść nie tylko odbierała im człowieczeństwo, często uniemożliwiała podejmowanie racjonalnych decyzji; karali w ten sposób samych siebie. Alianci w sytuacjach, gdy nie musieli strzelać do Niemców, prezentowali niejednokrotnie jakiś rodzaj szacunku do tych, z którymi musieli toczyć walkę na śmierć i życie. Czasem zwyczajne ludzkie ciepło i współczucie. Zachowywali się jak ludzie wolni.

Oto jak franciszkanin w hitlerowskim mundurze wspomina swoje pierwsze bezpośrednie zetknięcie się z żołnierzami oddziałów alianckich (rzecz działa się w górach, w pobliżu Scali w południowych Włoszech): „Rycerscy Anglicy dali nam najprzód coś do picia, gorącą herbatę, do tego chleb i kiełbaski. Czegoś takiego już dawno nie widzieliśmy". Przy ognisku rozpalonym przez Anglików niemiecki sierżant oddziału sanitarnego, jakim był wówczas o. Goldmann, i jego kierowca mogli wysuszyć mokrą odzież. „Dostałem nawet nowe skarpety, bo moje były już w strzępach. Sanitariusz zabandażował mi krwawiące stopy. Żołnierze wraz z dwoma naszymi rannymi, których mieliśmy zabrać, siedzieli przy ogniu popijając herbatę i żując, wszyscy w najlepszym humorze".

eprasa.pl 8377ab7377

Klękali głównie Polacy

Pod koniec wojny, jeszcze na parę tygodni przed dostaniem się do niewoli, i zarazem na krótko przed święceniami kapłańskimi, o. Gereon otrzymał od włoskiego biskupa specjalne pozwolenie, by mógł udzielać Komunii św. umierającym i rannym w swoim oddziale. Jako sanitariusz wyposażony we flagę Czerwonego Krzyża przebywał trasę wiodącą z najbliższego kościoła, gdzie otrzymywał Komunikanty (umieszczał je natychmiast w swoim hełmie) i przekraczając linie Amerykanów i Anglików, którzy na tę chwilę przerywali ogień, mógł bezpiecznie wrócić do oddziału. Zdarzyło się, że w trakcie przeprawy udzielał Komunii Świętej. żołnierzom wrogiej armii, bo akurat nie było tam kapelana.

„Jechałem powoli przez nieprzyjacielskie linie i wołałem głośno po niemiecku, angielsku, francusku i włosku: »Przynoszę Chrystusa Pana«. Wszyscy patrzyli na zatrzymujący się czołg. Wysiadałem ostrożnie w Drogocennym Skarbem. Następnie rozdzielałem Komunię Świętą tym, którzy chcieli ją przyjąć. Teraz zobaczyłem, że nasi przeciwnicy pochodzą z różnych krajów. Wielu katolików klękało, przede wszystkim Polacy, inni zdejmowali hełmy i stali w ciszy, gdy podchodziłem od jednego do drugiego żołnierza – kulejący albo ranni leżeli na ziemi. Potem przyszli i zdrowi, prosząc o Komunię Świętą. Front był spokojniejszy, z obu stron przyglądano się niesamowitemu wydarzeniu wojennemu. Nieprzyjacielscy sanitariusze przynosili herbatę i czekoladę. Mój zapas Komunikantów się wyczerpał. »Teraz możecie brać mnie do niewoli« – powiedziałem. Jednak odpowiedź brzmiała: »You go back, You brought tle Lord« – Idź z powrotem, Ty przyniosłeś Pana.

Kilku lekko rannych mogło przesiąść się na nasz czołg. Na oczach obydwu walczących szeregów odjeżdżaliśmy, kiwając jeszcze do siebie dłońmi. Pół godziny pokoju w środku bitwy dzięki Eucharystii!".

Pod niebem Afryki

Ojciec Gereon wyposażony był w nadmiar brawury i pozbawiony instynktu strachu przed śmiercią. Raz tylko – według własnej oceny – znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie utraty życia. Nie było to jednak podczas starcia z oficjalnym wrogiem, choć na linii ognia bywał setki razy, lecz podczas konfrontacji ze swoimi rodakami w osławionym francuskim obozie jenieckim Ksar es Souk w Maroku. Był tu jednym z tysiąca pięciuset niemieckich jeńców, w dużej mierze fanatycznych nazistów, oficerów i podoficerów. Ludzie ci, oczekujący od kilku lat w gorączce na odwet za swoje upokorzenie ze strony „nieśmiertelnej Rzeszy", omal go nie zabili – a przypadki śmierci dla nieprawomyślnych nie były tam odosobnione – gdy rzeczowo wypowiadał się na temat poglądów Hitlera i jego duchowych patronów, Rozenberga, Nietzschego, Kolbenheyera, Baldura von Schirach i innych, oraz gdy w dziesiątkach wykładów wygłaszanych dla współwięźniów demaskował szaleństwo ideologii, biorąc za punkt odniesienia filozofię realistyczną św. Tomasza z Akwinu i naukę Kościoła.

W Ksar es Souk, w skrajnie trudnych, a wręcz upodlających warunkach – afrykański klimat, męczące nocne upały lub przeciwnie: wichury ze śniegiem od Gór Atlasu, robactwo wszelkiego rodzaju, permanentny głód – działało sprawnie zorganizowane przez niemieckich jeńców państwo w państwie. Zaimponować mogła zwłaszcza sprawna siatka szpiegowska. Nieformalni obozowi przywódcy, zdegenerowani moralnie bezwzględni wykonawcy najpodlejszych rozkazów, wiedzieli wszystko o wszystkich. Ideologia, z całym hałaśliwym teatrem pozorów, trzymała wynędzniałych fizycznie i psychicznie ludzi przy życiu, zapewniała motywacje do codziennego wysiłku, donosicielstwa i wymierzania kar – łącznie z biciem i dokonywaniem samosądów. Nikt, kto przeciwstawił się oficjalnemu światopoglądowi tej „szczęśliwej wyspy niemieckiej ziemi", jak ją nazywali, nie mógł się tu czuć bezpieczny. Francuzi przymykali oczy na obozowy terror; nie mieli pomysłu i środków na to, jak z tym walczyć.

Obłędny nacjonalizm był wiarą, treścią życia większości jeńców, całym ich duchowym światem, nawet w obliczu klęski Führera i kompromitacji nazizmu w oczach całego cywilizowanego świata. Katolickie przekonania, chrześcijańska postawa wobec bliźnich budziła furię wściekłości. Forsowano uległość przez stosowanie wszelkich środków przemocy. „Gdy rano niemiecki kierownik obozu, starszy sierżant marynarki wojennej »Dönitz« wzywał cały obóz do apelu i ryczał: »Sieg heil!« – Niech żyje zwycięstwo! Pozdrawiamy Ojczyznę i Führera!, nikt by się nie odważył zaprotestować" – pisze o. Gereon. „W nocy rozlegały się w obozie krzyki bitych, co było najpewniejszą metodą, aby wszystkich zmusić do milczenia... Przypadki śmiertelne były zgłaszane Francuzom jako samobójstwa".

„Katolickie bzdury"

Ojciec Gereon zanotował swoją rozmowę z nazistowskim przywódcą jeńców niemieckich w Ksar es Souk: „Przybyłem tu jako ksiądz katolicki. Dobrowolnie zgłosiłem się do tego obozu, mimo że przestrzegano mnie, co mnie tu czeka. Teraz jestem do dyspozycji żołnierzy, którzy będą życzyli sobie mojej posługi!". „Katolickie i innowiercze bzdury!", usłyszał w odpowiedzi. „Tu nie ma ani katolików, ani protestantów, tylko sami Niemcy. Tu nie ma żadnego zapotrzebowania na obcą narodowi religię, która w dodatku pochodzi od Żyda". Na wiadomość, że o. Gereon będzie spowiadał, nazista stwierdził: „Dla nas Niemców jest tylko jeden grzech – zhańbienie rasy. Karze się go śmiercią. Za to nie ma przebaczenia; do tego nie potrzeba ani Kościoła, ani księdza. Mówię to panu ponownie: kto głosi jakąś obcą religię, jest gorszy od profanatora rasy".

eprasa.pl 8877ab7377

W takich warunkach o. Gereon postanowił odprawiać dla więźniów Msze św. i prowadzić oficjalne duszpasterstwo. Głosił kazania, udzielał sakramentów, spowiadał. Wygłaszał wykłady apologetyczne i odsłaniał najbardziej przez nazistów zdeformowane karty historii Kościoła. Uczył rozumienia Mszy św., Pisma Świętego, podstaw teologii moralnej – w oparciu o doskonałe francuskie podręczniki – dawał lekcje łaciny i greki. Pokonywał przeciwności i udaremniał niezliczone próby zniesławienia go i zastraszenia. Nie bez satysfakcji demaskował zarówno szemrane propagandowe mądrości, jak i taktykę nazistów.

Doprowadził do nawrócenia dziesiątek swoich rodaków. Zyskał przyjaciół na całe życie. Listy od nich przychodziły do niego jeszcze długo, gdy po wojnie pracował jako misjonarz w Japonii. Jego podopieczni wybudowali w obozie z drzewa znalezionego w magazynach Legii Cudzoziemskiej kaplicę; własnoręcznie ją wyposażyli i ozdobili rękodziełami sztuki sakralnej. Stopniowo stawała się ona centrum życia obozu. Rzecz jasna, za ten sukces przyszło o. Goldmannowi zapłacić ogromną cenę. Jego wrogowie zwierali szeregi. Naziści tak jak komuniści zawsze się mszczą.

Po ponad roku tej posługi o. Gereon został postawiony przed francuskim sądem wojskowym. Jego przeciwnicy okazali się dobrze zorganizowaną mafią. Kilkudziesięciu jeńców niemieckich zeznało Francuzom pod przysięgą, że widzieli na własne oczy o. Gereona jako esesmana w Dachau. Miał być tu katem i oprawcą. Setki ludzi straciło rzekomo z jego ręki życie. Francuzi byli pod wrażeniem napływających w tym czasie wstrząsających doniesień o zbrodniach i niewiarygodnych okrucieństwach popełnianych w niemieckich obozach koncentracyjnych; dali wiarę oszczercom. Wyrok mógł być tylko jeden.

Tej nocy, gdy o. Goldmann czekał na rozstrzelanie, do francuskich władz wojskowych w Maroku dotarła depesza: Pius XII złożył na ręce francuskiego ambasadora Jacquesa Maritaina skargę, dlaczego chce się zabić niemieckiego żołnierza, którego on osobiście promował do święceń kapłańskich. Ale depesza nadeszła do obozu dosłownie w ostatniej chwili przed zaplanowaną egzekucją. Ojciec Goldmann został już wyprowadzony na egzekucję, gdy niespodziewanie głównodowodzący oficer poprosił o spowiedź. Gdy skończył, weszli kurierzy z pismem uniewinniającym. „Gdyby nie długa spowiedź oficera, byłoby po mnie". Czy ktoś mógł przypuszczać, że istnieje związek między adoracją Najświętszego Sakramentu w klasztorze Walzenhausen w Szwajcarii, która odbywa się tam codziennie od pięciuset lat, a jego uniewinnieniem? Kilka zakonnic z tego klasztoru nieustannie modliło się o jego ocalenie.

Podobne problemy, choć w mniejszej skali i nie połączone z bezpośrednim zagrożeniem życia, ale jednak rujnujące międzyludzkie relacje i stawiające pod znakiem zapytania życie religijne, o. Goldmann miał także w Algierii, w Rivet, we francuskim obozie jenieckim dla niemieckich kleryków, gdzie przebywał wcześniej.

Brak ojca, nieczułość matki?

Psychologowie łączą często podatność na ideologię nazistowską – która dziś odżywa zarówno na Zachodzie, jak i Wschodzie – z brakiem ojca. Nieobecnością tego, który powinien być przewodnikiem na ścieżkach wiary. Także z nieczułością matki. Czy sam autor wspomnień, syn weterynarza, osierocony w dzieciństwie przez matkę, nie był w jakiejś mierze podatny na wpływ zakorzenionego w protestantyzmie, a obecnego wśród większości Niemców przekonania o naturalnej „wyższości" niemieckości? O przewadze niemieckiej kultury, niemieckiego państwa, które było w tak wielkiej mierze wykwitem pruskiego ducha? A jednak walczył z ideologią, gdy tylko mógł. Podobnie jak walczyłby Polak – w każdych warunkach gotów do konspiracji.

Franciszkanin i esesman w jednej osobie poniekąd postępował wbrew niemieckiej naturze. Doszedł do perfekcji w słownych potyczkach z nazistami. Z miną nieświniątka przewrotnie wykorzystywał podczas nich fakt zawarcia przez Hitlera konkordatu z Kościołem i udawał, że bierze na serio propagandowe formułki sklecone dla zmylenia przeciwnika, produkowane na użytek niedouczonych oficerów i prostych żołnierzy. Przed wojną był uczestnikiem wykładów dla młodych chłopaków prowadzonych przez jezuitów w ramach organizacji „Neudeutschland", która stawiała sobie za cel formację intelektualną katolickiej młodzieży. Nie brakowało mu też zdrowego pomyślunku pyskatego wiejskiego chłopca, uganiającego się z równie zadziornymi kolegami po łąkach i lasach, skłonnego do bijatyk i najdziwaczniejszych wybryków, zahartowanego w trudach wiejskiego życia, jakim był jeszcze tak niedawno.

Jego ojciec był wiejskim weterynarzem, całe dnie spędzał poza domem. Był to człowiek uczuciowo chłodny, zamknięty w sobie, pochłonięty bez reszty pracą. Karol Gereon był jednym z siedmiorga jego dzieci. Ojciec ożenił się ponownie krótko po śmierci pierwszej żony. Musiało zajść coś zupełnie wyjątkowego, by ojciec skłonny był okazać Karolowi jakieś względy. Karol doświadczył tego dwukrotnie: ojciec osobiście odprowadził go na stację kolejową, kiedy wstępował do seminarium i gdy w czasie wojny miał stawić się przed Sądem Wojennym w Kassel, gdzie oskarżano go o antyhitlerowską propagandę w szeregach armii.

Choć autor wspomnień nie miał szczęścia, by mieć czułego, opiekuńczego ojca, który interesowałby się jego losem, pomagał w podejmowaniu decyzji i wzmacniał jego siły, będąc jeszcze bardzo młodym chłopcem, odczuwał wstręt i obrzydzenie wobec rasistowskich teorii, którymi karmiono młodzież w niemieckich szkołach i organizacjach młodzieżowych. Od ósmego roku życia doświadczał tak mocno bliskości Boga podczas Mszy św., że Komunia Święta była dla niego czymś najbardziej upragnionym.

U jezuitów otrzymał porządne wykształcenie filozoficzne. Studia filozoficzne kontynuował w czasie wojny, podczas urlopów z wojska, na uniwersytecie we Freibur-

eprasa.pl 8877ab7377

gu. W czasie służby wojskowej dokształcał się sam. W każdej wolnej chwili czytał książki filozoficzne i teologiczne, często w oryginale greckim i łacińskim (zdobywał je m.in. na pchlich targach w Paryżu). To pozwoliło mu zobaczyć w propagandzie nazistowskiej zestaw sprytnie spreparowanych, prymitywnych, podbijających niemiecką pychę kłamstw, zabarwionych sentymentalizmem ojczyźnianym, żerujących na atawizmach, manipulowaniu pojęciami, fobiach antychrześcijańskich i najniższych instynktach. Odwołujących się zawsze do kultu siły i do instynktu zemsty.

W czasie jednego z wojennych urlopów poznał w Imshausen pod Bebrą niemieckiego arystokratę Adama von Trott zu Solz, związanego z Kręgiem z Krzyżowej, a potem także ze spiskowcami skupionymi wokół Clausa von Stauffenbergera (niestety, ten polityczny przeciwnik Hitlera był także wrogiem Polaków i rasistą, ale o. Gereon nie znał wtedy bliżej jego środowiska). Niemiecki franciszkanin przyjął propozycję Adama von Trott i został łącznikiem grupy organizującej zamach na Hitlera, na co otrzymał błogosławieństwo swojego biszkupa.

Prawdziwy Ojciec, zastępcza matka

Karol Gereon Goldmann OFM nie załamał się nigdy w obliczu ewidentnej przemocy silniejszych i demonstracyjnej potęgi zła, bo wierzył w ojcowską opiekę Boga. Trzeba wyjaśnić: nie działał sam. Nie szedł o własnych siłach. Gdy miał osiem lat i umarła mu matka, był już ministrantem w kościele parafialnym w Fuldzie, centrum życia katolików niemieckich w Hesji. Niepozorna siostra zakonna Solana May, zakrystianka, patrząc na osieroconego chłopca i jego ból po stracie ukochanej matki oraz widząc jego szczerą pobożność, poleciła go Bogu. Więcej, zawarła z Bogiem „układ". Odtąd wszystkie jej modlitwy i wszystkie cierpienia, każda dobrowolna ofiara, najmniejsze wyrzeczenie miały iść na rzecz tego dziecka, w którym mała zakonnica dostrzegła coś niezwykłego. Prosiła Boga, by został księdzem. Skoro nie ma już na ziemi matki, to ona będzie o niego odpowiednio dbać, ona, z oddalenia, będzie wypraszać potrzebne łaski. Wciągnęła w swój „układ" jeszcze inne osoby, z różnych miejscowości i klasztorów, było ich w sumie około dwustu. Powierzały Bogu w całkowitej dyskrecji powołanie małego Karola. Wcielony do armii jako kleryk szybko znalazł się na froncie, kolejno we Francji, Rosji i we Włoszech. We wszystkich niebezpieczeństwach utraty życia, w jakich przyszło mu się tak często znajdować – także z powodu niewyparzonego języka, wrodzonej porywczości i przeświadczenia o swoich możliwościach intelektualnych – chroniła go tajemnicza obecność. Opatrzność roztoczyła nad młodym zakonnikiem ochronny płaszcz. „Bóg jest silniejszy niż wojna" – mawiała siostra Solana. Jego dowódcy nie mogli uwierzyć, jak to możliwe, że gdy podczas zaciętych walk w południowych Włoszech wyciągał pod gradem kul rannych z okopów i transportował ich na własnych plecach, nie został nawet draśnięty.

Jego wspomnienia z krótkiego pobytu w Polsce, na przełomie 1939 i 1940 roku, w ośrodku szkolenia wojskowego, to opis dobroci i wielkiej wiary prostych ludzi, wspaniałomyślności i szlachetności polskich kapłanów i zakonników. Modlił się we franciszkańskim kościele w Paradyżu (mylnie przekonany, że kościół i klasztor założyli Krzyżacy, gdy w istocie jest on fundacją cysterską). O cierpieniach Polaków wiedział jednak bardzo niewiele. Tak jak wszyscy Niemcy w armii trzymany był krótko. W połowie wojny, w czasie kolejnego urlopu udało mu się przedostać potajemnie na jeden dzień do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie zamierzał odnaleźć współbrata. To, co tam zobaczył, upewniło go, że zamiarem, jaki przyświeca Hitlerowi w prowadzeniu wojny, jest zniszczenie chrześcijaństwa, Kościoła, cywilizacji łacińskiej i ustanowienia państwa plemiennej wspólnoty kierującej się najdzikszymi instynktami na całym podbitym obszarze.

„Musiałem wyciągnąć pistolet"

Nie zawsze umiał zapanować nad sobą. Potrafił być brutalny wobec księży we Włoszech, którzy nie chcieli dać mu, człowiekowi w mundurze niemieckim, Najświętszego Sakramentu. Te sceny, gdy musiał krzyczeć na wynędzniałych kapłanów i straszyć ich, a oni zachowywali dumne i pełne wzgardy milczenie, nie chcąc wydać Najświętszego Sakramentu w ręce wroga, mogłyby znaleźć się na kartach arcydzieła literatury wojennej.

„[...] po kilku metrach zatrzymaliśmy się na rynku przed pięknym kościołem. Wśród mieszkańców zobaczyłem trzech księży. Wszyscy czekali, co będzie dalej. Na szczęście, nauczony doświadczeniem, zabrałem ze sobą dwóch żołnierzy. Zeskoczyli z czołgu, trzymając w rękach pistolety maszynowe. Podszedłem do księży i grzecznie poprosiłem o Hostię dla rannych. Albo nie zrozumieli, co do nich mówię po włosku, albo nie chcieli zrozumieć. Trzeba jednak przyznać, że wyglądałem strasznie w mundurze polowym, z zakrwawionymi rękami. Wyjąłem pismo biskupa z Patti z jego pieczęcią. Zapewniłem duchownych, że jestem franciszkańskim klerykiem i że mam prawo udzielać Komunii. Cała trójka spojrzała na mnie jak na wariata. Na moje naleganie, by spełnili moją prośbę, starszy z księży odpowiedział: – Nigdy w życiu, po naszym trupie!

Tego było już za wiele, musiałem działać. Na mój rozkaz żołnierze wymierzyli pistolety w zgromadzonych. Zawołałem, że nie radzę wykonywać żadnego ruchu, jeśli nie chcą tego żałować. Wyjąłem swój pistolet i poganiając duchownych słowami: – Avanti, ręce do góry! – poszedłem za nimi do kościoła.

eprasa.pl 8877ab7377

Otworzyli tabernakulum. Uklęknąłem, trzymając pistolet. Na ołtarzu położyłem hełm, do środka chusteczkę, trochę zabrudzoną. Wysypałem na nią całą zawartość cyborium. Księża uderzyli w płacz. Pobiegłem do czołgu, wspiąłem się na wieżyczkę, hełm z hostią trzymałem w ręku.

– Niemieckie diabły kradną Najświętszy Sakrament! – rozległy się krzyki rozwścieczonego tłumu. Pomyślałem z rozbawieniem, że na wojnie musiałem wyciągać pistolet tylko po to, by pogrozić duchownym, którzy nie chcieli dać Hostii".

Sierżant i seminarzysta w jednej osobie patrzył jednak zawsze na wojnę jako na starcie idei katolickiej, której starał się służyć, z obłędem nazistowskim. Po obu stronach frontu widział ludzi wierzących i doświadczał od nich wielorakiej pomocy. Sam też starał się ją nieść potrzebującym, a jako podoficer SS – zwłaszcza we Francji – miał możliwości więcej niż ktokolwiek. „Zdarzało się, że ksiądz, na którego wydano wyrok śmierci, uprzedzony przeze mnie znikał, nim zdążyłem doprowadzić żołnierzy do jego domu" – wspominał czas, gdy był wojskowym tłumaczem w okupowanej Francji. Gdy miał zarekwirować benzynę służącą do napędzania maszyn rolniczych, najpierw spotykał się potajemnie z francuskim księdzem i merem miejscowości i prosił, by większość zapasów jak najszybciej ukryli. Następnego dnia przyjeżdżał oficjalnie, by skonfiskować to, co zostało. Jednocześnie kupował masowo różańce i książki religijne i wysyłał je do klasztorów w Niemczech. Wszędzie, gdzie się znajdował podczas służby, szukał kościoła i starał się przyjąć Komunię.

W całym jego bogatym życiu uczestnika II wojny nic nie przysporzyło mu takich męczarni jak zmaganie się z nazistami, swoimi rodakami.

Jeniec w sutannie

Jako podoficer niemiecki wyświęcony został na kapłana, będąc już jeńcem wojennym, w 1944 roku w Rivet koło Algieru. Znalazł się tu wkrótce po wzięciu go do niewoli przez Anglików i tutaj przygotowywał się do święceń, które miał przyjąć za specjalnym pozwoleniem Piusa XII. Zgodę na święcenia zdobył dzięki swemu nadzwyczajnemu uporowi, za namową opiekunki duchowej, zakrystianki z Fuldy. To ona przepowiedziała mu, że Pius XII weźmie jego sprawę w swoje ręce. I że wcześniej jeszcze o. Gereon, wyreklamowany z Sądu Wojennego dzięki dyskretnej protekcji Adama von Trott, na mocy specjalnego rozkazu dowódców, znajdzie się w Pau, w pobliżu Lourdes, by modlić się kilka dni później w sanktuarium Pani z Lourdes o łaskę święceń. Tak też się stało.

W Rivet znajdował się ubogi dom zakonny, a zarazem seminarium dla niemieckich kleryków, które prowadził były arcyopat klasztoru benedyktynów w Neuron, o. Rafał Walzer, Niemiec ratujący Żydów, przeciwnik nazizmu, w czasie wojny uciekinier do Francji, gdzie przyjął funkcję kapelana wojsk francuskich. „Po Mszy św. [prymicyjnej] okazało się, że miłość chrześcijańska przekracza wszelkie granice narodów i likwiduje wszystkie przeszkody wojenne" – pisze o. Goldmann. „Francuski generał, kompetentny do spraw wszystkich jeńców wojennych, nie omieszkał przybyć na te niecodzienne święcenia. Kiedy wychodziłem z kościoła, ukląkł jako pierwszy, ucałował namaszczone olejem świętym dłonie i prosił o pierwsze błogosławieństwo neoprezbitera – niemieckiego jeńca wojennego".

Ojciec Goldmann opuścił z żalem współbraci i towarzyszy niedoli z Rivet. Sam świadom był, że nie ocalał z wydarzeń wojny i tych, które czekały go w kolejnym obozie jenieckim, dzięki swojej sile woli, charakteru, zdolnościom i talentom czy nawet wyjątkowo mocnej wierze. Jako młody zakonnik, potem młody ksiądz, był skłonny do brawury, ryzykownych akcji, decyzji podejmowanych pod wpływem impulsu. Wychodziło mu zawsze na dobre to, że zbytnio się nad niczym nie zastanawiał. Sforsowawszy Spiżową Bramę, przekonał osobiście papieża Piusa XII, by dał mu pozwolenie na przyjęcie święceń kapłańskich bez wymaganego kompletnego kursu teologii, po to, by mógł odprawiać Msze św. dla żołnierzy i być spowiednikiem umierających na polu bitew, gdy grupa niemieckich kapelanów wojskowych kurczyła się coraz bardziej wskutek represji nazistów.

Został kapłanem dokładnie dwadzieścia lat po zawarciu „paktu" z Bogiem w sprawie jego kapłaństwa przez niepozorną zakrystiankę z Fuldy. To nie jego osobisty geniusz, a modlitwa tej pokornej, nikomu nie znanej kobiety sprawiła, że nie poległ na froncie, nie wykrwawił się z ran, nie skazano go przez Sąd Wojenny za wywrotową antynazistowska robotę, nie odkryto jego kontaktów z Adamem von Trott, nie został powieszony w akcie zemsty przez psychopatycznych morderców w obozie jenieckim – przeciwnie, niektórzy z jego niedoszłych oprawców dzięki jego postawie i kazaniom przypomnieli sobie, że są ochrzczeni i powrócili do życia religijnego. Wyzdrowiał też później ze wszystkich chorób, których nabawił się w afrykańskim klimacie i po wojnie wyjechał jako misjonarz do Japonii. Dożył 93 lat. Historiografia ostatniej wojny nie wymienia nigdzie jego nazwiska. ■

---

o. Gereon Goldmann, „Takimi drogami prowadził mnie Chrystus", przekład o. Wincenty Cykowski OSPPE, Paulinianum, Wydawnictwo Zakonu Paulinów, Wydawnictwo „Czuwajmy" Kraków.

„Franciszkanin z SS. Prawdziwa historia Gereona Goldmanna", Polwen

eprasa.pl 8877ab7377



GLEIWITZ, GOROD ZDOBYTY

„29 stycznia 1945 r.: Około godziny 3 nad ranem znowu przychodzi trzech sowieckich żołnierzy. Jeden z nich strzela w kuchni... Chce koniecznie mieć zegarek i przykłada mojemu ojcu pistolet maszynowy do piersi. Jedna z kobiet, która schroniła się u nas w domu, zostaje zgwałcona" – tak wkroczenie do Gliwic żołnierzy Armii Czerwonej wspominał jeden z mieszkańców miasta.

Sebastian Reńca

eprasa.pl/877ab7377





fot. IPN

Była noc z 25 na 26 stycznia 1945 roku. Mieszkańcy jednej z kamienic przy Adolfstrasse, stłoczeni w ciemnej piwnicy, czekali w strachu i niepewności, co się stanie. Pewne było tylko to, że za chwilę do Gleiwitz wkroczą Sowieci. Po tym, co trzy miesiące wcześniej stało się we wsi Nemmersdorf w Prusach Wschodnich, o czym donosiły niemieckie media, przerażeni ludzie mogli spodziewać się najgorszego.

Około godziny 23 do piwnicy wpadli pierwsi czerwonoarmiści, krzycząc: „Dawaj czasy!". Zabrali łupy i odeszli. Około północy przyszli kolejni Sowieci, też żądali „czasów", ale lokatorzy kamienicy już nie mieli zegarków...

– Był między nami Josef Hürschberger, żołnierz, który przyjechał na urlop do domu, do rodziny. Wszyscy byli przerażeni. Ktoś się odezwał, już nie pamiętam, co powiedział, i nagle jeden z tych żołnierzy krzyknął: „Streljat germańcu!". Zaczęli strzelać na oślep. Pan Hürschberger zginął pierwszy, drugą ofiarą była moja mama. Strzelali seriami. Mama po otrzymaniu siedmiu strzałów w brzuch upadła na mnie i własnym ciałem osłoniła mnie przed postrzałem. Żona pana Hürschbergera wyciągnęła łańcuszek z krzyżykiem i uniosła krzyżyk tak, by strzelający go ujrzeli. W tym momencie przestali strzelać i opuścili nasz schron. Było sporo rannych, niestety nie można było znikąd otrzymać pomocy. Mama długo umierała – wspominała w rozmowie z dr. Bogusławem Traczem gliwiczanka, która wtedy miała kilka lat.

Miasto umarłych

Bogusław Tracz, pracownik katowickiego oddziału IPN, jest autorem książki „Rok ostatni – rok pierwszy: Gliwice 1945", w której historyk opisał sytuację społeczno-polityczną w niemieckim mieście i okolicy od wkroczenia Armii Czerwonej do końca 1945 roku, kiedy to niemieckie miasto przemieniło się w polskie. Lektura tej książki stała się dla mnie impulsem do napisania powieści „Miasto umarłych", której bohaterami są mieszkańcy Gleiwitz/Gliwic i samo miasto. Pisząc o wkroczeniu Armii Czerwonej do Gliwic, musiałem w powieści zamieścić brutalne sceny z udziałem czerwonoarmiejców „wyzwalających" „germańskij gorod Glajwic". Niektórzy z czytelników mojej powieści zarzucili mi, że opisy są zbyt realistyczne i nieprawdziwe. Owszem, niektóre z nich, jak scena gwałtu czy zabójstwo sowieckiego żołnierza, to sceny wyimaginowane, ale tło, które towarzyszy tym opisom, powstało na podstawie wspomnień i relacji, które udostępnił mi autor „Roku ostatniego...".

Zbrodnicze preludium

23 stycznia 1945 roku do miasta zbliżała się Armia Czerwona. Panika ogarniała mieszkańców. Jedni szli

7377ab7377

modlić się do kościołów, inni usuwali portrety Hitlera i nazistowskie symbole, zaś z podobozów KL Auschwitz esesmani „ewakuowali" więźniów.

Nesta D., wówczas kilkunastoletnia dziewczyna, tak zapamiętała jeden „z marszów śmierci", o czym opowiedziała w 1999 roku: – Pewnego dnia nad ranem wraz z koleżanką wracałam z dyżuru na dworcu. Nagle usłyszałyśmy okropny miarowy stukot. Była chyba godzina czwarta nad ranem... To szli więźniowie z Auschwitz. Esesmani pędzili ich ulicą Franciszkańską. Więźniowie byli wycieńczeni do tego stopnia, że przewracali się na ziemię. Wtedy esesmani pejczami i pałkami stawiali ich na nogi. Byłam bardzo oburzona tym, co zobaczyłam. Widok ten wstrząsnął mną do tego stopnia, że chciałam nawet interweniować. Moja koleżanka powstrzymała mnie od tego... Pomiędzy prowadzonymi więźniami byli Żydzi. Jeden z nich uciekł i dostał się do naszych znajomych, którzy go ukryli i zaopiekowali się nim. Był to bardzo młody człowiek, może miał dwadzieścia lat. Ten Żyd wyjechał później do Niemiec.

Kto nie mógł iść, kto się przewracał, tego esesmani zabijali na miejscu. Osoba, która była świadkiem takiej egzekucji, tak zapamiętała tamten obraz: – Widziałem, jak jeden z więźniów przewrócił się i nie mógł dalej iść, a esesman, który szedł obok, strzelił do niego z pistoletu maszynowego. Koniec. I poszedł dalej...

Kolejny rozmówca historyka wspominał, że po wejściu Sowietów do miasta on wraz z innymi mieszkańcami musiał pochować blisko 30 trupów więźniów jednego z podobozów, którzy z powodu choroby nie nadawali się do „ewakuacji". Esesmani zostawili ich w barakach, które podpalili. Ten masowy grób został z czasem zlikwidowany, a ciała przeniesiono na gliwicki cmentarz centralny.

Horst Bienek, niemiecki pisarz rodem z Gleiwitz, w swej powieści „Czas bez dzwonów" opisał historię Franza Ossadnika, który na ochotnika zgłosił się do Wehrmachtu, choć jeden jego syn już zginął na wojnie. Franz mówiąc o swej decyzji żonie, stwierdził, że „wdepnął w ohydną sprawę" i nie potrafi sobie z tym poradzić. „Anno, pociągi, które prowadzę od jakiegoś czasu, to pociągi towarowe wypełnione ludźmi. Z całych Niemiec, z Francji, z Holandii [...]. Wiozę ich do Brzezinki, tam jest wielki obóz koncentracyjny. Oni są Żydami". Żona skwitowała jego „rewelacje" stwierdzeniem, że przecież wszyscy Żydzi wyemigrowali, a ci, którzy zostali, pracują w przemyśle zbrojeniowym. Jednak mąż wyprowadził Annę z błędu. A kroplą, która przelała u niego czarę goryczy, był ostatni transport z Katowic, w którym Ossadnik zobaczył swych sąsiadów, Żydów z Gliwic.

Bienek urodził się w 1930 roku w Gliwicach. Jego tetralogia jest poniekąd autobiograficzną beletrystyką, dlatego znając jego twórczość, można założyć, że nie wszyscy Niemcy żyli w Gliwicach w błogiej nieświadomości i ocknęli się dopiero, gdy do granic przedwojennej Rzeszy zaczął zbliżać się front.

Na zachód...

W relacji gliwiczanki Gerdy R., z którą Bogusław Tracz rozmawiał przed kilkunastoma laty, można przeczytać m.in.: – Pierwsi pojawili się w mieście Niemcy, którzy uciekali ze wschodu i mówili nam, żeby zabierać z sobą dobytek i uciekać. Moja mama postanowiła jednak, że zostaniemy. Z naszej kamienicy dużo mieszkańców wyjechało jeszcze przed styczniem czterdziestego piątego roku. Część z nich zostawiła mojej mamie klucze od swoich mieszkań, żeby doglądała ich dobytku.

Na gliwickim dworcu kolejowym odbywały się dantejskie sceny, ludzie chcieli uciec, byle dalej na zachód.

Maria Niederhofer opisując „ostatnie dni Gleiwitz", notowała: „W niedzielę 21 stycznia 1945 r. rozeszła się wieść, że Rosjanie są koło Strzelec Opolskich. Przypuszczono atak na nieliczne pociągi, które jeszcze kursowały. Przy dwudziestostopniowym mrozie ludzie siedzieli na dachach i stopniach wagonów, rodziców rozdzielono od dzieci, na gliwickim dworcu zapanował straszliwy chaos".

– Noc przed wkroczeniem do miasta Armii Czerwonej spędziłam z matką na dworcu kolejowym. Była godzina druga w nocy. Setki ludzi czekały na pociąg, który miał ich wywieźć na zachód, za Odrę. Podstawiono pociąg osobowy, lecz nie dopchaliśmy się do niego. Ludzie tratowali się, płakali... My wróciliśmy do domu. Zostaliśmy zupełnie sami. Mama, ja i mój brat. Ojciec już nie żył. Zginął na froncie wschodnim, na Ukrainie... – mówiła Maria B. w rozmowie z Bogusławem Traczem.

Zdarzało się, że matki, którym nie udało się uciec z miasta przed Sowietami, decydowały się na potworny krok: uśmiercały siebie i dzieci. Babcia Marii B. opiekowała się grobami dwóch dziewczynek, Helgi i Ingrid, którym matka odebrała życie tuż przed zajęciem miasta przez Armię Czerwoną.

Nawet dzieci gwałcili

Nesta D., która w czasach niemieckich pracowała jako nauczycielka w żeńskim gimnazjum, opowiadała, że kwaterował u nich sowiecki oficer: – Grał z moim tatusiem w szachy i mówił: „Rosjanie to dobry naród, najpierw Hitler kaput, potem Stalin kaput i wtedy wszystko będzie dobrze". Tak mówił. Kiedyś zapytał tatusia, kto tu mieszkał. Ojciec odpowiedział mu, że na początku ulicy pracownicy biur i inteligencja, a na końcu ulicy robotnicy pracujący w hucie. Oficer ten nie mógł się nadziwić, że tam mieszkali robotnicy. „Co to za robotnicy, którzy mają rowery i okulary?" – mówił. – „Przecież to nie robotnicy, lecz jakieś burżu-

eprasa.pl 8877ab7377

je". Później przyszli żołnierze, którzy rabowali, szabrowali i gwałcili. Całe miasto było jednym wielkim lazaretem wojskowym. Nie istniały dla nich żadne zamknięte drzwi. Rozrąbywali je siekierami i wchodzili do mieszkań, często opuszczonych i czekających na powrót swoich właścicieli. Wszystko otwierali, gwałcili nie patrząc na wiek. Tutaj w dzielnicy zgwałcili staruszkę, która próbowała uciekać i złamała nogę. Zgwałciło ją kilku żołnierzy.

Józef K. wtedy, w 1945 roku, był pracownikiem hotelu „Haus Oberschlesien". Tak opisał historykowi wkroczenie Armii Czerwonej do Gleiwitz: – Pierwsi „Ruscy", którzy weszli, to weszli i przeszli dalej. Najgorsi byli ci drudzy, ta druga fala. Ci pierwsi tylko krzyczeli: „Period na Berlin, na Berlin!" i poszli. Ci następni byli znacznie gorsi. Gwałty, nie gwałty. Kradli, co się dało. Nie żeby ich obrażać, ale to prawda. Najgorsza była ta druga linia, co przyszła za frontem. Kradli i gwałcili. Nawet dzieci gwałcili. Z mojej ulicy znam jedną rodzinę. Ta pani dziś będzie miała około sześćdziesięciu pięciu lat, mieszka w Niemczech, to ona została jako dziecko zgwałcona. Młode dziewuchy brali, łapali wszystkie i gwałcili. A jak nie złapali młodej, to brali staruszki i też gwałcili.

W Bundesarchiv Koblenz można znaleźć wspomnienie, którego autorka opisuje, jak Sowieci zaprowadzili ją i sąsiadów do „warsztatu malarskiego pana Lessela przy Schröterstraße 10". Tam „na workach, skrzynkach, deskach urządziliśmy prowizoryczne siedziska w naszym więzieniu. Powoli zapadał zmierzch i odezwał się głód, ale nie mieliśmy nic do jedzenia. W końcu zapadły zupełne ciemności. Jeden z żołnierzy przyprowadził panią Scholz, która została w mieszkaniu, i młodą panią, którą żołnierze sobie zatrzymali. Biedną gwałciła cała horda, teraz nie potrafiła się niemal utrzymać na nogach".

Inny mieszkaniec Gleiwitz notował w swoim diariuszu:

„28 stycznia 1945 r.: Około godziny 2 w nocy przychodzą sowieccy żołnierze, robiący obchód miasta, przeszukują wszystkie mieszkania za bronią. »Wyzwalają« nas z naszych zegarków.

29 stycznia 1945 r.: Około godziny 3 nad ranem znowu przychodzi trzech sowieckich żołnierzy. Jeden z nich strzela w kuchni... Chce koniecznie mieć zegarek i przykłada mojemu ojcu pistolet maszynowy do piersi. Jedna z kobiet, która schroniła się u nas w domu, zostaje zgwałcona".

Kobieta, która najprawdopodobniej pracowała w gliwickim szpitalu miejskim, relacjonowała w 1948 roku: „Potem były gwałty, o których nie można wyrobić sobie żadnego wyobrażenia na temat ich skali i sadyzmu, jeśli samemu nie widziało się nie tylko zgwałconych, zarażonych chorobami wenerycznymi, ale często pokąsanych i pobitych kobiet w każdym wieku. Ja sama widziałam nawet dzieci w wieku 7, 8 i 11 lat. Od 14. roku życia wzwyż nie było to rzadkością. Równie częste były wypadki, gdy kobiety liczyły dalece powyżej 50 lat. Nierzadko zdarzały się nawet kobiety do 80. roku życia".

Kobiety były gwałcone, a mężczyźni masowo rozstrzeliwani. Franz Pöche cudem przeżył taką egzekucję. Sowieci wygarnęli wszystkich mężczyzn z piwnicy, w której Pöche się ukrywał, i wyprowadzili ich na podwórze. Tam „pan Radlok, który znał nieco polski i rosyjski, zapytał rosyjskich żołnierzy, co z nami będzie. Odpowiedzieli, że nie mamy się czego obawiać, zaprowadzą nas tylko na przesłuchanie do komendantury. Pomaszerowaliśmy w obstawie żołnierzy w dwóch szeregach przez bramę bloku przy Kaffankestraße, w dół Schlageterstraße aż do Reichspräsidentenplatz. Tam zatrzymał nas nadchodzący z naprzeciwka rosyjski patrol. Obydwaj rosyjscy dowódcy krótko porozmawiali, potem musieliśmy wejść w przejazd Gutenbergstraße i odwrócić się w prawo. Staliśmy teraz w dwóch rzędach twarzami do prawej ściany. Krótko potem Rosjanie, młodzi, niscy osobnicy o mongolskich twarzach, głośno krzycząc otworzyli ogień z wielu pistoletów maszynowych do niczego niespodziewających się mężczyzn". Pöche został trafiony w głowę, ale cudem przeżył. Sowieci dobijali Niemców. Szczęśliwie dla Franza Pöchego został on uznany za martwego. Czerwonoarmiści ogołocili trupy ze wszystkiego, co było dla nich atrakcyjne (również chusteczki do nosa) i odeszli. Pöche dotarł do piwnicznego schronu, w którym lekarz udzielił mu pierwszej pomocy. Później żona zawiozła go na sankach do szpitala.

Po „wyzwoleniu"

Nauczycielka Julia W., która w 1945 roku organizowała polskie gimnazjum przy ul. Górnych Wałów w Gliwicach, kilkakrotnie została okradziona przez Sowietów. Za pierwszym razem skradli jej walizkę z ubraniami i dokumentami. Za drugim, gdy była w pracy, Sowieci wynieśli dosłownie wszystko z jej mieszkania.

– Poszłam na interwencję do administratora budynków. Administrator nie chciał uwzględnić naszych roszczeń, gdyż uważał, że to, co zabrali Sowieci, i tak nie było nasze, lecz zdobyczne, poniemieckie – mówiła Julia W. w rozmowie z dr. Traczem. – Sowieci byli bardzo oburzeni, że mieszkańcy poszli na skargę do administratora. Unieśli się honorem i następnego dnia oddali meble. Sobie pozostawili dywan i wiele innych rzeczy.

Z chwilą odejścia frontu sytuacja w mieście wciąż nie była normalna. Kobiety cały czas były narażone na zgwałcenie przez czerwonoarmistów. Dlatego matki urządzały dla swych córek skrytki w piwnicach czy mieszkaniach.

Z relacji Gerdy R. można dowiedzieć się, że niemieccy komuniści od razu dogadali się z Sowietami i współpracowali z Armią Czerwoną, choćby w poszukiwaniach ludzi do pracy.

Nesta D. została wywieziona z innymi Niemkami do Oświęcimia, gdzie kobiety pracowały przy demontażu zakładów IG Farben.

eprasa.pl 8877ab7377

– Pierwsze dni w Oświęcimiu były straszne. Strażnicy chcieli zranić naszą godność. Musieliśmy czyścić ubikacje, które były strasznie zanieczyszczone ludzkimi odchodami. Kazano nam zaprowadzić w nich porządek gołymi rękami. Na każdym kroku chciano nam pokazać, że jesteśmy teraz niczym. Grozili nam, że jak nie będziemy bystro „rabotali", to nas na Sybir wywiozą. Przez cały czas demontowaliśmy wszystko, co się dało. Wraz z nami pracowali także Ukraińcy, którzy dostali się przedtem do niewoli niemieckiej i pomimo wkroczenia Sowietów, dalej traktowani byli jako więźniowie.

Gdy Sowieci nie mieli zajęcia dla niemieckich niewolnic, kazali im wykonywać bezsensowne prace. Wysiłek, kiepskie jedzenie, brak higieny spowodowały, że gliwiczanka Gerda R. zachorowała na czerwonkę. Pomógł jej rosyjski Żyd w wojskowym mundurze, który w cywilu był aptekarzem.

Przy demontażu zakładu IG Farben pracował również przywoływany już wcześniej Józef K.:

– Myśmy rozbrajali te słynne piece i urządzenia chemiczne, gdzie Niemcy różne rzeczy produkowali. Cegły tak wybijaliśmy, że zostawał tylko sam szkielet. Ten szkielet stalowy Rosjanie odcinali palnikami, coś na nim pisali „po rusku", władowali na wagony i „w period"...

„Kartoszki" poszły do kanału

W mieście wciąż nie było bezpiecznie, o czym przekonał się młody chłopak, który jechał na rowerze i nie trzymał rękami kierownicy. Zobaczył to sowiecki żołnierz, który zatrzymał chłopaka i sam wsiadł na rower. Ale jazda „bez trzymanki" przerosła jego umiejętności i się przewrócił. Gdy się podniósł, zniszczył rower, a chłopaka pobił.

Mniej szczęścia od chłopaka z rowerem miało małżeństwo piekarzy, u których sowiecka kompania zamówiła chleb, ale wypiek zarekwirował inny oddział. Śmiercią kończyły się również próby uratowania dziewcząt i kobiet przed gwałtami. Wtedy Sowieci zabijali nie tylko córkę, lecz także jej rodziców. Pewien ginekolog, którzy szedł odebrać poród, zginął, ponieważ patrol, który go zatrzymał, nie wiedział, co za dziwne narzędzia Niemiec ma w torbie.

W Gliwicach powtarzają się również historie znane ze wspomnień mieszkańców Lwowa czy Wilna, gdy po raz pierwszy zajęli te miasta Sowieci.

– Przychodzili do domu po zegarki. Nawet budziki zabierali. Zresztą zabierali, co widzieli. Spali raz u nas, a mój tata poszedł do pracy i budzik im zadzwonił, to jeden z nich strzelał do budzika, bo nie wiedział, jak go wyłączyć – opowiadał Józef K. – Nie wiedzieli, jak wyłączyć budzik, nie mieli pojęcia, że jak przekręci się kurek, to woda z kranu poleci. Kiedyś w ubikacji to ziemniaki myli i im „kartoszki" poszły do kanału. Wszystko było dla nich nowe.

W relacji Elfriede Jaehner z 1946 roku można również przeczytać o „ludziach z lwowskiego półświatka", którzy trafili do Gliwic jako „repatrianci": „Pewnego dnia zjawił się taki bandyta w moim domu i wyjaśnił, że do niczego nie mam już prawa, bo od teraz wszystko należy do niego. Mówił doskonale po niemiecku i od razu wygodnie się urządził. Nocami ruszał na rabunek. Znosił ze sobą wszystko, co się dało. Moje mieszkanie wyglądało jak sklep z antykami. Pozostawił nam do dyspozycji pokój dziecięcy, a resztę zamknął. Miał zaświadczenie od Armii Czerwonej, które przywiesił na drzwiach".

Elfriede Jaehner w końcu musiała opuścić swe mieszkanie. Maria Niederhofer zapisała w „Ostatnich dniach Gleiwitz": „Zmuszano lokatorów posiadających dobre mieszkania do opuszczenia ich w ciągu dwudziestu minut. Można było zabrać tylko tyle, ile dało się unieść w ręku. 26 lipca także u nas zjawiła się komisja w składzie czterech panów, przedłożyła nam papier w polskim języku i zażądała z surowymi minami, by w dwadzieścia minut opuścić mieszkanie. Na początku wielu eksmitowanych trafiało do obozu zbiorczego, skąd potem wywożono ich bydlęcymi wagonami. Potem zorganizowano tak zwany urząd mieszkaniowy i ludzi przenoszono z ich mieszkań do dzielnicy nędzy".

Za radą polskiego oficera rodzina Elfriedy Jaehner pozostała w Gliwicach do czerwca 1946 roku, „wtedy ruszyły pierwsze regularne transporty na zachód. Nasz transport przejęli w Cottbus Anglicy".

Lekcja o człowieku

Pisząc powieść o „mieście umarłych", chciałem przede wszystkim pokazać, że interesuje mnie człowiek, bez względu na narodowość i wyznanie: Polak, Rosjanin, Żyd, Niemiec...

Józef Mackiewicz trafnie zauważył, że wojna, „wyzwoliła taką ilość i rozmaitość namiętności i żądz, jak może żadna dotychczas w dziejach. Na wszystkich tych przykładach, z hitlerowskim włącznie, a może: zwłaszcza, mieliśmy okazję poznać, do czego zdolny jest człowiek. Była to jedna z najbardziej poglądowych lekcji, lekcji o człowieku.

Dlatego postawiłem swych bohaterów przed różnymi wyborami i sytuacjami, czasami ich decyzje zaskakiwały mnie, ponieważ ich ścieżki biegły nie tam, gdzie sobie założyłem, układając plan powieści. Niektóre już napisane sceny wypadły, inne nagle się narodziły. Większość bohaterów mojej powieści próbuje normalnie żyć, niestety nie zawsze było to możliwe w tamtych wojennych czasach, gdy jedną okupację za chwilę zastąpiła druga. Reżim zmienił barwy z brunatnego na czerwony, ale komendy, więzienia, obozy, katownie, pozostały te same. ■

eprasa.pl 8877ab7377

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ** Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl 8877ab7377

Piotr Lisiewicz

Co dzieje się na naszych oczach, gdy do Polski uciekają Europejczycy, którym sądy z ich krajów odebrały dzieci? Gdy Polska staje się dla nich najbliższym miejscem, gdzie chorym nie grozi eutanazja? Kiedy zamiast poszerzać prawo do aborcji, postanawiamy uniemożliwić zabijanie niepełnosprawnych dzieci? Jakkolwiek szumnie by to brzmiało, niedoskonała ojczyzna Jana Pawła II, wbrew propagandzie mediów, zaczyna właśnie wypełniać głoszone przez Niego proroctwa. Nasza postawa staje się alternatywą zarówno dla rozkładu Europy przez islamskich imigrantów i ideologię LGBT, jak i dla postawy pozornie przeciwnej – prymitywnego nacjonalizmu głoszonego przez niektóre europejskie partie pod patronatem Putina. Jestem przekonany, że idee, które możemy ponieść teraz, w 2021 roku, są atrakcyjne dla wielu Europejczyków w każdym państwie na kontynencie. „Kościół w Europie potrzebuje Świadectwa wiary Polaków. Polska potrzebuje Europy!" – zapowiadał Jan Paweł II. Czy poniesiemy ten sztandar, czy stanie się on naszą, mówiąc współczesnym językiem, międzynarodową marką, jak w XIX wieku hasło „Za wolność naszą i waszą"? By go ponieść, musimy wiedzieć, jak przyszłość Europy widział Jan Paweł II. 3 czerwca 1997 roku w obecności głów państw z Europy Środkowej wygłosił homilię z okazji 1000-lecia śmierci św. Wojciecha, która w wielu krajach zachodnich wzbudziłaby dziś o wiele większy niż wówczas sprzeciw. Ale w Polsce wydaje się być bliższa myśleniu większości Polaków niż w roku 1997. Wystarczy powiedzieć, że wtedy homilii tej słuchał Aleksander Kwaśniewski, a dziś prezydentem jest Andrzej Duda.

Przypomnijmy sobie, jakie mamy zadanie do spełnienia w Europie.

Jan Paweł II

Europa musi wrócić do korzeni

Nie będzie jedności Europy, dopóki nie będzie ona wspólnotą ducha. Ten najgłębszy fundament jedności przyniosło Europie i przez wieki go umacniało chrześcijaństwo ze swoją Ewangelią, ze swoim rozumieniem człowieka i wkładem w rozwój dziejów ludów i narodów. Nie jest to zawłaszczanie historii. Jest bowiem historia Europy jakby wielką rzeką, do której wpadają rozliczne dopływy i strumienie, a różnorodność tworzących ją tradycji i kultur jest jej wielkim bogactwem. Zrąb tożsamości europejskiej jest zbudowany na chrześcijaństwie. A obecny brak jej duchowej jedności wynika głównie z kryzysu tej właśnie chrześcijańskiej samoświadomości.

eprasa.pl 8877ab7377

1. Veni, Creator Spiritus!

Stajemy dziś przy grobie św. Wojciecha w Gnieźnie. W ten sposób znajdujemy się w samym centrum Wojciechowego milenium. Przed miesiącem ów szlak Wojciechowy rozpocząłem w Pradze oraz w Libicach, diecezji Hradec Králové – stamtąd bowiem pochodził Wojciech. A dziś jesteśmy w Gnieźnie – rzec można, w tym miejscu, gdzie dokończył on swego ziemskiego pielgrzymowania. Dziękuję Bogu w Trójcy Jedynemu, że u schyłku tego tysiąclecia dane mi jest znów modlić się przy relikwiach św. Wojciecha, które są największym skarbem naszego narodu.

Pragniemy iść tym świętowojciechowym, duchowym szlakiem, który bierze swój początek niejako z wieczernika. Właśnie do wieczernika, dokąd apostołowie wrócili z Góry Oliwnej po wniebowstąpieniu Chrystusa, prowadzi nas dzisiejsza liturgia. Przez czterdzieści dni od zmartwychwstania Chrystus ukazywał się im, mówił o Królestwie Bożym. Polecił im nie odchodzić z Jerozolimy, ale oczekiwać na spełnienie obietnicy Ojca. „Słyszeliście o niej ode Mnie" – mówił Chrystus. „Jan chrzcił wodą, ale wy wkrótce ochrzczeni zostaniecie Duchem Świętym. [...] Gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi" (por. Dz 1, 5. 8). Otrzymują więc apostołowie mandat misyjny. W mocy słów zmartwychwstałego Pana mają iść na cały świat i nauczać wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego (por. Mt 28, 18-20). Na razie jednak wracają do wieczernika i tam trwają w modlitwie, oczekując na spełnienie obietnicy. Dziesiątego dnia, w święto Pięćdziesiątnicy, Chrystus zesłał im Ducha Świętego, który odmienił ich serca. Stali się mężni i gotowi podjąć swój misyjny mandat. Rozpoczęli dzieło ewangelizacji.

To dzieło prowadzi w dalszym ciągu Kościół. Następcy apostołów wyruszają wciąż na cały świat, by nauczać wszystkie ludy. Przy końcu pierwszego tysiąclecia przybywali na ziemię polską synowie różnych narodów już przedtem ochrzczonych, zwłaszcza zaś narodów ościennych. Wśród nich centralne miejsce zajmuje św. Wojciech, który przybył do Polski z sąsiedniej i pobratymczej krainy czeskiej. Dało to jakby drugi początek Kościołowi na ziemiach piastowskich. Chrzest w 966 roku, za Mieszka I, zostaje niejako potwierdzony krwią Męczennika. I nie tylko to. Polska bowiem wchodzi do rodziny krajów europejskich. Przy relikwiach św. Wojciecha spotykają się cesarz Otton III i Bolesław Chrobry, w obecności legata papieskiego. Było to spotkanie o historycznej wymowie – Zjazd Gnieźnieński. Miało ono oczywiście znaczenie polityczne, ale miało i znaczenie kościelne. Przy grobie św. Wojciecha została proklamowana przez papieża Sylwestra II pierwsza polska metropolia: Gniezno, do której zostały przyłączone biskupstwa w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu.

***

2. Ziarno, które obumrze, przynosi owoc, plon obfity (por. J 12, 24). Również do św. Wojciecha odnoszą się słowa z Ewangelii Janowej, które kiedyś Chrystus wypowiedział do apostołów. Umierając, dał on świadectwo życia. „Ten, kto kocha swoje życie, traci je, a kto nienawidzi swego życia na tym świecie, zachowa je na życie wieczne" (J 12, 25). Wojciech dał też świadectwo służby apostolskiej. Powiedział bowiem Chrystus: „kto by chciał Mi służyć, niech idzie za Mną, a gdzie Ja jestem, tam będzie i mój sługa. A jeśli ktoś Mi służy, uczci go mój Ojciec" (J 12, 26). Wojciech poszedł za Chrystusem. Poszedł długą drogą, która prowadziła z rodzinnych Libic do Pragi, z Pragi do Rzymu. A potem, kiedy natrafiał wciąż na opór swoich praskich rodaków, wyruszył jako misjonarz na równinę panońską, a z kolei przez Bramę Morawską do Gniezna i nad Bałtyk. Jego misja jest jak gdyby zwieńczeniem ewangelizacji ziem piastowskich. A to właśnie dlatego, że Wojciech dał świadectwo Chrystusowi ponosząc śmierć męczeńską. Ciało Męczennika wykupił Bolesław Chrobry i sprowadził je tu, do Gniezna.

Wypełniły się na Wojciechu słowa Chrystusa. Ponad miłość doczesnego życia postawił on miłość do Syna Bożego. Poszedł za Chrystusem jako wierny i ofiarny sługa, dając o Nim świadectwo za cenę swej krwi. I oto uczcił go Ojciec. Lud Boży otoczył go czcią należną świętym na ziemi w przekonaniu, że Wojciech, męczennik Chrystusa, cieszy się chwałą w niebie.

„Ziarno, które obumrze, przynosi plon obfity". Jakże dosłownie te słowa spełniły się w życiu i śmierci św. Wojciecha! Jego męczeńska krew, zmieszana z krwią innych polskich męczenników, leży u fundamentów Kościoła i państwa na ziemiach piastowskich. Wojciechowy zasiew krwi przynosi wciąż nowe duchowe owoce. Czerpała z niego cała Polska u zarania swej państwowości i przez następne stulecia. Zjazd Gnieźnieński otworzył dla Polski drogę ku jedności z całą rodziną państw Europy. U progu drugiego tysiąclecia naród polski zyskał prawo, by na równi z innymi narodami włączyć się w proces tworzenia nowego oblicza Europy. Jest więc św. Wojciech wielkim patronem jednoczącego się wówczas w imię Chrystusa naszego kontynentu. Święty Męczennik tak swoim życiem, jak i swoją śmiercią kładzie podwaliny pod europejską tożsamość i jedność. Po tych historycznych śladach stąpałem wielokrotnie w okresie milenium chrztu Polski, przybywając z Krakowa do Gniezna z relikwiami św. Stanisława, i dziś Opatrzności Bożej dziękuję za to, że dane mi jest jeszcze raz znaleźć się na tym szlaku.

eprasa.pl 8877ab7377

Dziękujemy ci, św. Wojciechu, żeś nas dzisiaj tak licznie tu zgromadził. Są tu wśród nas bardzo dostojni goście. Myślę naprzód o prezydentach krajów związanych z osobą i działalnością św. Wojciecha-Adalberta. Dziękuję za obecność prezydentowi Polski panu Kwaśniewskiemu, prezydentowi Czech panu Václavovi Havlovi, prezydentowi Litwy panu Brazauskasowi, prezydentowi Niemiec panu Herzogowi, prezydentowi Słowacji panu Kovačowi, prezydentowi Ukrainy panu Kuczmie, prezydentowi Węgier panu Gönczowi. Czcigodni panowie, wasza obecność tutaj w Gnieźnie ma szczególne znaczenie dla całego kontynentu europejskiego. Tak jak przed tysiącem lat, tak i dziś świadczy ona o chęci pokojowego współżycia i budowania nowej Europy, złączonej więzami solidarności. Proszę bardzo, aby panowie byli łaskawi przekazać moje pozdrowienie swoim narodom, które dzisiaj tutaj reprezentujecie.

Słowa wdzięczności kieruję pod adresem księży kardynałów przybyłych z Wiecznego Miasta, z kardynałem Sekretarzem Stanu Angelo Sodano na czele, oraz kardynałów z krajów świętowojciechowych, którym przewodzi kardynał Miloslav Vlk – następca św. Wojciecha na stolicy biskupiej w Pradze. Raduję się, że wraz z nami są kardynałowie z odległych stron świata, od Ameryki aż po Australię. Serdecznie pozdrawiam i dziękuję oczywiście za obecność kardynałom polskim z kardynałem Prymasem na czele, wszystkim arcybiskupom i biskupom. Również dziękuję biskupom prawosławnym oraz zwierzchnikom Wspólnot reformowanych, a także zwierzchnikom innych Wspólnot kościelnych. Słowa szczególnego pozdrowienia kieruję do naszego gospodarza arcybiskupa Muszyńskiego, metropolity gnieźnieńskiego, oraz do was, drodzy bracia i siostry, którzy przybyliście na to spotkanie z całej Polski.

***

3. Pozostało mi głęboko w pamięci spotkanie gnieźnieńskie w czerwcu 1979 roku, gdy po raz pierwszy Papież rodem z Krakowa mógł sprawować Eucharystię na Wzgórzu Lecha, w obecności niezapomnianego Prymasa Tysiąclecia, całego Episkopatu, wielu pielgrzymów nie tylko z Polski, ale również z krajów ościennych. Dzisiaj, po osiemnastu latach, wypadałoby powrócić do tamtej homilii gnieźnieńskiej, która stała się poniekąd programem pontyfikatu. Przede wszystkim jednak była ona pokornym odczytywaniem zamierzeń Bożych, związanych z ostatnim 25-leciem naszego milenium. Mówiłem wtedy: „Czyż Chrystus tego nie chce, czy Duch Święty tego nie rozrządza, ażeby ten Papież-Polak, Papież-Słowianin, właśnie teraz odsłonił duchową jedność chrześcijańskiej Europy, na którą składają się dwie wielkie tradycje: Zachodu i Wschodu? Tak. Chrystus tego chce. Duch Święty tak rozrządza, ażeby to zostało powiedziane teraz, tutaj w Gnieźnie" (Katedra Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 3 czerwca 1979 roku).

Z tego miejsca rozlała się wówczas potężna fala, moc Ducha Świętego. Tutaj zaczęła przybierać konkretne formy myśl o nowej ewangelizacji. W tym czasie bowiem dokonały się wielkie przemiany, powstały nowe możliwości, pojawili się nowi ludzie. Runął mur dzielący Europę. W pięćdziesiąt lat po rozpoczęciu drugiej wojny światowej jej skutki przestały złobić oblicze naszego kontynentu. Skończyło się półwieczne rozdzielenie, za które szczególnie straszliwą cenę płaciły miliony mieszkańców Europy Środkowej i Wschodniej. Dlatego tutaj, u grobu św. Wojciecha, składam dziś Bogu wszechmogącemu dziękczynienie za wielki dar wolności, jaki otrzymały narody Europy, a czynię to słowami psalmisty:

Mówiono wtedy między narodami:
„Wielkie rzeczy im Pan uczynił!"
Pan uczynił nam wielkie rzeczy
i radość nas ogarnęła

(por. Ps 126, 2-3)

***

4. Umiłowani bracia i siostry, po latach osiemnastu powtarzam to samo: potrzebna jest nasza gotowość. Okazuje się bowiem w sposób niekiedy bardzo bolesny, że odzyskanie prawa samostanowienia oraz poszerzenie swobód politycznych i ekonomicznych nie wystarcza dla odbudowy europejskiej jedności. Jakże nie wspomnieć w tym miejscu tragedii narodów byłej Jugosławii, dramatu narodu albańskiego i ogromnych ciężarów ponoszonych przez wszystkie społeczeństwa, które odzyskały wolność z wielkim wysiłkiem, zrzucając z siebie jarzmo totalitarnego systemu komunistycznego.

Czyż nie można powiedzieć, że po upadku jednego muru, tego widzialnego, jeszcze bardziej odsłonił się inny mur, niewidzialny, który nadal dzieli nasz kontynent – mur, który przebiega przez ludzkie serca? Jest on zbudowany z lęku i agresji, z braku zrozumienia dla ludzi o innym pochodzeniu i innym kolorze skóry, przekonaniach religijnych, jest on zbudowany z egoizmu politycznego i gospodarczego oraz z osłabienia wrażliwości na wartość życia ludzkiego i godność każdego człowieka. Nawet niewątpliwe osiągnięcia ostatniego okresu na polu gospodarczym, politycznym, społecznym nie przesłaniają istnienia tego muru. Jego cień kładzie się na całej Europie. Do prawdziwego zjednoczenia kontynentu europejskiego droga jeszcze jest daleka. Nie będzie jedności Europy, dopóki nie będzie ona wspólnotą ducha. Ten najgłębszy fundament jedności przyniosło Europie i przez wieki go umacniało chrześci-

eprasa.pl 8877ab7377

jaństwo ze swoją Ewangelią, ze swoim rozumieniem człowieka i wkładem w rozwój dziejów ludów i narodów. Nie jest to zawłaszczanie historii. Jest bowiem historia Europy jakby wielką rzeką, do której wpadają rozliczne dopływy i strumienie, a różnorodność tworzących ją tradycji i kultur jest jej wielkim bogactwem. Zrąb tożsamości europejskiej jest zbudowany na chrześcijaństwie. A obecny brak jej duchowej jedności wynika głównie z kryzysu tej właśnie chrześcijańskiej samoświadomości.

***

5. Drodzy bracia, to właśnie Chrystus, Jezus Chrystus, „ten sam wczoraj, dziś i na wieki" (por. Hbr 13, 8), objawił człowiekowi jego godność! To On jest gwarantem tej godności! To patroni Europy – św. Benedykt, święci Cyryl i Metody – oni wszczepili w europejską kulturę prawdę o Bogu i o człowieku. To orszak świętych misjonarzy, których dziś przypomina nam św. Wojciech, niósł europejskim ludom nowinę o miłości bliźniego, o miłości nieprzyjaciół nawet – nowinę poświadczoną oddaniem za nich życia. Tą Dobrą Nowiną – Ewangelią, żyli w Europie przez kolejne stulecia, aż po dzień dzisiejszy, nasi bracia i siostry. Powtarzały ją mury kościołów, opactw, szpitali i uniwersytetów. Głosiły ją foliały, rzeźby, obrazy, obwieszczały strofy poezji i dzieła kompozytorów. Na Ewangelii kładziono podwaliny duchowej jedności Europy.

Od grobu św. Wojciecha pytam więc, czy wolno nam odrzucić prawo chrześcijańskiego życia, które głosi, że tylko ten przynosi owoc obfity, kto obumiera dla wszystkiego, co nie Boże, kto dla dobra braci obumiera, jak ziarno rzucone w ziemię? Tu, z tego miejsca, powtarzam wołanie z początku mego pontyfikatu: otwórzcie drzwi Chrystusowi! W imię poszanowania praw człowieka, w imię wolności, równości, braterstwa, w imię międzyludzkiej solidarności i miłości wołam: nie lękajcie się! Otwórzcie drzwi Chrystusowi! Człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa. Dlatego mur, który wznosi się dzisiaj w sercach, mur, który dzieli Europę, nie runie bez nawrotu ku Ewangelii. Bez Chrystusa nie można budować trwałej jedności. Nie można tego robić odcinając się od tych korzeni, z których wyrosły narody i kultury Europy, i od wielkiego bogactwa minionych wieków. Jakże można liczyć na zbudowanie „wspólnego domu" dla całej Europy, jeśli zabraknie cegieł ludzkich sumień wypalonych w ogniu Ewangelii, połączonych spoiwem solidarnej miłości społecznej będącej owocem miłości Boga? O taką właśnie rzeczywistość zabiegał św. Wojciech, za taką przyszłość oddał swoje życie. On też dzisiaj nam przypomina, iż nie można zbudować nowego porządku bez odnowionego człowieka, tego najmocniejszego fundamentu każdego społeczeństwa.

***

6. U progu trzeciego tysiąclecia świadectwo św. Wojciecha jest wciąż obecne w Kościele i wciąż wydaje owoce. Winniśmy jego dzieło ewangelizacji podjąć z nową mocą. Tym, którzy zapomnieli o Chrystusie i Jego nauce, pomóżmy odkryć Go na nowo. Stanie się tak wtedy, kiedy zastępy wiernych świadków Ewangelii znów zaczną przemierzać nasz kontynent; gdy dzieła architektury, literatury i sztuki będą w sposób porywający dla współczesnego człowieka ukazywać Tego, który jest „wczoraj, dziś, ten sam na wieki"; gdy w sprawowanej przez Kościół liturgii ujrzą piękno oddawania Bogu chwały; gdy dostrzegą w naszym życiu świadectwo chrześcijańskiej miłości, miłosierdzia i świętości.

Umiłowani bracia i siostry, w jak niezwykłej godzinie dziejów przyszło nam żyć! Jak ważkie zadania powierzył nam Chrystus! On wzywa każdego z nas, abyśmy przygotowywali nową wiosnę Kościoła. Chce, aby Kościół – ten sam, co w czasach apostolskich i w czasach św. Wojciecha – wkroczył w nowe tysiąclecie pełen świeżości, rozkwitającego nowego życia i rozmachu ewangelicznego. W roku 1949 Prymas Tysiąclecia wołał: „Tu, przy grobie św. Wojciecha, zapalać będziemy ogniste wici, zwiastujące ziemi naszej »światłość na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego«" (por. Łk 2, 32) (List pasterski na ingres). Dziś na nowo wznosimy to wołanie, prosząc o światło i ogień Ducha Świętego, aby zapalał nasze wici zwiastunów Ewangelii aż po krańce ziemi.

***

7. Św. Wojciech jest ciągle z nami. Pozostał w piastowskim Gnieźnie, pozostał w powszechnym Kościele otoczony chwałą męczeństwa. I z perspektywy tysiąclecia zdaje się dzisiaj przemawiać do nas słowami św. Pawła z dzisiejszej liturgii: „Tylko sprawujcie się w sposób godny Ewangelii Chrystusowej, abym ja – czy to gdy przybędę i ujrzę was, czy też będąc z daleka – mógł usłyszeć o was, że trwacie mocno w jednym duchu, jednym sercem walcząc wspólnie o wiarę w Ewangelię, i w niczym nie dajecie się zastraszyć przeciwnikom" (Flp 1, 27-28).

Odczytujemy raz jeszcze dzisiaj, po tysiącu lat, ten Pawłowy i ten Wojciechowy testament. Prosimy, ażeby słowa tego testamentu doczekały się spełnienia również w naszym pokoleniu. Nam bowiem z łaski Bożej dane jest to dla Chrystusa: nie tylko w Niego wierzyć, ale i dla Niego cierpieć, skoro toczyliśmy tę samą walkę, jakiej świadectwo pozostawił nam św. Wojciech (por. Flp 1, 29-30).

I przyzywamy Wojciechowego pośrednictwa, prosząc go o orędownictwo, gdy Kościół oraz Europa przygotowują się do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. ■

eprasa.pl 8877ab7377

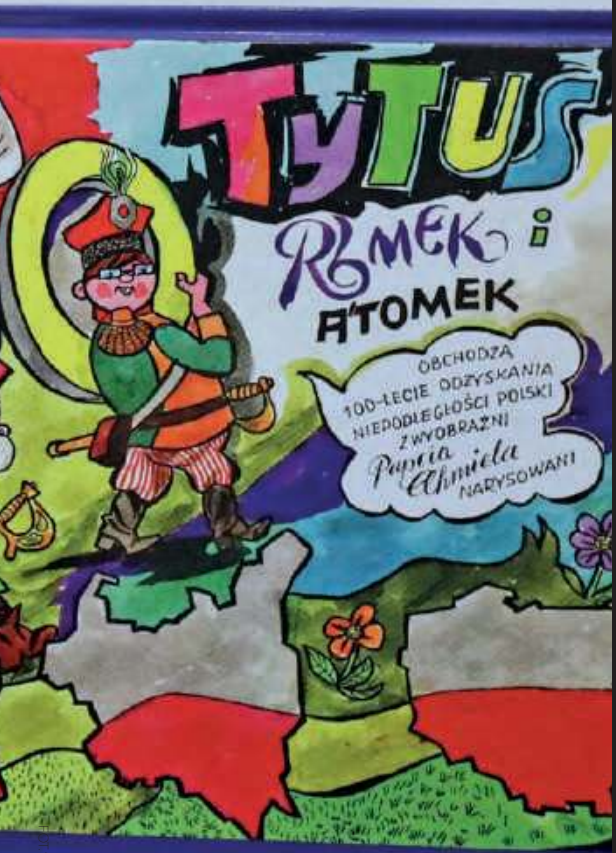


Sylwia Krasnodębska

ŻEGNAJCIE, SKUBAŃCY!

Sprasa.pl 8877ab7377

„Papciowa" kreska, inteligentny dowcip i kultowa seria komiksów, na której wyrosło pokolenie. I to chyba niejedno. A wszystko przez nieco przypadkową karierę rysownika i przypadkowe wylanie tuszu. Henryk Chmielewski bowiem o mały włos nie został elektrykiem. „Cud, że się tak nie stało. Do prezydenta od elektryka – krótka droga pomyka" – mówił.



fot. Paweł Supernak/PAP

Kształtował wyobraźnię Polaków, kolorował szary świat PRL-u, wprowadzał w dorastanie. Informacja o śmierci „Papcia Chmiela" 21 stycznia 2021 roku zasmuciła wszystkich. Najpopularniejszy polski autor komiksów, grafik i rysownik zmarł w wieku 97 lat. Odszedł spokojnie. Po prostu położył się spać.

Miliony egzemplarzy

Pierwsze rysunki publikował w gazetce, którą tworzył w wojsku. Po zakończeniu służby rozpoczął studia na Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie na Wydziale Grafiki. Karierę jako rysownik rozpoczął w 1947 roku w „Świecie przygód", a następnie w „Świecie młodych". Od 1957 roku rozkochiwał kraj swoją serią komiksów o przygodach Tytusa, Romka i A'Tomka. Szympans Tytus powstał przypadkowo, gdy jego twórca wylał atrament. Powstała plama przypominała szympansa. Rysownik krzyknął: „Z tuszu powstałeś i w tusz się obrócisz" i nadał mu imię „Tusz de zoo", a później „Tytus de Zoo". Szalone przygody małpy działy się wokół jego nieustającego pragnienia, by stać się człowiekiem. Romek i A'Tomek robili wszystko, by małpiszonowi pomóc. Chmielewski przenosił swoich bohaterów w czasie i przestrzeni. Byli zarówno w kosmosie, jak i w realiach Powstania Warszawskiego. Humor był jednak zawsze wspólnym mianownikiem: „Czytałeś Norwida? / A kto go napisał?" – czytamy w XVII księdze Tytusowych przygód.

Wesołe przygody bohaterów ukazywały się od 1957 roku przez dziewięć lat w gazetce harcerskiej „Świat Młodych", a od 1966 do 2008 roku jako książeczki o łącznym nakładzie wraz ze wznowieniami ponad 11 mln egzemplarzy. Tomasz Łysiak na łamach „Gazety Polskiej" napisał: „Gdy myślę o »Tytusie« właśnie teraz, po śmieci »Papcia«, i spoglądam wstecz – dochodzę do wniosku, że spełniał on dla nas wszystkich jeszcze jedną, bardzo ważną rolę. W świecie szarym i smutnym, w świecie pozbawionym kolorów i uśmiechu, w komunistycznej szarzyźnie, w rzeczywistości strajków, stanu wojennego, cenzury, tych samych mundurków i ubrań, które dzieci miały na sobie, w świecie, w którym »inna gumka do ścierania« przyniesiona do szkoły »robiła różnicę« – jego »tytusowe« historie dawały nam oddech, przynosiły wyobraźnię, lekkość, dowcip. Poczucie humoru – to nie tylko immanentny składnik inteligencji, lecz także ratunek dla ducha w trudnym czasie. Pięknie opowiedział o tym Roberto Benigni w filmie »Życie jest piękne«".

77ab7377

„Papcio Chmiel" był także autorem serii komiksowej „Sierżant King z królewskiej konnicy" (1947) oraz komiksów własnego pomysłu „Półrocze bumelanta" (1951) i „Witek sprytek" (1955–1956).

W grudniu ubiegłego roku skończył pracę nad ostatnim komiksem o Chrzcie Polski. Tytus dostał zadanie przeniesienia się w czasy Mieszka I i doprowadzenia do chrztu władcy, by mogło powstać państwo polskie. Marzeniem „Papcia" było dożyć do dnia premiery. Niestety, książka wyszła dosłownie kilka dni po jego śmierci.

Przyciąganie rozrodcze zwane miłością

Henryk Chmielewski wydał też swoją autobiografię pt. „Tarabanie w Barbakanie". Opowieść o jego życiu jest właściwie piękną historią o jego mieście – Warszawie. O początkach jej istnienia Chmielewski pisze malowniczo: „Dopiero kiedy na skarpie zamieszkał światły rybak Wars ze swoją połowicą Sawą, popsuli tę naturalną równowagę bytowania. Proszę zwrócić uwagę, że użyłem określenia »połowica«, a nie »żona«. Otóż w tym czasie nie istniał jeszcze kościół ani urząd stanu cywilnego, Warsowie nie mogli więc zawrzeć związku małżeńskiego. Ludzie łączyli się wtedy w pary na zasadzie przyciągania rozrodczego; dziś nazywamy to miłością".

Henryk Chmielewski w książce pisze, że o mały włos nie zostałby elektrykiem. „Cud, że się tak nie stało. Do prezydenta od elektryka – krótka droga pomyka" – pisał. Henryk Chmielewski wychowywał się w patriotycznym domu, gdzie przez całą okupację odbywały się tajne spotkania podziemia. Miał dwie siostry. Ożenił się w 1949 roku z Anną z domu Śliwińską i rozwiódł w 1974 roku. Z tego związku pochodzą syn Artur Bartłomiej Chmielewski, który współpracował m.in. z NASA, i córka Monique Lehman – artystka, tworzy gobeliny.

Z grantami pod pachą

W marcu 1943 roku złożył przysięgę i został żołnierzem Armii Krajowej. Otrzymał pseudonim „Jupiter". Walczył w Powstaniu Warszawskim w 7. pułku piechoty „Garłuch". Dowódca jego drużyny Janusz Mierkowski miał pseudonim „Merkury" i chciał, żeby wszyscy w jego drużynie mieli pseudonimy pochodzące od nazw gwiazd. „I tak zostałem gwiazdą" – śmiał się „Papcio" po latach. Jego batalion miał za zadanie przejąć zajęte przez Niemców lotnisko Okęcie. Atak powstańców się jednak nie powiódł i Henryk Chmielewski już 1 sierpnia znalazł się w niewoli. Na szczęście po dwóch miesiącach uciekł. Udało mu się dzięki temu, że przyłączył się do grupki kobiet. „Tam, gdzie się nosi portfel normalnie, ja nosiłem granat. A pod pachą miałem w paczce resztę granatów. Powiedziałem, że jeśli patrol mnie zatrzyma, to ja wtedy pociągnę tę zawleczkę i niech się rozwala to wszystko razem z tymi Niemcami i ze mną. Strach był wielki. Dusza na ramieniu. Ale się szło" – mówił w nagraniu dla Muzeum Powstania Warszawskiego.

W 2009 roku stworzył na murze Muzeum Powstania Warszawskiego mural, na którym Tytus, Romek i A'Tomek pracują w harcerskiej poczcie polowej. – Ten mural to dla mnie osobista zemsta na Niemcach, mogłem się ucieszyć, że Tytus depcze flagę hitlerowską, tym bardziej że, niestety, należę do pokolenia, które ma okupację wciąż przed oczami – mówił wtedy dziennikarzom Chmielewski. W 2012 roku ukazał się jego komiksowy album „Tytus, Romek i A'Tomek jako warszawscy powstańcy 1944 z wyobraźni Papcia Chmiela malowani". We wstępie książki Chmielewski napisał: „Jak pokazać Tytusa z jego małpimi dowcipami na tle tragicznych wydarzeń martyrologicznych, niepewności życia w każdej sekundzie, ginących kolegów, łez matek, walących się domów i niemieckich mordów? To, co narysowałem, nie może oczywiście służyć jako dokument historyczny, lecz mimo że jest fantazją, opiera się na prawdziwych wydarzeniach powstańczych. Liczę, że taki sposób przedstawienia epizodów z tamtego okresu pobudzi młodszych czytelników do poznania prawdziwej historii Powstania".

Ordery za walkę, pióro i uśmiech

Za działalnością patriotyczną i pracą twórczą szły odznaczenia. Między innymi Krzyż Armii Krajowej, Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski czy Medal Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Ale nie dziwi też Order Uśmiechu. „Był ikoną i legendą polskiej szkoły graficznej. Pozostaną z nami Jego rysunki, które mamy w pamięci" – napisał po śmierci rysownika na Twitterze wicepremier Gliński. „Pokazał, jak piękny i plastyczny jest język polski i jaką siłę, szczególnie w czasach szarego PRL-u, mają wyobraźnia i prawda; niewielu było artystów, którzy w takim stopniu ukształtowali wyobraźnię Polaków" – napisał premier Mateusz Morawiecki. „Dla ludzi mojego pokolenia, dorastających kiedyś na Jego komiksach, kończy się jakaś epoka" – głosi wpis prezydenta Andrzeja Dudy. Pod internetowymi tekstami informującymi o śmierci mistrza komiksu wpisywali się fani jego twórczości. Oto jeden z wpisów: „Dzięki, Papciu, za setki godzin, które mogłem spędzić w łóżku, fotelu z talerzem kanapek i przygodami Tytusa"... ■

eprasa.pl 8877ab7377

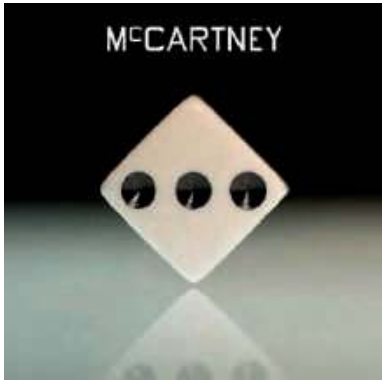
Marek Kalinowski

Wymuszona „trójka”

Paul McCartney powrócił do domowego studia, by nagrać w pełni solowy materiał. Efekt nie jest może tak przebojowy jak pamiętna „jedynka” ani zaskakujący jak eksperymentalna „dwójka”, a jednak pomysłów na piosenki mógłby eksbeatlesowi pozazdrościć niejeden znacznie młodszy artysta.

Wiosenny lockdown zastał Paula McCartneya w wiejskiej posiadłości na południu Anglii. Jeśli większość artystów nie zapamięta dobrze 2020 roku, McCartney raczej nie mógł narzekać. Czas izolacji dzielił między pracę w prywatnym studiu nagraniowym a zabawę z wnukami. Być może gdyby nie pandemia koronawirusa, trzecia, w pełni solowa płyta nigdy by nie powstała. McCartney uciekał bowiem do domowego studia zawsze przy naddatku wolnego czasu, w sytuacji życiowych zmian.

Płyta zatytułowana „McCartney I” powstała tuż po rozpadzie The Beatles, w 1970 roku. To z niej pochodzą popularne piosenki „Maybe I'm Amazed” czy „Lovely Linda”. „Dwójka” pojawiła się dekadę później, przy okazji zawirowań z zespołem Wings. Pozbawiona chwytliwych utworów, zaskoczyła fanów elektronicznym, syntezatorowym brzmieniem. Na kolejny „domowy” album McCartneya trzeba było czekać aż 40 lat, a jednak udało się – płyta „McCartney III” ujrzała światło dzienne w ostatnich dniach grudnia 2020 roku, wymuszona nieco przez dziwny czas pandemii.



Paul McCartney, McCartney III, Capitol

Eksbeatles ma już 78 lat, co słychać, zwłaszcza w pierwszej części albumu, zarówno w „Find my Way”, jak i „Pretty Boys”. Łamiący się głos z pewnością wielu przypomni późne płyty American Johnny'ego Casha, choć w przypadku McCartneya wokal wyraźnie nie nadąża za ekspresją muzyczną.

Nie sposób uciec od dalszych porównań i przypomnieć, że płyta McCartneya ukazała się w tym samym roku co długo oczekiwany album Boba Dylana, ale w przeciwieństwie do „Rough and Rowdy Ways” jest lekka, wręcz niepoważna w wymowie, a momentami nawet dość małostkowa (chwytliwą piosenkę „Lovatory Lil” autor zadedykował tajemniczemu znajomemu, rozliczając w ten sposób dawne urazy).

Nie zmienia to wszystko faktu, że „III” zawiera znakomite kompozycje, którymi McCartney wciąż potrafi sypać jak z rękawa. Kapitalne i zarazem najdłuższe na płycie „Deep Deep Feeling”, a także mocno gitarowe „Slidin'” wciągają w swój rytm już od pierwszych dźwięków. Są też „Seize The Day” oraz akustyczne „The Kiss of Venus”, które przypomną najlepsze czasy czwórki z Liverpoolu. Wdzięcznie zamykająca album „Winter Bird / When Winter Comes” to z kolei kompozycja, której początki sięgają lat 90., choć szczęśliwie dla „McCartney III” nie znalazła miejsca na poprzednich albumach.

Na tych, którzy zdecydują się kupić album w wersji fizycznej, a nie tylko odtworzą w serwisach streamingowych, czeka jeszcze jedna niespodzianka. Wkładka zawiera zdjęcia artysty zrobione w trakcie pracy nad płytą przez jego córkę Mary McCartney. I tu historia po raz kolejny zatoczyła koło. Jeśli bowiem wrócimy do lat 70. i pierwszego solowego albumu McCartneya, z pewnością przypomnimy sobie również jedno z najbardziej znanych zdjęć piosenkarza, na którym otula zimową kurtką maleńką wówczas córkę. Dzisiaj Mary McCartney jest znaną fotografką. Być może jeszcze w tym roku będziemy mogli obejrzeć film dokumentalny jej autorstwa, zdradzający tajemnice legendarnego Abbey Road Studios, w którym zarejestrowano największe hity Beatlesów. ■

eprasa.pl 8877ab7377



Krzysztof Karnkowski

Pożegnanie faceta z fajką

Urodzony w 1939 roku Smith początkowo miał kontynuować rodzinną tradycję i pracować w bankowości. Do połowy lat 70. próbował wdrażać ten narzucony przez ojca scenariusz, na boku coraz śmielej realizując jednak kolejne próby literackie. Smith senior literatury jako zajęcia zdecydowanie nie cenił. Jeszcze przed II wojną światową zdusił pisarskie aspiracje swojej żony, która zdążyła jednak opublikować trzy powieści historyczne. Z synem na szczęście kompletnie mu się to nie udało.

Horror z naturą w roli głównej

Guy pisał opowiadania już jako kilkunastolatek, znajdując chętnych nie tylko do czytania, lecz także – co jest już miarą pewnego sukcesu – do ich publikacji. Zaczynał od krótszych form, by w 1974 roku wydać swoją pierwszą powieść „Werewolf by Moonlight". Sukces przyszedł dwa lata później, gdy pierwszy tom cyklu „Kraby" okazał się niespodziewanie dla autora wielkim wakacyjnym przebojem wydawniczym. Powodzenie tego kojarzącego się ze „Szczękami" tytułu pozwoliło Smithowi rzucić znienawidzoną pracę i żyć z pisania, a później również wydawania książek. O samych krabach-mordercach napisał ich sześć w latach 70. i 80., by po latach wrócić do tematu ze zbiorami opowiadań i licznymi poprawionymi wydaniami, których trudno się doliczyć.

Choć Smith poruszał się w bardzo różnych stylistykach i podgatunkach, strasząc chyba wszystkim, czym tylko da się czytelnika nastraszyć, a więc opowieściami o duchach, demonach, nawiedzonych lasach i trzęsawiskach, „Kraby" wyznaczyły mu kierunek najbardziej z nim chyba kojarzony – horror z samą naturą w roli głównej. Wpływ na to miało zapewne wychowanie na wsi i sentyment do przyrody, z którą zawsze był bardzo blisko. Nie popadł jednak w modne dziś skrzywienie, zwane bambizmem lub bambinizmem, polegającym na przypisywaniu zwierzętom ciepłego,

eprasa.pl 8877ab7377

W Wigilię dotarła do nas wiadomość o śmierci Guya N. Smitha, brytyjskiego pisarza, autora licznych horrorów. Jego książki nie były cenione przez krytykę, sam zresztą nie miał przesadnych ambicji. Drugo- i trzecioligowe powieści tworzył dla przyjemności, od pewnego momentu czyniąc z nich również źródło utrzymania. Specyfika polskiego rynku wydawniczego czasów transformacji ustrojowej sprawiła, że Anglik miał u nas swoje pięć minut i na zawsze zapisał się w pamięci sporego grona czytelników.



bajkowego wizerunku. Bohaterami innych książek uczynił również węże, krokodyle, karakale i rozmaite robactwo, a w opowiadaniach menażerię tę jeszcze rozmnożył. Ujawnił się przy tym w pełnej krasie bardzo charakterystyczny element jego stylu – przypisywanie niemal zawsze złych emocji i motywacji naturze, czy to żywej, czy nieożywionej. Jak wielu pisarzy, lubił serie stanowiące dość pewne źródło dochodu i sposób na utrzymanie zainteresowania czytelnika. Niektóre krótkie, dwutomowe, lecz i dłuższe, jak porównywalna rozmiarami z „Krabami" i znana również polskim czytelnikom opowieść o przygodach cierpiącego na rozdwojenie jaźni egzorcysty Marka Sabata, którego, o czym za chwilę, losy zagnają nawet do... Puszczy Kampinoskiej.

▶ Nie tylko mordercze kraby

Na rynek angielski Guy N. Smith wypuścił przez 46 lat swej wydawniczej aktywności ponad osiemdziesiąt horrorów. Na nich imponująca bibliografia walijskiego twórcy bynajmniej się nie kończy, sił próbował bowiem również w kilku innych gatunkach. Czasem dorabiał pod rozmaitymi pseudonimami w najbardziej od siebie odległych regionach krainy literatury. Niemal równocześnie publikował więc książeczki dla dzieci, będące przeniesionymi na papier wersjami bajek Disneya, i powieści soft-porno. Tych ostatnich przytrafiło mu się do końca lat 70. aż osiem, wszystkie wydane pod pseudonimami i opatrzone mało odkrywczymi tytułami w stylu „Seksowne wyznania czyściciela okien". Później akurat to zajęcie sobie odpuścił, nie unikając jednak mało ambitnej erotyki jako stałego elementu swoich horrorów, co na pewno miało znaczenie dla jego, najczęściej nastoletniej, publiczności. Wciąż jednak pisał thrillery, powieści historyczne, wreszcie poradniki poświęcone swoim pasjom: wiejskiemu życiu, paleniu fajki, hodowli ryb i oczywiście zawodowemu tworzeniu horrorów.

FOT. ARCH.

eprasa.pl 8877ab7377

Król wyobraźni nastolatków

Angielska Wikipedia wspominając o nie najlepszym odbiorze pisarstwa Guya N. Smitha przez krytykę, zauważa, że równocześnie dorobił się on sporej grupy fanów, zwraca też uwagę na fenomen w postaci popularności autora w Polsce. W ostatnich latach na fali nostalgii ukazują się u nas pozycje dotyczące chaotycznych, anarchicznych czasów transformacji ustrojowej, z głośną „Duchologią polską" Olgi Drendy na czele (w której zresztą Guy N. Smith zostanie przywołany jako autor „wybornej pulpy"). Gdyby ktoś chciał napisać monografię początków wolnego rynku wydawniczego III RP, również nie mógłby nie wspomnieć o naszym bohaterze. Raczkujące wydawnictwa swoją szansę znalazły w szybkim wypełnianiu luk w dość ubogiej, jeśli chodzi o pogardzane wcześniej bardziej komercyjne gatunki, ofercie literackiej późnego PRL. Stragany i księgarnie zapełniły się nagle literaturą szpiegowską i fantastyką, zarówno najwyższych, jak i najniższych lotów. Jedną z nisz był wcześniej praktycznie niezauważany (również z przyczyn ideologicznych) horror. Na początku lat 90. zajęły się nim przede wszystkim dwa wydawnictwa, poznański Amber, wydający Grahama Mastertona i Jamesa Herberta, później zaś również Stephena Kinga i Deana R. Koontza, i trójmiejski Phantom Press. Ta druga firma wydawała niemal wszystko jak leci, co mściło się nieraz na jakości tłumaczeń, redakcji i samej oferty.

Nie wiadomo, skąd wziął się w niej Guy N. Smith, jednak na kilka miesięcy strategia wydawnicza Phantom Press uczyniła go królem wyobraźni kilku roczników nastolatków. Trójmiejska oficyna wydawała książki Smitha w numerowanej dość niestarannie serii horrorów, której większość stanowiło ponad trzydzieści pozycji tego autora. Poza numeracją i poza nakładem Phantom Press ukazała się dość ambitna powieść „Szatan", w której w realiach sowieckiej Moskwy duch Iwana Groźnego odrodził się w cudownie przywróconym do życia pierwszym sekretarzu KPZR. Pozycja ta pokazuje, że Smith czasami próbował wznieść się trochę powyżej swego zwykłego poziomu pełnych krwi i seksu czytadeł i nie był wcale na straconej pozycji. Pośród mniej wymagających tytułów, tworzących biblioteczkę Smitha w serii horrorów wydawnictwa, na wyróżnienie zasługuje jeszcze również nieco ambitniejsza od innych propozycji „Fobia".

Polskie wątki

Co ciekawe, sama firma niespecjalnie szanowała swojego popularnego autora, choć czytelnikom przedstawiała go mocno na wyrost jako gwiazdę gatunku. Książki, które wcześniej z reguły kończyły swój żywot na jednym brytyjskim wydaniu, nagle stawały się przebojami w wygłodniałej Polsce. Nasz kraj okazał się największym obok Anglii rynkiem zbytu dla Smitha. Świadomy tego rewanżował się, wplatając polskie wątki do swojej twórczości. I tak w pisanej w czasie boomu na swoją twórczość powieści „Czarna fedora" czyni bohaterem polskiego aparatczyka, który podczas wizyty w Wielkiej Brytanii prześladowany jest przez duchy oficerów zamordowanych w Katyniu. Premier Kośmiński ma zresztą, niezbyt chętnie, uczestniczyć w odsłonięciu poświęconego im pomnika. Przy tej okazji zaś Smith pracuje na rzecz polskiej polityki historycznej, przybliżając angielskiemu czytelnikowi ten dramatyczny epizod naszych dziejów. Echem tego czasu jest również wspomniany już polski wątek w opowiadaniu „Warszawska wiedźma", w którym Mark Sabat uniemożliwia kilku uciekającym przed sprawiedliwością (ech, naiwność poczciwego Walijczyka!) byłym kacykom powrót do władzy z pomocą czarnej magii. Przy okazji zaś pisarz pozwala swoim bohaterom na kilka sążnistych, antykomunistycznych tyrad. I tylko szkoda, że rzeczywistość okazała się gorsza od horroru. Postacie, które mogłyby być odpowiednikami czerwonych spiskowców z chaty wiedźmy skrytej gdzieś w Kampinosie, nie potrzebowały żadnej magii, może poza pomocą specjalistów od kreowania wizerunku. Choć jeszcze w latach 90., po wydaniu czwartego tomu przygód Sabata, mamiono nas zapowiedzią, że Smith kolejną część wyda tu szybciej niż na Zachodzie, by dowartościować swojego ulubionego polskiego czytelnika, opowiadanie ukazało się u nas dopiero w 2019 roku, gdy nowe pokolenie fanów horroru doczekało się własnych wydawnictw, a ich szefowie przypomnieli sobie o młodzieńczych fascynacjach. Po 25 latach doczekaliśmy się więc drugiej, skromniejszej już, fali dzieł Guya N. Smitha na naszym rynku. Autor zresztą tęsknił za swoją polską popularnością, czemu dawał wyraz w rozmowach z fanami, z którymi kontaktów nigdy nie unikał.

Do końca pozostawał aktywnym twórcą, spotykającym się z fanami i wspierającym młodych autorów, wreszcie – pracującym nad kilkoma nowymi pozycjami. Jednak nawet bez nich polscy wydawcy mają jeszcze wiele pozycji do nadgonienia, a walijski gospodarz z nieodłączną fajką, jak na miłośnika i twórcę horroru przystało, straszyć i zabawiać nas będzie jeszcze przez długie, długie lata. ■

eprasa.pl 8877ab7377

Małgorzata Matuszak

Czym jest... natura człowieka

Pojęcie „natura" może być rozumiane na wiele sposobów. W wąskim znaczeniu termin ten oznacza to samo, co przyroda, czyli przedmiot przyrodoznawstwa. W znaczeniu szerszym zaś obejmuje wszelkie fakty, którym można przypisać współrzędne czasoprzestrzenne. Naturą nazywamy wszystko to, co fizyczne, cielesne, materialne, całą otaczającą nas naturalną, czyli nie wytworzoną przez człowieka, rzeczywistość, a także wszystkie zjawiska fizyczne i życie w różnych jego przejawach. Mianem tym określamy też zespół cech konstytutywnych dla danego bytu, jego istotę. Sposób rozumienia terminu „natura" musi więc być określany kontekstowo, poszczególne nauki starają się bowiem ująć ją w kategoriach wypracowanych przez siebie dyskursów i koncepcji.

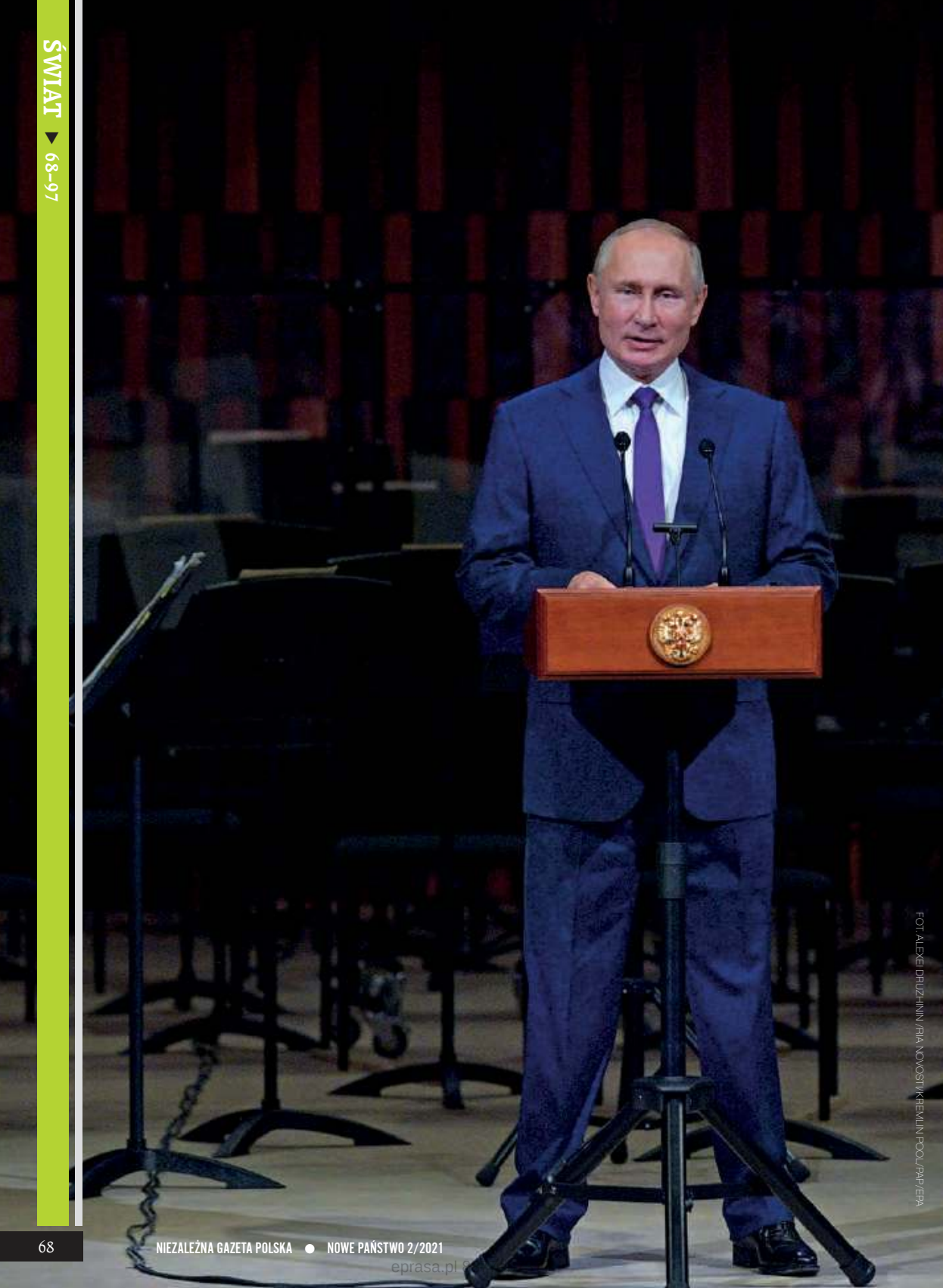
O naturze natury wiele mówi nam samo słowo „natura", w języku łacińskim pochodzące od czasownika „nasci", czyli „rodzić się, powstawać, zaczynać się, brać początek". Łacińska „natura" jest odpowiednikiem greckiej „fysis", słowa wywodzącego się od czasownika „fyein" oznaczającego „rodzić się, płodzić, wytwarzać, wypływać (ze źródła)". Ów wypływ ze źródła umożliwia rodzenie i stawanie się, to zaś, co zrodzone bądź wytworzone, zgodne jest z tym, z czego wzięło swój początek. „Fysis", w odróżnieniu od „techne", czyli „sztuki, umiejętności wytwarzania czegoś", źródło swego ruchu posiada w sobie. Pojęcie natury należy do najbardziej podstawowych kategorii ontologii starożytnej. Stanowi centralny punkt myśli greckiej i charakteryzuje grecki sposób myślenia w ogóle. „Fysis" rozumiana była jako natura i istota całości tego, co istnieje. Człowiek, jako byt naturalny, również w tę całość się wpisuje.

Arystoteles rozpoczynając swe wykłady „dotyczące spraw ludzkich", zastanawia się (w) czym wyraża się funkcja właściwa człowiekowi. Wzgląd na naturę, jako istotę bytu, zdaje się być tu względem zasadniczym, jako że z natury wypływa jego doskonałość. Natura też, dążąc do tego, co najlepsze, powierzając człowiekowi właściwe dlań zadanie, powierzyła także zdolność jego spełniania. Dlatego pytając o szczęście, pyta Arystoteles najpierw o taką właśnie, właściwą człowiekowi, naturalną funkcję („ergon") i o to, co ją spełnia. Co więc jest funkcją, tj. naturą człowieka?

Określając, czym jest funkcja człowieka, odwołuje się Arystoteles do tego, kim jest człowiek. Jest zaś istotą rozumną, w działaniu rozumnym wyraża się zatem istota człowieka. Dzięki temu może być człowiekiem szczęśliwym. Szczęście – jako spełnienie funkcji – staje się celem nam zadanym, zadaniem nie tyle do wykonania, co do wykonywania. Nie możemy więc zastanawiać się nad tym, czy mamy być szczęśliwi, lecz nad tym, jak szczęście osiągnąć. Nie możemy nie pragnąć szczęścia, tak jak nie możemy nie pragnąć urzeczywistnienia pełni swej natury, stając zatem zawsze-już przed obowiązkiem bycia tym, kim jesteśmy. Stajemy przed swoim „ergon" jako czymś najpełniej obowiązek ten wyrażającym, będącym czymś, co stoi poza i ponad obowiązkami szczegółowymi: stajemy przed obowiązkiem, jaki posiadamy wobec samych siebie, i którego wypełnienie polega na prowadzeniu „życia doskonałego".

Arystotelesowi chodzi o sposób bycia człowieka, który dochodzi do pełni siebie wtedy, gdy działa rozumnie. Ów rozum, który umożliwia człowiekowi rozumną aktywność i – równocześnie – bycie pośród innych, jest tym, co odróżnia człowieka od innych bytów. Rozumna natura człowieka wyraża się zaś w działaniu roztropnym. Tylko ten, kto postępuje dobrze, działa w sposób właściwy człowiekowi. Pragnie człowiek rozsądny jednego: dobrze żyć, a wszystko inne staje się naturalną konsekwencją wyprowadzoną z tej chęci. Człowieka dzielnego charakteryzuje nie tylko jedność chcenia, nie tylko to, że pragnie zawsze tego samego, lecz także to, że pragnąc, uzgadnia to, co dobre, i to, co prawdziwe: w sobie. Tyle zaś w nim mądrości (praktycznej), ile dobra. Ale też – odwrotnie. Nigdy, w żadnym momencie, jedno przed drugie nie wybiega. ■

eprasa.pl 8877ab7377



FOT. ALEXEI DRUZHININ /RIA NOVOSTI/KREMLIN POOL/PAP/EPA

eprasa.pl



Reżim Putniewa

Antoni Rybczyński

Początek roku potwierdza zaostrzenie kursu polityki wewnętrznej rosyjskich władz i kolejny krok w stronę klasycznego autorytarnego reżimu. Polityka zagraniczna schodzi na plan drugi. Jeśli reżim przetrwa ten rok, Putin ma wszelkie szanse, by dotrwać co najmniej do końca obecnej kadencji. A co najważniejsze, przygotować spokojnie sukcesję.

eprasa.pl 8877ab7377

Aleksiej Nawalny trafił za kratki, wszczęto przeciwko niemu kolejną sprawę karną. Ministerstwo Sprawiedliwości dodało grupę osób do listy „zagranicznych agentów" zgodnie z nowymi przepisami umożliwiającymi uznanie za „zagranicznego agenta" właściwie każdego obywatela lub podmiot prawny w Rosji. Uchwalono też nowe restrykcje wobec publicznych demonstracji, a blokowanie ulic zostało wyjęte spod prawa. Za „oszczerstwo" w Internecie można dostać nawet 2 lata więzienia. Władza ma też większe możliwości blokowania stron internetowych, jeśli uzna, że cenzurują treści z rosyjskich mediów państwowych. To ostatnie to kij na takich potentatów jak Facebook czy YouTube.

Faza stagnacji

Reżim przystąpił do kolejnego etapu konsolidacji i zaostrzania polityki wewnętrznej. Rosja staje się coraz bardziej autorytarna. Wpływ na przysłowiowe dokręcenie śruby miały z pewnością wydarzenia na Białorusi, które wyraźnie zaskoczyły i wystraszyły Kreml. Putin wyciągnął wnioski z problemów Łukaszenki – kluczowe jest niedopuszczenie do demonstracji, a nie ich pacyfikacja siłowa. Stąd pakiet ustaw mających właśnie zapobiegać oddolnej mobilizacji ludzi. Kreml boi się, że masowe i bezczelne fałszerstwa podczas wyborów parlamentarnych w 2021 roku mogą stać się zapalnikiem masowych protestów (jak wybory prezydenckie na Białorusi w sierpniu 2020 roku). Dlatego w najbliższych miesiącach Putin skupi się na polityce wewnętrznej w stopniu niewidzianym od 2012 roku. Wie, że przyszłość reżimu zależy od przetrwania pandemii koronawirusa i wygranej w jesiennych wyborach do Dumy. Polityka zagraniczna schodzi na plan drugi. Jeśli reżim przetrwa ten rok, Putin ma wszelkie szanse, by dotrwać co najmniej do końca obecnej kadencji. A co najważniejsze, przygotować spokojnie sukcesję.

Putin nie ma już bowiem nic do zaproponowania Rosjanom. Zresztą sam jest zmęczony i nawet nie stara się wymyślić czegoś nowego, co porwie rodaków. Chce tylko utrzymać władzę – nawet jeśli w końcu będzie przeciwko niemu zdecydowana większość społeczeństwa. Już teraz jest postrzegany jako „przywódca schodzący", używając znanego z Zachodu terminu, „lame duck" (kulawa kaczka). Nawet cała polityczno-prawna operacja ze zmianą konstytucji i umożliwieniem dożywotniego panowania Putinowi wcale nie pomogła zresetować „zegara" jego rządów, ale mu zaszkodziła. 2021 rok jest pierwszym rokiem nowej fazy rządów Putina, fazy stagnacji, która daje podstawy, by obecnego prezydenta określić mianem Putniew – w nawiązaniu do Leonida Breżniewa.

Kto po nim?

Choć zmiana konstytucji umożliwia Putinowi ponowny start w wyborach prezydenckich w 2024 roku, jest to mało prawdopodobne. Putin wie, że im dłużej będzie kurczowo trzymał się władzy, tym bardziej żałosny, a może i dramatyczny może być jego koniec. 2021 rok będzie więc ważnym okresem pisania scenariusza transferu władzy i poszukiwania następcy. Należy pamiętać, że poszukiwania sukcesora Borysa Jelcyna zaczęły się niemal nazajutrz po jego reelekcji w 1996 roku. I dopiero trzy lata później zapadła decyzja. Zresztą Putin wcale nie był pewniakiem. Przed nim próbowano innych potencjalnych „delfinów", choćby Jewgienija Primakowa, Siergieja Kirijenkę, a zwłaszcza Siergieja Stiepaszyna. Wszyscy oni stali na czele rządu. Czy to oznacza, że Michaił Miszustin, premier od roku, może być tym następcą? Z pewnością zmiany w rządzie w listopadzie 2020 roku i wprowadzenie większej liczby ministrów lojalnych bardziej nawet wobec premiera niż Putina, sugerują, że Miszustin buduje własną silną pozycję polityczną. Ale raczej skończy się tak jak z Wiktorem Zubkowem przed wyborami w 2008 roku. Został premierem, ale swojego następcę (na jedną kadencję) Putin wybierał spośród dwóch wicepremierów: Siergieja Iwanowa i Dmitrija Miedwiediewa. Ostatecznie wygrał ten drugi. Zresztą i teraz wskazywany jako jeden z faworytów do zastąpienia Putina. Po to miał być zdjęty z funkcji szefa rządu, gdzie łatwiej traci się popularność ludzi, niż się ją zyskuje (zwłaszcza w tak

PUTIN WIE, ŻE IM DŁUŻEJ BĘDZIE KURCZOWO TRZYMAŁ SIĘ WŁADZY, TYM BARDZIEJ ŻAŁOSNY, A MOŻE I DRAMATYCZNY MOŻE BYĆ JEGO KONIEC. 2021 ROK BĘDZIE WIĘC WAŻNYM OKRESEM PISANIA SCENARIUSZA TRANSFERU WŁADZY I POSZUKIWANIA NASTĘPCY.

eprasa.pl 8877ab7377

ciężkich czasach), i trafił na bezpieczne stanowisko wiceszefa Rady Bezpieczeństwa.

Choć więc wyścig do Kremla może potrwać do 2024 roku, to niewykluczone, że zwycięzcę poznamy z dużym prawdopodobieństwem już teraz. Bo to właśnie ten rok może być najtrudniejszy dla reżimu i ten, kto najbardziej się wykaże teraz w obronie reżimu, może zyskać akceptację Putina i najważniejszych decydentów z jego otoczenia. Dlaczego właśnie 2021 rok jest tak ważny? Bo mają się odbyć wybory do Dumy. Najpóźniej we wrześniu. To będzie ostatni poważny sprawdzian wyborczy aż do końca kadencji Putina (2024). Kreml, w imię utrzymania stabilności systemu, najpewniej będzie dążył do zapewnienia partii władzy (Jednej Rosji) co najmniej większości konstytucyjnej (2/3 głosów, niezbędne do uchwalania zmian w konstytucji) w nowo wybranej Dumie Państwowej. Sprawdzian będzie najtrudniejszy od wielu lat, co pokazało zmanipulowane „głosowanie ogólnokrajowe" nad zmianami w konstytucji latem 2020. Wybory będzie dużo trudniej sfałszować. Putin i partia Jedna Rosja tracą zaufanie i poparcie. Uciekający od ludzi, zamykający się w „bunkrze" Putin nie robi dobrego wrażenia, zwłaszcza w sytuacji, gdy jego ekipa nie za bardzo radzi sobie z koronawirusem. Jeśli dodać do tego załamanie zysków ze sprzedaży ropy i gazu, to ekonomiczne perspektywy Rosji na ten rok nie wyglądają dobrze. To będzie kolejny rok z rzędu, kiedy spadają realne dochody Rosjan. A przecież to sytuacja ekonomiczno-socjalna jest głównym powodem rosnącego niezadowolenia ludzi, sprawiając, iż wzmaga się potencjał ulicznych protestów czy wręcz rewolucji, gdy tylko padnie iskra na tę beczkę prochu.

Wielkie uliczne demonstracje, powtórka białoruskiego scenariusza – tego Kreml boi się w tym wyborczym roku najbardziej. Ostatnia potężna fala protestów to była zima 2011/2012. Wtedy ludzie wyszli na ulice, protestując przeciwko sfałszowaniu wyborów do Dumy na rzecz Jednej Rosji i przeciwko zapowiedzi powrotu Putina na Kreml. Biorąc pod uwagę faktyczną popularność partii rządzącej wśród Rosjan dziś, to żeby utrzymać status quo w Dumie, reżim musi sfałszować wybory w stopniu niewidzianym jeszcze od początku panowania Putina. To musi wywołać społeczny wybuch. Dlatego już teraz Kreml robi wszystko, aby z wyprzedzeniem to uniemożliwić lub co najmniej maksymalnie ograniczyć. Dlatego zdecydowano się na tak drastyczne posunięcie jak zamach na Aleksieja Nawalnego. Bo jeśli ktoś miałby spróbować koordynować ogólnokrajowe protesty, to tylko on. Liberalna demokratyczna opozycja jest bowiem w rozsypce. Ale nawet bez Nawalnego nie można wykluczyć wyjścia ludzi na ulice. Pokazuje to przykład Białorusi. Stąd wprowadzenie nowych przepisów, które de facto delegalizują wszelkie publiczne działania osób i organizacji, które reżim uzna za niebezpieczne.

Ustawy kagańcowe

Dotychczas reżim imitował demokrację w Rosji i skupiał się na dezinformacji i manipulacji informacją. Teraz zrzucił ostatecznie maskę. Jak czytamy w raporcie OSW o Rosji u progu 2021 roku, „zmiany legislacyjne przyjęte w 2020 roku oznaczają nie tylko dalsze rozszerzanie kontroli i represji, lecz także przejście do otwarcie już dyktatorskiego modelu rządów, pozbawionego w dużym stopniu demokratycznej fasady i pozorów legalizmu". Wynika to nie tylko z wyczerpania się pomysłów reżimu na dalsze manipulowanie Rosjanami, lecz także z głębokich zmian w środowisku informacyjnym. Póki głównym źródłem informacji dla nich była telewizja i prasa, łatwiej było Kremlowi narzucać swoją narrację. Ale rozwój Internetu i większy dostęp do alternatywnych źródeł informacji powoduje, że dużo trudniej i kosztowniej działać państwu na tym polu. Niezależne badania wskazują, że już znacznie więcej Rosjan jako źródło pozyskiwania informacji o kraju i świecie wskazuje Internet, a nie telewizję. To samo dotyczy zaufania do źródła informacji. W tej sytuacji lepiej porzucić resztki pozorów. I zamiast tracić środki i czas na próby wpływania na opinię Rosjan, wprost zagrozić siłą wszelkim próbom otwartych protestów. W tym sensie dla Kremla przestaje mieć znaczenie medialny filar reżimu, za to jeszcze więcej środków będzie szło na filar siłowy – głównie na służby specjalne, policję, Komitet Śledczy i Rosgwardię. Reżim nie będzie już pozorował legalizmu czy konkurencji wyborczej.

Pierwszy etap legislacyjnego ograniczania wolności – dotyczący przepisów wyborczych – miał miejsce w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających tzw. ogólnokrajowe głosowanie nad zmianami w konstytucji. Zaostrzono więc procedury rejestracji kandydatów oraz rozszerzono listę przestępstw, które odbierają skazanej osobie bierne prawo wyborcze, w takim kierunku, by uniemożliwić start w wyborach przeciwnikom reżimu. Uchwalono też przepisy poważnie utrudniające możliwość wskazywania na fałszerstwa wyborcze – takie jak o głosowaniu kilkudniowym czy poszerzeniu możliwości głosowania poza lokalem wyborczym. Jednak drugi etap zmian w prawie – z grudnia 2020 roku – ma zdecydowanie większe represyjne skutki. Zaostrza przepisy ustawy o „agentach zagranicznych", wzmacnia cenzurę w Internecie i właściwie likwiduje wolność zgromadzeń. General-

eprasa.pl 8877ab7377

nie władza ogranicza drastycznie swobodę działania i wystawia na większe ryzyko organizacje pozarządowe, niezależnych aktywistów, dziennikarzy.

Pod koniec grudnia 2020 roku parlament przyjął, a prezydent szybko podpisał szereg ustaw jeszcze mocniej ograniczających demokratyczne procesy i wolność słowa w Rosji. Najistotniejsza jest ustawa wprowadzająca zmiany do już istniejącej od 2012 roku ustawy o „zagranicznych agentach". Oznacza ona faktycznie znaczne rozszerzenie działania tego kontrowersyjnego prawa na osoby fizyczne i organizacje oraz wprowadza nowe restrykcje. Jakie warunki trzeba spełnić, żeby znaleźć się w kategorii „zagraniczny agent"? Wystarczy choćby uczestniczenie w wiecach i pochodach, działalność w partii politycznej, zaangażowanie w wybory czy przeprowadzanie badań społeczno-politycznych i ankietowanie obywateli. W myśl nowego prawa, „zagranicznymi agentami" będą też korespondenci zagranicznych mediów. Zaostrzenie przepisów uderza także w organizacje pozarządowe niebędące podmiotami prawnymi. W przypadku uznania za „zagranicznego agenta", będą musiały składać w ministerstwie sprawiedliwości dokumenty o planowanych działaniach, a potem o ich realizacji. Inne prawo uchwalone 23 grudnia wprowadza zakaz finansowania publicznych wydarzeń przez zagraniczne rządy, organizacje, obywateli, bezpaństwowców, osoby fizyczne i organizacje uznane za „zagranicznych agentów", anonimowych darczyńców oraz rosyjskie organizacje zarejestrowane mniej niż rok przed próbą przekazania finansowego wsparcia na wydarzenie publiczne. Ta ustawa uniemożliwia tak naprawdę działalność publiczną opozycji.

„Zagraniczni agenci"

Jeśli mowa o ustawach mających największe konsekwencje, to niewątpliwie jest to właśnie ta wprowadzająca zmiany do już istniejącej od 2012 roku ustawy o „zagranicznych agentach". Oznacza ona faktycznie znaczne rozszerzenie działania tego kontrowersyjnego prawa na osoby fizyczne i organizacje oraz wprowadza nowe restrykcje. To kolejne zaostrzenie ustawy. W 2017 roku na przykład za „zagranicznych agentów" uznano szereg finansowanych z zagranicy mediów. Teraz wprowadzono jeszcze bardziej drakońskie przepisy. Za „zagranicznego agenta" może być uznany każdy obywatel, który „prowadzi na terytorium Federacji Rosyjskiej w interesach obcego państwa działalność polityczną i/lub celowo zbiera informacje dotyczące wojskowej i wojskowo-technicznej aktywności FR", które po przekazaniu za granicę „mogą być użyte przeciwko bezpieczeństwu Federacji Rosyjskiej". Jakie warunki trzeba spełnić, żeby znaleźć się w kategorii „zagraniczny agent"? Chodzi o otrzymywanie wsparcia z zagranicy, nie tylko finansowego, lecz także organizacyjnego. Jak z kolei ustawa definiuje „działalność polityczną", za którą można być uznanym za „agenta zagranicznego"? Wystarczy choćby uczestniczenie w wiecach i pochodach, działalność w partii politycznej, zaangażowanie w wybory czy przeprowadzanie badań społeczno-politycznych i ankietowanie obywateli.

Uznanie kogoś za „zagranicznego agenta" oznaczać będzie poważne ograniczenia jego praw. Taki obywatel nie będzie mógł zajmować stanowisk w administracji państwowej i lokalnej. Nie będzie miał dostępu do tajemnicy państwowej. Co pół roku będzie musiał składać sprawozdanie o swojej działalności i wydatkowaniu funduszy pochodzących z zagranicy. W myśl nowego prawa, „zagranicznymi agentami" będą też korespondenci zagranicznych mediów. Zaostrzenie przepisów uderza też w organizacje pozarządowe niebędące podmiotami prawnymi. W przypadku uznania za „zagranicznego agenta", będą musiały składać w ministerstwie sprawiedliwości dokumenty o planowanych działaniach, a potem o ich realizacji. Uwagę zwraca też zapis, że media – publikując materiały na temat osób lub organizacji mających status „zagranicznego agenta" – będą miały obowiązek zamieścić taką informację. Duma przyjęła też projekt ustawy, który przewiduje karę do 5 lat więzienia dla osób fizycznych uznanych za „zagranicznych agentów", które nie złożą raportów o swojej działalności albo też nie zwrócą się o włączenie ich do rejestru „zagranicznych agentów".

23 grudnia 2020 roku Duma przyjęła też w ostatnim czytaniu ustawę, która pozwala państwowemu organowi regulacji mediów Roskomnadzor blokować strony internetowe, które „dyskryminują rosyjskie media". To uderzyć może w wielkie serwisy społecznościowe w rodzaju YouTube, Facebook, Twitter. Inna ustawa przyjęta przez Dumę wprowadza karę więzienia dla osób uznanych za winne zamieszczania oszczerczych komentarzy w Internecie lub mediach tradycyjnych. Osoba skazana za oszczerstwo w Internecie może dostać nawet 2 lata więzienia i grzywnę do 1 mln rubli (13,3 tys. dolarów). Za „oszczercze" oskarżenia o gwałt lub inne ciężkie przestępstwa można pójść za kraty nawet na 5 lat. Jeszcze inne prawo uchwalone 23 grudnia zakazuje finansowego wsparcia publicznych wydarzeń w Rosji przez zagraniczne podmioty. Wprowadza zakaz finansowania publicznych wydarzeń przez zagraniczne rządy, organizacje, obywateli, bezpaństwowców, osoby fizyczne i organizacje uznane za „zagranicznych agentów", obywateli Rosji poniżej 16. roku życia, anoni-

eprasa.pl 8877ab7377

mowych darczyńców oraz rosyjskie organizacje zarejestrowane mniej niż rok przed próbą przekazania finansowego wsparcia na wydarzenie publiczne. Ta ustawa w przyszłości uniemożliwi tak naprawdę działalność publiczną opozycji.

Więcej władzy w ręce siłowików

Reżim zaostrza prawo, a jednocześnie rozszerza uprawnienia siłowików, potwierdzając, że stawia już tylko na represje i zmuszanie, nie przekonywanie, obywateli do akceptacji obecnej władzy. Świadomość Putina, że ostatnią jego redutą jest aparat bezpieczeństwa, to najpewniej główny, obok czekistowskiej solidarności, powód, dla którego afera z Nawalnym wcale FSB nie zaszkodziła. Przeciwnie. Federalna Służba Bezpieczeństwa dostanie więcej uprawnień i pieniędzy. Pojawił się właśnie prezydencki projekt, który przewiduje, że prezydent lub rząd będą mogli ustalać miesięczne i inne dodatkowe wypłaty na rzecz pracowników FSB poza tymi przewidzianymi już ustawą. Wypłaty będą zależeć od tego, jak złożone, duże i ważne są zadania przez nich realizowane. Co więcej, Putin podpisał ustawę, która pozwala utajniać informacje nie tylko o zawodowych działaniach sędziów, prokuratorów, pracowników Komitetu Śledczego, FSB i określonych kategorii wojskowych, lecz także dane dotyczące życia prywatnego. W zamian za te i kolejne przywileje dla siłowików, głównie FSB i Rosgwardii, Putin oczekuje od nich pełnej lojalności. Czy to zadziała? Przekonamy się w tym roku, gdy skumulować mogą się protesty przeciwko sfałszowaniu wyborów, demonstracje regionalne i te o socjalnym podłożu.

7 stycznia państwowa telewizja pokazała film dokumentalny o interwencji Rosji w Syrii. Wśród bohaterów filmu jest oczywiście sam Putin. W jednej z wypowiedzi podkreśla dokonania FSB w neutralizacji zagrożeń płynących do Rosji ze strony syryjskich dżihadystów. Można by rzec, że na FSB spływają ostatnio same pochwały. Federalna Służba Bezpieczeństwa chce otrzymać pełnomocnictwa do organizacji obrony obiektów organów bezpieczeństwa „w związku ze zwiększeniem liczby napadów zbrojnych". W uzasadnieniu FSB zwraca również uwagę, że nadal istnieje zagrożenie bezprawnych działań w stosunku do takich obiektów i osób znajdujących się tam. Autorzy projektu dekretu prezydenckiego proponują również uzupełnienie aktualnych dokumentów regulujących działalność służby specjalnej, szczególnie o punkt stwierdzający, że FSB „w granicach swoich kompetencji prowadzi działania na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa informacyjnego Federacji Rosyjskiej w sferze informacyjno-psychologicznej". Ponadto projekt dekretu zakłada, że głowa państwa lub rząd będą mogli ustalać miesięczne i inne dodatkowe wypłaty na rzecz pracowników FSB poza tymi przewidzianymi już ustawą. Wypłaty będą zależeć od tego, jak złożone, duże i ważne są zadania przez nich realizowane.

Prezydent podpisał też ustawę mówiącą o zakazie ujawniania informacji o działalności operacyjnej i prywatnym życiu pracowników struktur siłowych.

REŻIM ZAOSTRZA PRAWO, A JEDNOCZEŚNIE ROZSZERZA UPRAWNIENIA SIŁOWIKÓW, POTWIERDZAJĄC, ŻE STAWIA JUŻ TYLKO NA REPRESJE I ZMUSZANIE, NIE PRZEKONYWANIE, OBYWATELI DO AKCEPTACJI OBECNEJ WŁADZY.

Dokument przewiduje możliwość zakazu wydania danych o sędziach, prokuratorach, pracownikach Komitetu Śledczego, FSB i określonych kategorii wojskowych nawet w sytuacji, gdy nie ma bezpośredniego zagrożenia ich bezpieczeństwa. Inicjatorzy zmian w ustawie uważają, że środek ten można stosować w przypadkach zagrożenia życia lub zdrowia w związku z czynnościami służbowymi pracowników. Również w uzasadnieniu projektu zauważono, że ostatnio w Internecie zaczęły pojawiać się informacje o życiu prywatnym funkcjonariuszy bezpieczeństwa, co może negatywnie wpłynąć na ich pracę. Dokument wprowadza również zmiany do ustawy o działalności operacyjno-śledczej, które zabraniają ujawniania informacji zawartych we wnioskach kierowanych do obywateli i organizacji. Teraz takie informacje mogą być upublicznione tylko za zgodą przedstawiciela władz prowadzącego konkretne działania operacyjno-śledcze. Zakaz nie będzie dotyczył informacji ujawnionych na jawnej rozprawie sądowej oraz w oficjalnych komunikatach prokuratury i sądu w mediach lub w Internecie. ■

eprasa.pl 8877ab7377



Hanna Shen



Xinjiang – chińskie ludobójstwo

W ostatnich dniach rządów Donalda Trumpa Departament Stanu USA uznał, że rząd Chin dokonał ludobójstwa oraz zbrodni przeciwko ludzkości wobec Ujgurów oraz innych mniejszości etnicznych zamieszkujących północno-zachodni region autonomiczny Xinjiang. O tym, co dzieje się w tej chińskiej prowincji i jak reaguje na to świat, w rozmowie z Hanną Shen opowiada pochodzący z Xinjiangu, dziś już obywatel Finlandii, Halmurat Harri Uyghur, założyciel organizacji UyghurAid.

eprasa.pl 8877ab7377

Przedstawia się Pan często jako syn tych, którzy przeżyli obóz koncentracyjny w Xinjiangu. Co spotkało Pana rodziców?

Władze Chin przedstawiają obozy jako ośrodki reedukacji, w których pobyt ma m.in. zwiększyć możliwości zatrudnienia i pomóc w walce z ubóstwem. Do obozów mają trafiać także osoby, które zostały „zwiedzione religijnym ekstremizmem". Moi rodzice to emerytowani urzędnicy państwowi. Nasza rodzina była, można powiedzieć, wzorowymi obywatelami Chin, bo myśleliśmy, że w ten sposób będziemy bezpieczni. Nie pamiętam, by moi rodzice angażowali się w działalność religijną. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek rozmawiał z nimi o religii. A jednak moi rodzice trafili do obozu. I to mimo że kategorie reedukacji i walki z fanatyzmem religijnym, o której mówi chiński rząd, ich nie dotyczą.

Moja mama była więziona przez ponad 19 miesięcy, a mój ojciec przez 11 miesięcy. Po ich zwolnieniu w grudniu 2018 roku przez pewien czas zabroniono im korzystania z internetu. Teraz mogą to robić, a ja mogę normalnie komunikować się z nimi przez chiński komunikator Wechat.

Czy to, co robi chiński reżim w Xinjiangu, można nazwać ludobójstwem?

Zgodnie z Konwencją ONZ dotyczącą ludobójstwa, można nim nazwać to, co chiński rząd robi Ujgurom. Poprzez skomplikowany system biurokratyczny i system zarządzania dopuszcza się nieludzkiej zbrodni, która jest usystematyzowana i przeprowadzana przy użyciu nowoczesnych technologii. Sterylizacja ujgurskich kobiet, zabieranie ujgurskich dzieci rodzicom i wychowanie ich w chińskiej kulturze i języku, przymusowe małżeństwa ujgurskich dziewcząt z Chińczykami itd. To jest bezkrwawe ludobójstwo. Ponadto kara śmierci i dożywotnie więzienia dla Ujgurów za błahostki lub drobne przestępstwa są jawną masakrą, a znikanie bez śladu Ujgurów to potencjalna masakra.

Czy ofiarami tej zbrodni są głównie muzułmanie? Czy do obozów trafiają też chrześcijanie?

Zachodnie media często używają terminu ujgurscy muzułmanie. To nie oddaje rzeczywistej sytuacji Ujgurów, bowiem jest to naród wieloreligijny. Są i muzułmanie, i chrześcijanie. Pomimo tego że ci pierwsi stanowią większość, wyznawcy z obu grup są prześladowani przez chiński rząd.

Obecnie mieszka Pan w Finlandii. Czy może Pan opisać swoją ostatnią podróż do Chin? Czy odczuł Pan, że władza jest tam coraz bardziej represyjna?

Ostatnim razem, kiedy wróciłem do domu w 2016 roku, aby odwiedzić rodziców, zdałem sobie sprawę, że to miejsce bardzo się zmieniło, szczególnie zaniepokoiły mnie liczne patrole uliczne, punkty kontrolne i wszechobecne kamery. Szczerze mówiąc, w czasie tamtej podróży miałem wrażenie, że nasz kraj stał się strefą wojny. Nie czułem się bezpiecznie. Ze względu na inwigilację Ujgurów, mimo że jestem obywatelem europejskiego państwa, nękano mnie, gdziekolwiek się udałem. Miałem dużo kłopotów.

Na dobre opuściłem rodzinne miasto w 2003 roku. Dobrze pamiętam czas przed wyjazdem i nie wiem, jak to się stało, że dziś to niemal strefa wojny. Sytuacja w moich rodzinnych stronach nigdy nie była aż tak zła. Kiedyś spędzaliśmy czas z naszymi chińskimi przyjaciółmi i nie było poczucia nieufności w naszych relacjach. Jednak ostatnim razem, gdy tam byłem, zobaczyłem, że moi ujgurscy przyjaciele nie mają chińskich przyjaciół. Nawet jeśli ich mieli, to im nie ufali. Spotkałem kilku chińskich znajomych, powiedzieli mi, że nie ufają Ujgurom i nie czują się z nimi bezpiecznie. To bardzo smutna sytuacja.

Mówimy o obozach koncentracyjnych w XXI wieku. Na naszych oczach popełnia się jedną z największych zbrodni XXI wieku. A jednak świat wydaje się tym nie przejmować, bo chce robić interesy z Chinami. Do tego stopnia, że niektóre zachodnie firmy korzystają z niewolniczej pracy Ujgurów. Czy myśli Pan, że jest jakaś szansa, aby to powstrzymać?

Nie chcę tu moralizować, ale ludzkość musi spełnić obietnicę „nigdy więcej". Nie jest to tylko kwestia dotrzymywania danego słowa, lecz także przyszłości ludzkości. Spójrzmy na historię Niemiec, których przegrana w czasie I wojny światowej powstrzymała kontynuację niemieckiego imperializmu. Jednak kraje Europy Zachodniej przymykały oczy na politykę Hitlera w Niemczech, nawet po inwazji na Czechosłowację. Bo miały na względzie kontynuację ich stosunków handlowych z Niemcami i interesy gospodarcze.

W rezultacie Niemcy wraz ze Związkiem Radzieckim napadły na Polskę, dokonując jednej z największych masakr w historii ludzkości. Teraz popełniamy ten sam błąd – państwo chińskie prowadzi ekspansję na Morzu Południowochińskim, dokonuje ludobójstwa na Ujgurach i niszczy demokrację w Hongkongu. Jeśli ponownie Zachód przymknie oczy, to prawdopodobnie zapłaci wyższą cenę niż poprzednim razem. Nie chcę, aby tak się stało.

Jak wyjaśni Pan, dlaczego państwa muzułmańskie milczą na temat prześladowań Ujgurów, w większości muzułmanów, przez Chiny?

Chciałbym tu zacytować Ewangelię św. Mateusza 15:14: „Zostawcie ich! To są ślepi przewodnicy ślepych. Lecz jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną". Rządy krajów muzułmańskich są równie złe i represyjne jak chiński rząd. Gnębią swoje narody. Myślę więc, że czekanie na to, aż pomogą Ujgurom, jest jak proszenie niewidomego, by poprowadził innego ślepego. Oczywiście przeciętni muzułmanie sympatyzują z Ujgurami w sposób naturalny. Mam nadzieję, że nadal bę-

FOT. ARCH.

eprasa.pl 8877ab7377

dą to robić i dodatkowo wywierać większą presję na ich rządy w sprawie ujgurskiej. Przede wszystkim liczę na Turków, aby naciskali na swój rząd, by nie ratyfikował traktatu ekstradycyjnego z komunistycznymi Chinami.

▶ A propos ekstradycji, w Polsce mamy obecnie sprawę dotyczącą możliwej deportacji do Chin obywatela Szwecji urodzonego w Chinach, działacza Falun Gong. Z dokumentów związanych ze sprawą wynika, że polska prokuratura przyjęła niejasno sformułowane obietnice ze strony Ambasady ChRL w Warszawie, że proces tej osoby w Chinach będzie sprawiedliwy. Nie chcę mówić o tym przypadku, lecz zapytać o to, jak Pan jako osoba, która mieszkała w Chinach, opisałaby system sądowniczy w Chinach?

Przede wszystkim chciałbym wyrazić ubolewanie z powodu tego, że taka sprawa w ogóle ma miejsce. Mieszkając w Chinach, nigdy nie spotkałem się z większymi problemami prawnymi. Poza rokiem 2008, gdy zostałem uprowadzony w Urumczi i byłem przesłuchiwany przez prawie dwa tygodnie ze względu na bliskie relacje z moimi zagranicznymi przyjaciółmi i moją wiarą.

Wiemy, że państwo chińskie ma swój system prawny, a system jego egzekwowania jest ważną częścią organu zarządzającego. Jednak w Chinach sądy nie są niezależne. Nie ma też wolnego nadzoru medialnego. Wszystko kontroluje partia komunistyczna. Wiele wiadomo o ogromie niesprawiedliwości, jaka dotyka w Chinach, zwłaszcza Ujgurów, Tybetańczyków, podziemne kościoły, Falun Gong i inne mniejszości etniczne lub religijne w imię tej tzw. sprawiedliwości.

▶ Założona przez Pana organizacja UyghurAid odegrała ogromną rolę w nagłośnieniu na świecie sytuacji Ujgurów w Chinach, prześladowań, jakim są poddawani. Ratowaliście ludzi z obozów. Czy z tego powodu był Pan narażony na jakieś niebezpieczeństwo ze strony władz Chin?

Nie mogę powiedzieć, że groził mi bezpośrednio rząd chiński, ponieważ groźby, m.in. śmierci, pochodzą od tych, którzy nie ujawniają swojej prawdziwej tożsamości. Oczywiście uważam, że to wszystko wydarzyło się w wyniku działań rządu chińskiego, ale nie mam bezpośrednich dowodów.

Jestem chrześcijaninem, wielokrotnie grożono mi z powodu mojej wiary. Byłem ochrzczony 17 lat temu. Rozpoczynając moją działalność społeczną, nie mówiłem innym Ujgurom, którzy w większości są muzułmanami, o mojej wierze. Myślę, że chiński rząd uznał to za moją słabość i zagroził, że ujawni, iż jestem chrześcijaninem.

Po ujawnieniu mojego chrześcijaństwa wśród Ujgurów wybuchła wrzawa, a nawet niektórzy ekstremiści grozili, że mnie zabiją. Ale myślę, że do tego tak naprawdę podjudzał chiński rząd.

▶ Żyjemy w czasach pandemii, za którą odpowiedzialna jest chińska władza. Czy uważa Pan, że jest możliwe pociągnięcie Chin do odpowiedzialności za rozprzestrzenienie wirusa?

Jakakolwiek choroba może wystąpić w każdym momencie w dowolnym kraju, ale myślę, że obowiązkiem każdego rządu jest kontrolowanie jej, aby nie stała się zagrożeniem dla ludzkości. Rząd chiński uważa się za jeden z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych na świecie, ale jeśli chodzi o sposób zareagowania na tę pandemię w odpowiednim czasie, stworzył zagrożenie dla ludzkości. Dlatego należy to zbadać. Trzeba to zrobić choćby dla bezpieczeństwa całej ludzkości, aby taki katastrofalny w skutkach błąd nie powtórzył się w przyszłości.

Biorąc pod uwagę obecną globalną politykę myślę, że kara dla chińskiego rządu za spowodowanie pandemii nie jest zbyt realna. Choć powinien ponieść konsekwencje, to – jak wszyscy widzimy – wiele krajów milczy w tej sprawie. To sprawia, że w zasadzie niemożliwe jest podjęcie globalnych działań przeciwko chińskiemu rządowi. Co więcej, brakuje globalnego systemu, odpowiedniej siły, dominującego światowego supermocarstwa, by to zrobić. Mamy nadzieję, że Ameryka może odegrać tę rolę, ale widzimy, że w rzeczywistości nie jest ona do tego zdolna sama, potrzebuje Europy jako silnego sojusznika.

Chiński rząd popełnia ludobójstwo na Ujgurach, ale na świecie nie podjęto żadnych znaczących działań, by to powstrzymać. Z karą za spowodowanie pandemii też raczej się nie uda. Jest to pogląd pesymistyczny, ale niestety realistyczny. Uważam jednak, że dopóki nie będziemy milczeć, zwyciężymy zło, ponieważ Bóg, który stworzył świat, jest z nami.

▶ A jak kwestia pandemii wygląda w Xinjiangu?

Komunikacja z regionem ujgurskim od dawna była trudna, a teraz jest jeszcze trudniejsza. Nie rozmawiamy na takie „drażliwe" tematy z krewnymi, ponieważ może być to dla nich niebezpieczne. Czasami w kontakcie z naszymi kolegami Chińczykami słyszymy, że sytuacja jest bardzo zła i rozważają przeniesienie się stamtąd do innych części Chin.

Domyślam się, że w Xinjiangu konsekwencje pandemii są prawdopodobnie bardziej dotkliwe niż w innych częściach Chin, ponieważ, jak wiemy, miliony Ujgurów przebywają w obozach koncentracyjnych lub są zmuszani do pracy w fabrykach. Takie warunki bardzo sprzyjają rozprzestrzenianiu się wirusa, a represyjna polityka chińskiego rządu prawdopodobnie zaostrza sytuację.

▶ Ale władze Chin twierdzą, że odniosły sukces w walce z koronawirusem.

Jako obrońca praw człowieka wątpię w jakąkolwiek wypowiedź rządu chińskiego. Uważam, że kłamie w imię stabilności i zapobiegania powszechnemu oporowi. Dla niego dyktatura partii komunistycznej jest najważniejsza. I dlatego nie powstrzyma się przed niczym, aby tylko uniknąć ryzyka, że jego reżim stanie przed innym wyzwaniem. ■

eprasa.pl 8877ab7377

Ryszard Czarnecki

14 lutego – Dzień Zakochanych... w historii Polski

14 lutego kojarzy się powszechnie z walentynkami, czyli świętem zakochanych. Z wrodzoną mi nieśmiałością stwierdzam, przy całym szacunku dla zakochanych, iż jest to dzień szczególny także z wielu innych powodów.

Jako poseł do Parlamentu Europejskiego muszę zauważyć, że właśnie tegoż 14 lutego w Kościele katolickim czci się patronów Europy, czyli świętych Cyryla i Metodego. Oczywiście również jest to dzień św. Walentego, biskupa i męczennika, patrona zakochanych właśnie, ale też szaleńców, co skądinąd stanowi wdzięczny temat do refleksji.

Jako historyk muszę powiedzieć, że 14 lutego to szczególna data w historii nie tylko Polski, lecz także świata. Przecież to właśnie w tym dniu 44 lata przed narodzeniem Chrystusa senat rzymski obwołał Juliusza Cezara „dyktatorem wieczystym, najwyższym kapłanem, imperatorem i Ojcem Ojczyzny".

Każdy Niemiec i Francuz powinien ten dzień świętować w wyjątkowy sposób, bo przecież właśnie z 14 lutego 842 roku pochodzą najstarsze zachowane dokumenty w językach francuskim i niemieckim. A konkretnie chodzi o tekst sprzysiężenia Karola II Łysego i Ludwika II Niemieckiego przeciwko ich bratu Lotarowi.

Każdy, kto korzysta z telefonu (a więc w zasadzie każdy...), powinien pamiętać, że właśnie w tym dniu w 1876 roku Szkot Alexander Graham Bell zgłosił nowy patent, czyli telefon właśnie.

14 lutego 1956 roku rozpoczął się legendarny XX zjazd KPZR, w którym I sekretarz sowieckiej kompartii Nikita Chruszczow (mający skądinąd po matce polskie pochodzenie) wygłosił referat, w którym zmiażdżył „kult jednostki" Stalina. To zapoczątkowało odwilż w całym bloku, a więc także nad Wisłą i Odrą.

Wszak bliższa koszula ciału. Dla mnie jako Polaka ważniejsze są związane z tą datą wydarzenia z dziejów mojej ojczyzny. Ten dzień był szczególnie dla nas miły w relacjach Polski z Rosją. Oto bowiem w 1610 roku podczas II wojny polsko-rosyjskiej do króla Zygmunta III Wazy stacjonującego pod Smoleńskiem (!) z tajną misją przybył patriarcha moskiewski Filaret. Zawarto wówczas układ zakładający poparcie syna polskiego króla – Władysława – na tron carów w Moskwie za zagwarantowanie wolności dla prawosławia. Tak, to były piękne czasy, kiedy polskie wojska okupowały Kreml, a Polak rządził całym ówczesnym rosyjskim państwem...

Podczas powstania listopadowego tegoż dnia w słynnej bitwie pod Stoczkiem wojska polskie dowodzone przez gen. Dwernickiego, a konkretnie samodzielny korpus, spuściły srogie lanie dywizji strzelców konnych, którą dowodził gen. Fiodor Geismar. Cóż, nikt wtedy nie mógł przewidzieć, że minie równo 88 lat i tegoż 14 lutego wybuchnie wojna Polski z „czerwoną" Rosją.

14 lutego, Drodzy Zakochani, oferując sobie serduszka, pamiętajcie, że to dzień ważny dla historii polskiej kultury, bo w 1907 roku otwarto Lwowską Galerię Obrazów.

Jest to również szczególny dzień w dziejach polskiej martyrologii. 14.02.1945, tuż przed zakończeniem II wojny światowej, Ukraińcy zamordowali stu Polaków, mieszkańców województwa tarnopolskiego, powiatu czortkowskiego, ze wsi Byczkowce.

14 lutego 1959 roku, dopiero 14 lat po wojnie, oficjalnie weszła w życie umowa o ostatecznym wytyczeniu granicy... Polski i Czechosłowacji. Mało kto już to pamięta, ale przecież w 1945 roku nasi południowi sąsiedzi najechali nas, zabierając, na szczęście czasowo, m.in. Kłodzko, Prudnik, Świeradów oraz szereg mniejszych miejscowości Kotliny Kłodzkiej oraz tereny położone między Raciborzem a Głubczycami!

W najnowszej, już po upadku komuny, historii Polski to też był ważny dzień. 14 lutego 1992 roku prezesem Najwyższej Izby Kontroli został profesor Lech Kaczyński.

14 lutego to również ważna data w historii polskiego sportu, a szczególnie dwóch ukochanych przez Polaków dyscyplin będących naszymi „sportami narodowymi". Zimowego sportu narodowego – skoków narciarskich – bo tegoż dnia w 1937 roku rozegrano pierwsze zawody na skoczni narciarskiej w Szczyrku – Skalite. Letniego sportu narodowego, czyli siatkówki – bo 14 lutego 1948 roku rozegrano pierwszy oficjalny mecz reprezentacji Polski w piłce siatkowej kobiet. Wygraliśmy z Czechosłowacją 3:1...

Warto, aby o tym wszystkim wiedzieli wszyscy zakochani. Zwłaszcza zakochani w historii Polski... ■

eprasa.pl 8877ab7377

Zastępy mini-Schröderów

Olga Doleśniak-Harczuk



Po wyborze Armina Lascheta na nowego szefa CDU jednym z najczęściej zadawanych w polskich mediach pytań było to dotyczące jego prorosyjskości. Po pierwszych zachwytach, że przewodniczący „wie dużo o Polsce, Solidarności i świętym Janie Pawle II", co miało chyba sugerować, że nawet jeżeli zerka na Moskwę, to czyni to na sposób „propolski", przyszło pierwsze otrzeźwienie pod tytułem „Armin Laschet popiera dokończenie budowy Nord Stream 2". Oczywiście że popiera. Skąd pomysł, że mógłby tego nie robić?



eprasa.pl 8877ab7377

Lipiec 2019 roku. Armin Laschet uśmiecha się do obiektywu. Obok niego stoi szef rosyjskiej dyplomacji, Siergiej Ławrow. Premier Nadrenii Północnej-Westfalii, najludniejszego landu Niemiec, po raz pierwszy pełni rolę gospodarza cyklu spotkań w ramach „Dialogu Petersburskiego". Tematem tegorocznej imprezy jest „Kooperacja jako motyw przewodni dla pokojowej Europy. Przykłady społeczeństwa obywatelskiego Rosji i Niemiec".

Dialog niczym fetysz

350 prominentnych gości ze świata rosyjskiej i niemieckiej polityki, gospodarki, kultury debatuje w Bonn. Konferencję otwierają szefowie niemieckiego i rosyjskiego MSZ, ale to z Arminem Laschetem Ławrow rozmawia w pierwszej kolejności. Laschet jest zadowolony. Jego zdaniem Bonn to miejsce o wyjątkowych kompetencjach w dziedzinie polityki zagranicznej, więc rewelacyjnie spełnia się w kształtowaniu nowych kierunków „Dialogu Petersburskiego". – Nawet jeżeli istniały i nadal istnieją polityczne różnice między Rosją a Niemcami, to właśnie teraz trzeba kontynuować dialog między naszymi państwami – mówi przyszły szef CDU. W rządzonym przez niego landzie swoją filię ma 300 rosyjskich firm, w tym TMK Europe czy OMK Steel. Z kolei mające swoją siedzibę w Nadrenii Północnej-Westfalii firmy: Bayer, E. ON, Henkel czy Hochtief prowadzą działalność w Rosji. Land Lascheta ogłosił też niedawno projekt współpracy energetycznej z Rosją, nakierowany na odnawialne źródła energii. Ten premier nie ma podstaw, by odcinać się od budowy Nord Stream 2. Jeżeli uda mu się zostać kanclerzem Niemiec, będzie w tym względzie równie konsekwentny jak Angela Merkel. Wracając od konferencji „Dialogu Petersburskiego", kończy się ona uroczystym przyjęciem w Pałacu Drachenburg. Miesiąc później, w Berlinie, obywatel Rosji zabija w parku, w biały dzień, Czeczena Selimchana Changoschwiliego. Od początku mówi się o egzekucji na zlecenie polityczne z Moskwy. Proces zabójcy trwa do dziś. Nawet najbardziej prorządowe media w Niemczech podkreślają, że wraz z Rosjaninem, na ławie oskarżonych siedzi państwo Władimira Putina. To nie są jednak tematy na dialog. Ani petersburski, ani jakikolwiek inny.

Mutti i Lobbysta

Wrzesień 2015 roku. Angela Merkel w czerwonym żakiecie, dłonie splecione w charakterystyczny romb, obok niej uśmiechnięty od ucha do ucha Gerhard Schröder, w tle baner z okładką jego świeżo wydanej biografii. Minęła dekada od czasu, gdy Merkel zastąpiła bohatera tej książki, w Kanzleramcie. Opuszczając go, były polityk SPD rzucił na odchodne: „Nie mam tu tajnych archiwów, ale jest sejf z zegarkami Berlusconiego". Typowy humor à la Schröder. Dziś ta kanclerz zwana matką narodu prezentuje światu jego biografię. Publicznie chwali jego pragmatyzm i determinację w dążeniu do władzy, przyznaje, że polityk z prawdziwego zdarzenia zawsze dąży do władzy. Ona sama – również. Felietonista „Tagesspiegla" zauważa, że fakt, iż Merkel zgodziła się na przyjacielską rozmowę wokół biografii Schrödera, więcej mówi o niej samej niż jej byłym rywalu. Pojawia się sugestia, że są do siebie uderzająco podobni. Jako byty polityczne. Prezes Rady Nadzorczej Nord Stream AG i chadecka kanclerz Niemiec wygłaszająca laudację na jego cześć. Lobbysta i Mutti. Sześć lat później Gerhard Schröder wyda kolejną książkę. Będzie w niej promował wizję zastąpienia istniejącego porządku światowego – nowym. Lepszym. Skrytykuje nawet rosyjską aneksję Krymu. Tygodnik „Der Spiegel" pospieszy z promocją, zapewniając publikacji sporo rozgłosu. W samej książce krytyka Kremla okaże się niczym w porównaniu z tą spadającą na NATO czy Stany Zjednoczone. Schröder jako pudło rezonansowe moskiewskich nastrojów, jak lew broniący dokończenia budowy gazociągu Nord Stream 2, w końcu – Schröder, o którym wiadomo, że gdzie diabeł nie może, tam zawsze można posłać właśnie jego.

Negocjacje w Turcji w sprawie uwolnienia dziennikarza Deniza Yücela przetrzymywanego w tureckim więzieniu, rzekomo prywatne spotkania z irańską elitą polityczną w czasie, gdy ważyły się losy porozumienia nuklearnego, a utrzymanie wzorowej współpracy handlowej między Berlinem a Teheranem wisiały na włosku. Rozmowy z państwami arabskimi, pośredniczenie w kontaktach między szefem Gazpromu, Alexiejem Millerem, a federalnym ministerstwem gospodarki, usługi doradcze dla głów kilku państw. Lista zadań i cichych sukcesów byłego kanclerza jest imponująca, a charakter jego aktywności wzbogacił nawet język niemiecki o pojęcie „szrederyzacji", czyli podatności elit (nie tylko niemieckich) na korupcję. I faktem pozostaje, że Gerhard Schröder ze swoim proputinowskim bagażem doświadczeń, z którym obnosi się po świecie z pewną dozą bezczelności, stał się patronem nieformalnego ruchu „Russlandversteherów". Z małym zastrzeżeniem. Russlandversteher kojarzy się

FOT. MICHAEL KAPPELER/PAP/DPA

eprasa.pl 8877ab7377

z kimś naiwnie zapatrzonym w Rosję. Z pożytecznym idiotą lubiącym sobie wyobrażać mariaż puszkinowskiej carycy z Faustem. Z kimś, kto ślepo zaufał wykładni Egona Bahra i łaknie bliskości z Rosją za wszelką cenę, mimo wszystko. A Gerhard Schröder nie ma w sobie nic z naiwnego miłośnika, zna Rosję, wie, czym jest, i świadomie – jak to nawet kiedyś ujął jego biograf – dał się „zgazpromizować".

Czarna chmura Nawalnego

Dziwnie jednak skupiać się na osobie patrona, kiedy dookoła wyrosło już wielu bardziej i mniej godnych kontynuatorów. Zwłaszcza w osobach premierów landów. Niemcy jako państwo federalne opanowały do perfekcji pielęgnowanie stosunków gospodarczych z rosyjskim partnerem na poziomie krajów związkowych. Niedawna wrzawa wokół fundacji powołanej przez Manuelę Schwesig, premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego, mającą wspomóc ukończenie budowy Nord Stream 2, to zaledwie wycinek wzorowej rosyjsko-niemieckiej współpracy. Nośny medialnie z uwagi na kontrowersyjny charakter samego gazociągu, ale wpisujący się w szereg wielu innych dokonywanych na poziomie landów. Są to zresztą inicjatywy cieszące się dużym poparciem społecznym. Za zbliżeniem z Moskwą opowiada się 72 proc. mieszkańców landów wschodnich i 54 proc. landów zachodnich. Większość mieszkańców Ostów jest też za zniesieniem unijnych sankcji nałożonych na Rosję po aneksji Krymu. W ostatnich dwóch latach o zniesienie ograniczeń apelowali premier Saksonii Michael Kretschmer (CDU) i premier Turyngii Bodo Ramelow (Linke). We wrześniu 2020 roku, w czasie gdy Aleksiej Nawalny dochodził do siebie w berlińskiej klinice Charité, federalny minister gospodarki Peter Altmeier zdalnie, wraz z rosyjskim ministrem przemysłu Denisem Manturowem, otwierał w rosyjskim Puszkino centrum logistyczne. Budowa tego należącego do niemieckiej firmy Globus przybytku pochłonęła 70 mln euro. Globus to firma rodzinna z Kraju Saary, w Rosji działa od 2005 roku, gdzie posiada 17 hipermarketów i obroty rzędu 1,3 mld rocznie. Centrum logistyczne będzie punktem wyładunku dla 1500 dostawców, również z Niemiec.

Czasem pojawiają się czarne chmury, śledzimy je z niepokojem. Ale mimo wszystko, to ważne, abyśmy w dalszym ciągu współpracowali, tak by w miarę możliwości, mimo sankcji, wykorzystać co się da – zakomunikował wtedy Altmeier, delikatnie nawiązując do sprawy Nawalnego. Czyli Nawalny jako „czarna chmura". Nawet poetycko. Altmeier już nie zboczył z obranego kursu. 25 września 2020 roku w wywiadzie dla „Handelsblatt" podkreślił, że mimo próby otrucia Nawalnego, Niemcy nie powinny rezygnować z dokończenia budowy Nord Stream 2. Słowa te padły w gorącym czasie dla CDU. Kandydaci do zajęcia stołka po Annegret Kramp-Karrenbauer próbowali prowadzić kampanię wyborczą w pandemii. Ubiegający się o przewodnictwo w CDU Norbert Röttgen i Friedrich Merz powodowani jakimś impulsem, nawoływali do zatrzymania budowy Nord Stream 2, ten ostatni nawet podał konkrety. Budowa miałaby stanąć na dwa lata w celu przeanalizowania wszystkich „za i przeciw". Armin Laschet, trzeci z kandydatów, stanął w opozycji do kolegów. Przypominał, podczas konferencji prasowej zwołanej wspólnie z chadeckim premierem Saksonii Michaelem Kretschmerem, o historii energetycznej współpracy rosyjsko-niemieckiej, wypominając niejako swoim rywalom, że już w dużo gorszych czasach przebiegała bezkolizyjnie. Laschet przestrzegł też przed łączeniem sprawy Nawalnego z budową Nord Stream 2. Kretschmer potakiwał głową. Jak przystało na polityka, który rok wcześniej pojechał do Sankt Petersburga, by dyskutować z Władimirem Putinem o potrzebie zniesienia sankcji, a po powrocie dostał cięgi za rzekomą samowolę. Oburzenie polityków nie miało granic, konsekwencji żadnych. Nie po raz pierwszy i ostatni zresztą niemiecki polityk bez oficjalnego mandatu rządu federalnego odbywał narady z Putinem. Ten model działania ma swoje tradycje.

Władimir lubi Bawarię

Bawarczyk to niezbyt udana próba przemiany Prusaka w Austriaka, głosi wiedeński dowcip. Żart oczywiście niesprawiedliwy, bo Bawaria to ładniejsza twarz Niemiec – dostatnich, tradycyjnych i nowoczesnych zarazem, zagłębie przemysłu i kultury. Czasami do tego południowego landu zagląda niemieckie szaleństwo – wtedy robi się niebezpiecznie. Nazwa kraju pochodzi od plemienia Bawarów, przez większą część historii jego losy związane były z dynastią Wittelsbachów, ród ten dał Niemcom wielu ciekawych władców, a i tak pamięta się głównie o szalonym Ludwiku II, który co prawda nie wiedział, jak panować, ale za to sprowadził Wagnera i budował bajkowe zamki. W epoce modernizmu magia bawarskiej stolicy przyciągała artystów z całej Europy – to również polski trop. Bawaria jest ostoją niemieckiego katolicyzmu, dzięki czemu dała światu jednego z najmądrzejszych papieży.

Nowoczesność zaczęła się od dwóch przejawów szaleństwa – republiki rad i puczu monachijskie-

eprasa.pl 8877ab7377

go. Alpejskie krajobrazy upodobał sobie Hitler. Powojenna Bawaria jest od takich rzeczy jak najdalsza – jej mieszczańscy premierzy, koniecznie z CSU (Strauß, Stoiber czy teraz Söder) bywali nieco przaśni, lecz niepozbawieni charyzmy. Symbolami Bawarii mógłby być przemysł (BMW, Siemens, MAN) albo muzea Monachium. Jednak większość skojarzy tę krainę raczej z piłkarską potęgą Bayernu i piwem na Oktoberfest. I oczywiście z cukierkowymi serialami, przeważnie o lekarzach z alpejskich wiosek. Bawaria ma jednak jeszcze jedną specjalność. A raczej słabość. Weźmy na przykład taki postulat zniesienia sankcji nałożonych na Rosję. Od lat orędownikiem tej sprawy jest Horst Seehofer (CSU), dzisiejszy minister MSW Niemiec. Seehofer, jeszcze jako premier Bawarii i szef CSU, pojechał w lutym 2016 roku do Moskwy, gdzie spotkał się z Putinem i szefem rosyjskiego MSZ, Siergiejem Ławrowem. W styczniu 2017 roku gościł zaś w podmoskiewskiej rezydencji Władimira Putina. Po powrocie do kraju apelował o odejście od XX-wiecznych wyobrażeń o rywalizacji i zniesienie sankcji na Rosję – Niemcy nie mogą przecież jednocześnie być w sporze z Rosją, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi! – argumentował Seehofer. Media obiegły jego zdjęcia z Putinem, rozanielony wyraz twarzy Seehofera i zimny, a nawet nieco kpiący, rosyjskiego prezydenta. Wyprawę bawarczyka przedstawiono jako demonstrację samowoli. Wszyscy wiedzieli, że Seehofer to typ uparciucha, a z kanclerz Merkel toczył ostry spór o politykę imigracyjną. Wizerunek twardogłowego opozycjonisty pasował do jego moskiewskich wojaży. Oficjalnie nikt Seehofera do Moskwy z żadną misją nie wysyłał. Konsekwencje? Żadnych. Seehofer prochu nie wymyślił. On tylko ruszył szlakiem przetartym przez swojego poprzednika, Edmunda Stoibera.

W październiku 2006 roku Edmund Stoiber podejmował w Monachium Władimira Putina. Prezydent Rosji zachwycał się zaangażowaniem Stoibera w krzewienie strategicznego partnerstwa między Federacją Rosyjską a Niemcami. Po spotkaniu Stoiber ogłosił plan utworzenia strefy wolnego handlu między Unią Europejską a Rosją. W tamtym czasie tysiąc z przeszło 4,5 tys. firm niemieckich działających w Rosji miało bawarski rodowód. W spotkaniu z Putinem wzięli wtedy udział prezes zarządu koncernu Audi, Martin Winterkorn, i szef Siemensa, Klaus Kleinfeld. Wcześniej Putin otwierał z Angelą Merkel spotkanie „Dialogu Petersburskiego" w Dreźnie, gdzie zobowiązał się do jak najszybszego...wyjaśnienia okoliczności zabójstwa Anny Politkowskiej. Dziś to Markus Söder jako premier Bawarii, szef CSU i nieformalny, ale coraz śmielej poczynający sobie kandydat na przyszłego kanclerza Niemiec bawi się prorosyjską kartą. Pragmatyczny premier uważa dokończenie budowy Nord Stream 2 za konieczne. Niedokończenie projektu kosztowałoby przecież wiele niemieckich miejsc pracy. Trzeba być odpowiedzialnym – tyle na ten temat Söder. Z Putinem już się spotkał, w styczniu 2020 roku. Czyli tradycji stało się zadość.

Jak jednak utrzymuje tygodnik „Der Spiegel", Bawarczyk był bezkompromisowy. Na czym polegała jego nieustępliwość? Zdaniem „Spiegla", m.in. na tym, że „jako warunku zniesienia sankcji zażądał od rosyjskiego prezydenta politycznej reakcji na konflikt ukraiński". Tym razem wizyta miała oficjalne błogosławieństwo Angeli Merkel. Söder leciał na Kreml z poczuciem misji. I bawarskim piwem dla Putina. Co prawda nie wylądował w Rosji tak spektakularnie jak w 1987 roku zapalony pilot Cessny, Franz Josef Strauss, lecz otrzymał swoje pół godziny z prezydentem Federacji Rosyjskiej. I było jeszcze pouczenie ze strony szefa CSU. Söder miał Putinowi dać do zrozumienia, że Niemcy nie pozwolą sobie na morderstwa na swoim terenie, rzecz dotyczyła oczywiście zabójstwa z sierpnia 2019 roku. Putin skinął nieznacznie głową. Wystarczyło, by z Kremla wyjść z tarczą i zostać „bezkompromisowym". Rok później Aleksiej Nawalny leżał pod aparaturą kliniki Charité, pilnowany dzień i noc przez funkcjonariuszy Federalnego Urzędu Policji Kryminalnej (BKA). Być może Söder rozważał, co powie Putinowi przy następnej wizycie na Kremlu. Może prezydent Rosji wcale nie lubi bawarskiego piwa? Schröder by wiedział, w czym rzecz. Szef CSU otrzepał ubranie, przemyślał sobie wszystko jeszcze raz, a w listopadzie 2020 roku w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" oznajmił, że „nie tylko Rosja łamie prawa człowieka". I tym samym zamknął temat uzależniania kończenia budowy NS2 od samopoczucia pana Nawalnego.

Zresztą, Nawalny Nawalnym, a tymczasem Bawaria czeka na zielony wodór z Rosji, inne landy też mają pootwierane okienka dialogowe z rosyjskimi partnerami. Firmy działające w Rosji też muszą jakoś żyć. I jak informuje Niemiecko-Rosyjska Izba Handlowa, nawet pandemia im nie pokrzyżowała planów biznesowych. W Krasnodarze producent sprzętu rolniczego, Claas, poszerza produkcję supernowoczesnych kombajnów zbożowych. Pod Sankt Petersburgiem frankońskie przedsiębiorstwo Knauf otwiera nową, wartą 50 mln euro linię produkcyjną. I powstanie jeszcze kolejne centrum logistyczne. Ten biznes lubi ciszę. Sankcje się go nie imają.

eprasa.pl 8877ab7377

Ten pierwszy



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Tuż po przekroczeniu granicy argentyńsko-boliwijskiej naszym oczom ukazuje się zgoła różna rzeczywistość od tej dotychczasowej

dzień...



Nie, ten reportaż nie będzie podkręcony, ani o jedną kropkę przekoloryzowany. Napiszę wszystko tak, jak to zapamiętałem – pierwszy dzień w kraju, do którego bałem się jechać...

FOT. AHLN

eprasa.pl 8877ab7377



Handel na ulicy i Boliwia. Rzeczy, które istnieć bez siebie nie mogą

To już chyba zaraz. Niepokój i lekkie zamieszanie pojawiające się wśród siedzących wkoło mnie w autobusie ludzi świadczy, że najwyraźniej zbliża się koniec naszej trasy. Za chwilę trzeba będzie wysiadać i przechodzić granicę pieszo. W wiosce La Quiaca argentyńskie autobusy nie przejeżdżają już na drugą stronę granicy z Boliwią. Kończą trasę kilkaset metrów wcześniej. Pozostały odcinek trzeba już przejść. Pomstując w myślach – gdy muszę niespodziewanie zwijać manatki, szukać plecaka w schowku, układać rzeczy i szykować się do wyjścia – nie wiem jeszcze, że tego, co za chwilę zobaczę, nie zapomnę prawdopodobnie do końca życia. Że oto nadarza się okazja do przeżycia czegoś nowego, egzotycznego.

– Señora, spokojnie! Spo-koj-nie! – artykułuję sylabicznie swoje pretensje do napierającej na mnie w autobusowych drzwiach starszej pani. Może w ten sposób zrozumie mój początkujący hiszpański?

– Vamos, gringo! Vamos! – pokrzykuje w odpowiedzi jurna pani.

Pomimo wieku kobieta dzierży pięć ciężkich toreb bazarowych. Przed chwilą bez ceregieli przecisnęła się wąskim autobusowym korytarzem między szerokimi siedzeniami. Obijając po kolei wszystkich mijanych pasażerów. Teraz przyszła pora na mnie. Nie będę wyjątkiem. Też muszę oberwać.

Pani się wyraźnie śpieszy. Wypada z autobusu i ile sił w nogach rusza w tę samą stronę, w którą idzie... Zaraz, zaraz... W którą idzie cały tłum podobnych jej ludzi. Przyznam, że zajęty pakowaniem swoich manatków nie zobaczyłem tego wcześniej. Okazuje się, że nasz autobus jest zaledwie jednym z kilku, które niedawno przyjechały do nadgranicznej La Quiaca. W tej chwili z każdego z nich wylewa się morze głów.

Wychodząc wreszcie z autobusu, od razu wpadam w dziką i bezkształtną rzekę, którą do tej pory bezpiecz-

eprasa.pl 8877ab7377



Radość, pomysłowość i beztroska. Zabawa na targowisku

nie podziwiałem z perspektywy brudnych szyb pojazdu. Rzekę ludzi gnających w stronę granicy. Idą głównie Boliwijczycy. Nietrudno ich poznać. Są niscy, krępawi. Część nadal otulona w koce. Na głowach charakterystyczne kapelusiki. Spod których u kobiet widać bardzo typowe dla tutejszej ludności kruczoczarne warkocze.

„Uważaj pan!" – szturcha mnie starszy jegomość. Niesie pod pachami dwie białe kury.

▶ Na scenie, ale jakby poza nią

Tłum to przynajmniej kilkaset ludzi. Truchtających, podbiegających, idących raźnym krokiem. Tak jakby na granicy ktoś miał wyliczać limit osób, jaka tego dnia zostanie przepuszczona. Nic z tego nie rozumiem.

Można by zaryzykować tezę, że granica argentyńsko-boliwijska przypomina w tym miejscu nasz Cieszyn. Jedno miasto przedzielone na pół. Tutaj jest podobnie. Z tą różnicą, że zamiast jednego miasta, mamy bardzo prowizoryczne miasteczko. To po stronie argentyńskiej nosi nazwę La Quiaca, to po stronie boliwijskiej – Villazon. Podłączywszy się pod strumień ludzi spieszących w kierunku granicy, delikatnie oglądam się za siebie. W autokarze nie było toalety. A tak się składa, że bardzo by mi się teraz przydała. Rozglądam się więc za jakimś przybytkiem. A przynajmniej większymi krzakami. „Prosto, gringo, prosto" – idąca za mną pani w filuternym kapelusiku troskliwie wskazuje drogę. Najpewniej myśli, że oto rozglądam się z dezorientacji. Cóż, chciała dobrze. Grzecznie dziękuję i pokornie zwieszam głowę. W takim rozpędzonym tłumie na toaletę raczej nie mam szans.

Wreszcie widać wysoki ciemnordzawy dach. To tutaj zaczyna się najbiedniejsze państwo Ameryki Południowej. Mijany właśnie zielony znak z napisem „Villazon" tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że idę w odpowiednim kierunku. Zresztą, trudno tutaj o inny.

FOT. ART OF BACKPACKING, FRANCOIS BIANCO

eprasa.pl 8877ab7377



Boliwia to dziś najuboższe państwo całej Ameryki Łacińskiej

Za parę chwil będę w Boliwii. Nie ma co ukrywać – boję się troszkę tego kraju. Pewnie po części przez przeczytane o nim reportaże. A po części przez moich argentyńskich znajomych. Jeszcze kilka dni temu w Buenos Aires kilkoro z nich tłumaczyło mi, żebym bardzo na siebie uważał.

– Bądź bardziej niż ostrożny – przestrzegał Adriano – sympatyczny, acz nad wyraz poważny chłopak, zaprosiwszy mnie do „Polskiej Restauracji" w stolicy Argentyny. – Można tam szybko stracić plecak. I nikomu nie ufaj. Nikomu nic nie zostawiaj.

– Niedawno znowu kogoś tam porwali – wtrąciła się Maru, dziewczyna Adriano.

– Ale byliście tam kiedykolwiek? – zapytałem wreszcie.

– Nie, my nie. Bo i po co? – odpowiedzieli ze zdziwieniem.

Postanowiłem spróbować. Pokusa jest, co tu ukrywać. Dla klasycznego wędrowca Boliwia jawi się bowiem naprawdę egzotycznie. To nie jest zeuropeizowana do granic możliwości (łącznie z przesunięciem wskazówek zegara, by być bliżej Starego Kontynentu) Argentyna. Ani też mocno reklamowane w turystycznym przemyśle Peru. Położona w samym centrum kontynentu Boliwia jest *de facto* tym, czego przeciętny obcokrajowiec ma prawo oczekiwać od dalekiego lądu. To ląd obcy, nieznany. Różniący się praktycznie wszystkim.

Póki co nie widzę nikogo o jasnej karnacji skóry. Podobnie jak nikogo targającego wielki turystyczny plecak z karimatą. Jeśli chodzi o środki do przenoszenia towaru, królują tu raczej wózki dwukółki oraz zwyczajne taczki. Wszyscy ci ludzie idą na targ w Villazon. Ciągnąc za sobą towar, który za parę chwil będą rozstawiać na rogatkach argentyńsko-boliwijskiej granicy.

Zwalniam. Celowo. Chcę posmakować jeszcze chwilę tego widoku. Tych ludzi, których pewnie już nigdy więcej nie zobaczę. Poobserwować zastaną scenę. Pierwsza przegania mnie urocza babcina rugająca idącego za nią zbyt wolnym tempem męża. Za nimi Indianka z czwórką dzieci. Jedno przekrzykuje drugie. Idący jako ostatni chłopiec wymownie wyciera dłonią gile wyciekające z nosa. Widząc, że go obserwuję, zawstydzająco się uśmiecha. Biegnie, by dogonić resztę rodzeństwa. Nieco dalej widać strudzonego starca prowadzącego przedpotopowy rower składak. Na rowerze umocowane plastikowe wanienki. Przejeżdżający na skuterze młodzieniec niechcący trąca misternie ułożoną konstrukcję, która naraz leci w dół. Mało kogo jednak interesuje los

eprasa.pl 8877ab7377

nieszczęśnika, który, jak podejrzewam, układał te wanienki przynajmniej kilkanaście minut. Zawieszam wzrok. Zawieszam myśli. Chwilowa stagnacja rozumu. Z niemej zadumy wyrywa mnie czyjaś ręka potrząsająca mój łokieć. To uliczna przekupka proponuje mi zakup wielgachnego ręcznika.

▶ Bez kolejki

Rozgardiasz. Hałas. Tumult. Docierając wreszcie do punktu granicznego nie słyszę już własnych myśli. Do tej pory podczas spaceru otaczała mnie masa ludzi. Ktoś zaczepił, zaproponował jakąś sprzedaż, usługę. Ktoś potrącił. Uśmiechnął się. Teraz jednak, gdy podchodzę do granicznego posterunku, ku swemu zdumieniu orientuję się, że jestem tutaj sam. Stoję przy okienku jako jedyny. Kolejni ludzie solidarnie mijają to miejsce, idąc dalej.

– Przepraszam. A ci ludzie to co właściwie robią? – pytam argentyńskiego pogranicznika wertującego właśnie mój paszport.

– Jak to co? Nie rozumiem pytania – dziwi się strażnik. – Idą na targ w Villazon.

– A co z odprawą graniczną? Ich nie dotyczy? – nie ustępuję.

– Nie – odpowiada z zupełnym spokojem mundurowy, szukając zagubionej gdzieś pieczątki potrzebnej do wbicia mi kolejnego granicznego stempla. – Ich nie dotyczy.

To prawda. Dopiero później dowiem się, że Argentyna i Boliwia doszły do porozumienia w sprawie tzw. małego ruchu granicznego. Lokalni handlarze nie muszą przejmować się formalnościami. Być może stąd ten zapał do pracy. Nikt tutaj nie będzie stał w kolejce.

▶ Gdy nie dasz łapówki

Po stronie argentyńskiej formalności paszportowo-wizowe załatwiam w okamgnieniu. Całość zajmuje niecałą minutę. Raźno i pełen zapału podchodzę więc do zlokalizowanego kawałek dalej okienka boliwijskiego. Nikogo tu jednak nie zastaję. Stoję i czekam. Stoję. Czekam...

Troszkę to już trwa. Po kilkunastu minutach zniecierpliwiony ostentacyjnie zrzucam z siebie ciężki plecak. Nic. Dalej cisza. Zaczynam głośno chrząkać. Nadal cicho. Kaszleć. Stukać w okienko. Jest! Przecierający oczy od niewyspania strażnik łaskawie odbiera ode mnie wypełnioną karteczkę migracyjną oraz podstemplowuje paszport. Uff... Wychodzę.

– Dokąd? – pyta mnie uzbrojony strażnik stojący przy szlabanie.

– Na dworzec autobusowy... Tam – wskazuję palcem przed siebie. – Do Villazon.

– W drugą stronę.

– Nie, nie, señor... Ja właśnie stamtąd przyszedłem – próbuję wyjaśnić. – Chcę jechać na północ.

– To ci przecież tłumaczę, że masz zawrócić.

Facet ze spluwą ma coraz groźniejszą minę. Nie ma co go przekonywać. Może faktycznie tamtędy prowadzi droga? Posłusznie zawracam.

– Gringo, ty pijany jesteś? Przecież dopiero coś tu był – wita mnie zdziwiony strażnik strony argentyńskiej.

– Tak, ale...

– Bez wygłupów, zmiataj stąd!

Sytuacja staje się coraz mniej ciekawa. Oto stoję w strefie międzygranicznej, mając w paszporcie stempelki opuszczenia Argentyny i wejścia na teren Boliwii. Z jednej strony czeka mnie agresor z bronią, z drugiej facet podejrzewający mnie o chorobę alkoholową. A w dodatku wszyscy ani słowem nie mówią po angielsku. A mój hiszpański niestety nadal jaki jest, taki jest. Nie mam innego wyjścia. Wracam do Boliwii.

„Chyba już ci coś mówiłem!" – z daleka krzyczy w moim kierunku boliwijski strażnik. Strach znów zwycięża. Zawracam... Po chwili przychodzi jednak opamiętanie. Ile tak jeszcze będę uciekać? Zbieram się na odwagę i prężnym, pewnym krokiem pędzę w kierunku Boliwijczyka najwyraźniej czekającego na łapówkę. Ten widząc mnie, łapie się za głowę i wrzeszczy, że takiego idioty (akurat to słowo w hiszpańskim brzmi nad wyraz podobnie w każdym innym) jak ja to on jeszcze nie widział.

– Ile razy mam ci powtarzać, idioto, że dworzec jest tam?! – krzyczy, pokazując argentyńską stronę.

– Nie, señor! Teraz to mnie posłuchaj – zaczynam po hiszpańsku, by resztę inwektyw zostawić sobie na język ojczysty. Mężczyzna i tak nie zrozumie. – A o łapówce nawet nie myśl – kontynuuję wywód w ojczystym języku.

– Wpierw musisz iść po stemple migracyjne i wizy – odgraża się po chwili zastanowienia.

– A to co jest, myślisz? – macham mu przed oczami paszportem. Mundurowy nawet nie spogląda.

– Mówiłem ci, że dworzec jest...

– Co tu się dzieje, do cholery! – z budki granicznej wyskakuje starszy stopniem celnik.

Najwidoczniej nasza kłótnia nabrała rumieńców. Także tych idących w decybele.

– Tu jest granica. Nie bazar! O co chodzi, gringo? – pyta mężczyzna.

– Ten pan usilnie próbuje uniemożliwić mi wejście do waszego kraju.

– Paszport proszę!

W tej sytuacji robię się coraz spokojniejszy. I faktycznie po paru chwilach jestem już w Boliwii. Odwracam się jeszcze i widzę groźnie odprowadzający mnie wzrok przekupnego strażnika. Witaj, Boliwio!

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 8877ab7377



Przejście graniczne La Quiaca/Villazon

Spacer

Główna ulica Villazon. Ostrzeżenia moich argentyńskich znajomych naraz się aktywują. Odkąd przekroczyłem granicę nowego państwa, staram się mieć oczy dookoła głowy. Ogarnia mnie wręcz mania ostrożności. Wszędzie doszukuję się potencjalnych złodziei. Jeden plecak zarzucam na barki, drugi na brzuch. Saszetkę z dokumentami oraz gotówką chowam głęboko pod koszulkę. Idę najszybciej, jak się da.

Mimo skupienia na drodze, nie sposób nie dostrzec, że oto znalazłem się w zupełnie innym świecie. Wszędzie piach. Wałęsające się krowy, alpaki. Bezdomne zwierzęta. Głośno rozmawiający ze sobą ludzie. Spoglądam w ich stronę. Wszyscy z charakterystycznie zaczerwienionymi od słońca i wysokości policzkami. Nieco dalej słychać jakąś uliczną kłótnię. Po chwili skądś dochodzi głośny gardłowy śmiech. A wszystko to podszyte akcentem hiszpańskiego. Tego w wydaniu boliwijskim. Zupełnie oryginalnego w brzmieniu.

Na szczęście mijani ludzie nie wydają się przesadnie zainteresowani moją osobą. Przeciskam się przez tłum kupujących. Mijam stoisko ze sprzętem AGD. Nutka nostalgii za czasami dzieciństwa. Kasety magnetofonowe. Stare radioodbiorniki. Obok pani sprzedaje ponczo. Gdzie indziej pan usiłuje wepchnąć przechodniom dopiero co usmażone empanadas. Na rogu siedzi pani sprzedająca liście koki. Za jej plecami unosi się zielona góra najpopularniejszej używki Ameryki Południowej. Niechcący potrącam leżącą plastikową butelkę. Spostrzegam szybko, że cała ulica jest po prostu zaśmiecona. Pełno tu swobodnie latających na ulicznym wietrze plastikowych torebek. Zręcznie mijam rozplackane na ulicy owoce. Obok cuchnąca kałuża jakiejś ohydnej cieczy. Docieram do dworca.

Ten przypomina nieco niegdysiejsze podziemia warszawskiego Dworca Centralnego. Pośród zatęchłego korytarza na planie litery „U" porozstawiane są „stoiska" przewoźników. Na ziemi leżą bezładnie tobołki podróżnych, a obok ich właściciele. Część urządza sobie rodzinne posiłki. Z trudem znajduję miejsce na postawienie stopy.

Udaje się kupić bilet. Do Potosi. Ostatnia miejscówka na to połączenie. Stojąca za mną staruszka odchodzi już od kasy bez niczego.

Niekończący się koszmarek

Nowa rzeczywistość, w jakiej się znalazłem, przybiera coraz jaskrawszą postać. Przysiadam na dworcowym krawężniku w oczekiwaniu na autobus, który miał tu być już półtorej godziny temu, i staram się wytłumaczyć sobie, gdzie ja tak naprawdę się znalazłem.

Siedzę chyba w zagłębiu przekupek. Wszystkich tych ludzi, których mijałem dziś w drodze do granicy. Wielki jarmark. Wszystko, wszędzie, wszystkim. Za pół darmo. 10 bolivianów (około 5 zł) za koszulę, poncho już za 60 bob (około 30 zł), słynne czapeczki chullo po 12 bob (około 6 zł).

eprasa.pl 8877ab7377



Zalana droga na południu Boliwii. Aura i pora deszczowa potrafią tu pokrzyżować

Przyjechał autobus. Do wejścia szybko formuje się kolejka oczekujących. Nagle wychodzi z niej starsza kobieta. I jak gdyby nigdy nic, kucając, załatwia swoje potrzeby fizjologiczne. Zupełnie nie zważa, że dosłownie cztery metry obok stoją pasażerowie, z którymi zaraz będzie wspólnie podróżować. Zamykam oczy. Mały koszmarek nie chce się skończyć.

Pod jeszcze nieotwartymi drzwiami autobusu trwa walka o jak najlepszą miejscówkę. Zastanawiam się chwilkę, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież miejsca i tak są numerowane. W obawie przed kieszonkowcami opuszczam ciasną kolejkę, by zająć się układaniem plecaka w luku bagażowym. Po chwili dowiaduję się, że ten jest już wypełniony. W sumie, patrząc na ekwipunek moich przyszłych współpasażerów, można się było tego spodziewać.

„Gringo! Daj mi go tutaj!" – słyszę naraz nad sobą. Drugi z kierowców stoi w tej chwili na dachu, mocując na nim kolejne bagaże. Montuję prędko plecak do spuszczonego ku mnie zaczepu od liny i daję znak stojącemu na dachu panu, że można wciągać. Na koniec pan przykryje stos ułożonych pakunków plastikową plandeką. Dopiero za kilka godzin przekonam się o jej szczelności. A właściwie braku. Wskutek ulewy, przez jaką będziemy przejeżdżać, plecak będzie kompletnie mokry.

Czas wejść na pokład. Przy drzwiach od autobusu pani wyciąga dłoń z zapytaniem o opłatę dworcową.

– Nie rozumiem... – W pierwszej chwili nie do końca dowierzam. Mam płacić za tę „obsługę"? Za krawężnikowe czekanie w toaletowych smrodkach na spóźniony półtorej godziny autobus?

– 2 boliviany – pani jest nieprzejednana.

Tak zwana opłata dworcowa to bardzo popularny zwyczaj, a raczej obowiązek, we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej. W sąsiedniej Argentynie polegający na dawaniu napiwku osobie, która akurat pakowała bagaż do luków. Co ważne – nie ma możliwości samodzielnego załadowania swoich rzeczy. Trzeba grzecznie ustawić się w kolejce, przekazać panu swój pakunek, a po chwili wypełnić monetami wystawioną przezeń dłoń. Taki zwyczaj. W Boliwii ze względu na częsty transport na dachu pojazdu, opłatę dworcową uiszcza się pani blokującej wejście do pojazdu.

▶ Skuteczna regeneracja

Nie mam wyjścia. Trzeba zapłacić. Wchodzę do środka. Delikatny odorek. Półmrok wnętrza. Nieprzyzwyczajone do ciemności oko widzi tylko kontury siedzących już pasażerów. Większość przykryta grubymi kocami. Szykują się do snu. Szukam swojego miejsca. O, jest. Można się było spodziewać. Wszak kupiłem ostatni bilet. Na samym końcu autobusu widać pięć wąziutkich miejsc. Po prawej stronie na dwóch siedzi mamusia z dwójką dzieci i całym rodzinnym dobytkiem. Po lewej usadowiło się natomiast dwóch barczystych mężczyzn. Najbliższe godziny raczej nie zwiastują odpoczynku...

FOT. JULIANE SCHULTZ, STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 8877ab7377



Codzienność w komunikacji dalekobieżnej Boliwii

Pan po prawej dzielnie rozpycha się lewym łokciem. Nie zmieścimy się. Jeden musi ustąpić. Przytulam się grzecznie do dzieciatej rodzinki. Najstarszy właśnie rozpoczął grę w tetrisa. Na maksymalnie ustawionej głośności. Młodsze dziecko zaczyna płakać. Po pięciu minutach płacz przeradza się w wrzask. Mama krzyczy do kierowcy, by ten zatrzymał pojazd, gdyż jej dziecko musi zrobić siusiu. Po rozchodzącym się z tyłu autokaru zapachu wnoszę, że tu nie tylko o siusiu chodzi. Problem polega jednak na tym, że kierowca oznajmia, iż w trakcie całonocnej jazdy planowane są tylko dwa postoje. Na stacjach benzynowych w celu uzupełnienia baku. Nic ponadto. Pani ma na to rozwiązanie. Sprawnie przebiera niemowlę. Chowając brudną pieluchę w zagłówku siedzącego przed nią mężczyzny. Było łatwiej, bo akurat uniósł głowę.

Przebrany dzieciak zaczyna wkrótce wymiotować. Mama zręcznie przykrywa synka kocykiem, by ograniczyć rozchodzący się swąd. Przy okazji przykrywa i mnie. Nie mam sił protestować. I tak już prawdopodobnie przesiąkłem „zapaszkiem" od stóp do głów. Spoglądam przed siebie. Cztery rzędy przed nami – wszyscy pasażerowie dyskretnie siedzą z kołnierzami swetrów zaciągniętymi na nosy.

Byle się nie nastawiać

Autobus zaczyna coraz bardziej się kołysać. Wjeżdżamy w góry. Kolejne zakręty. Serpentyny. Może dobrze, że przez ciemność nie widzę, jak wyglądają okoliczne przepaści. O tutejszych drogach też można przecież wiele poczytać. No, dobrze, chyba już wystarczy tego straszenia. Spróbuję zasnąć. Za oknem słychać grzmot. Chyba idzie burza. Powieki coraz cięższe. Z błogiego letargu wybudza mnie kapiąca woda. Jedziemy pod górę, więc cała woda zbiera się w okolicy tylnej części dachu. A dach mamy, jak się okazuje, dziurawy.

Kierowca ogłasza czas na tankowanie. Można wyjść. Odetchnąć górskim andyjskim powietrzem. Opuszczam pojazd. Mam piętnaście minut dla siebie. Przede mną obszerny, wybetonowany plac. Na nim niektórzy pasażerowie, wzorem pani z dworca w Villazon, załatwiają swe potrzeby. Najwidoczniej uznali, że panujący na stacji półmrok wystarczy do dyskrecji. Większość panów udaje się jednak w pobliskie krzaczki. Idę za nimi.

Sam nie wiem. Może rzeczywiście nie nastawiłem się na to państwo najodpowiedniej. Może kierowała mną przesadna obawa. Może na siłę wyszukiwałem problemów i zamiast skupić się na pozytywie odbioru zupełnie nowej, nieznanej rzeczywistości, koncentrowałem się na tym, co przeszkadza. Co brudne, śmierdzące i uprzykrzające czas. Psujące nerwy. Może.

A może zwyczajnie zabrakło mi zaufania dla Boliwii. Należnego kredytu dobrej woli. Zmiany nastawienia. Okruszyny optymizmu. Pewnie troszkę tak. Z drugiej strony, czy wtedy powstałby ten reportaż? Oparty na tym, czego doświadczyłem i co zobaczyłem. Pewnie nie. Zresztą, nie ma teraz co gdybać. Zgłodniałem. Pójdę na kukurydzę z cukrem. Przy dworcu w Potosi można zjeść tylko to. ■

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 8877ab7377

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE ANTONI RYBCZYŃSKI

Podwójne wyzwanie: wojskowi USA głównych przeciwników widzą w Chinach i Rosji

Wojskowa konfrontacja między USA a Rosją w najbliższych latach będzie narastać – o tym coraz głośniej mówią politycy i wojskowi dowódcy w Stanach Zjednoczonych. Pisze o tym w artykule na stronie rosyjskojęzycznej redakcji rozgłośni Głos Ameryki Danila Galperović. Tekst został opublikowany 30 grudnia 2020 roku.

Konfrontacja militarna między Stanami Zjednoczonymi a Rosją w najbliższych latach będzie się nasilać – o tym coraz częściej mówią politycy i dowódcy wojskowi w Stanach Zjednoczonych. Co więcej, w tej konfrontacji Rosja będzie próbowała uzyskać wsparcie Chin, a Stany Zjednoczone, jak zaznaczają amerykańscy wojskowi, muszą jak nigdy ostrożnie traktować te sojusze, w jakich pozostaje Waszyngton. Rok 2020, pomimo pandemii COVID-19, nie doprowadził do zmniejszenia napięć militarnych między Zachodem a Wschodem – ten charakterystyczny dla czasów zimnej wojny opis tego napięcia można odnieść z jeszcze większym uzasadnieniem do sytuacji z lat 2019–2020. W militarną konfrontację między Rosją a Zachodem, zaostrzoną po aneksji ukraińskiego Krymu przez Rosję w 2014 roku, poważnie włączyły się Chiny: ich interesy w regionie Azji i Pacyfiku są coraz bardziej wspierane przez siłę militarną.

Rosja: nowe bazy i nowa broń

Przy tym jednak Rosja pozostaje głównym po USA atomowym mocarstwem, a jej wojskowi nie ukrywają, że są gotowi wrócić do pełnowymiarowego starcia z NATO w Europie. W wywiadzie opublikowanym niedawno przez rządowy organ prasowy „Rossijskaja Gazeta" rosyjski wiceminister obrony Aleksandr Fomin powiedział, że Moskwa „zastrzega sobie prawo do odpowiedniej reakcji" w przypadku rozmieszczenia przez USA nowych rakiet w Europie. 29 grudnia [2020 roku] Moskwa ogłosiła, że eskadra okrętów rosyjskiej floty wojennej z korwetą Stojkij będzie prowadziła ćwiczenia na Morzu Śródziemnym. Nieco wcześniej podążył tam okręt podwodny „Staryj Oskoł" z pociskami manewrującymi Kalibr, a na początku grudnia na Morze Śródziemne popłynęła duża eskadra okrętów Floty Czarnomorskiej. Wszystko to przypomina, jak sowieckie si-

eprasa.pl 8877ab7377

ły morskie „wyznaczyły obecność" na tym samym obszarze 40 lat temu.

Rosja, mimo oczywistych problemów ekonomicznych, nie ogranicza kosztów swojej działalności wojskowej za granicą: w tym samym wywiadzie dla dziennika „Rossijskaja Gazeta" Aleksandr Fomin opisuje korzyści płynące z budowy bazy wojskowo-technicznej w Sudanie dla rosyjskich okrętów, które według niektórych doniesień medialnych mogą być wyposażone w instalacje jądrowe. Rosyjski wiceminister obrony Aleksiej Kriworuczko, który niedawno został objęty unijnymi sankcjami w związku z otruciem lidera opozycji Aleksieja Nawalnego, pojawił się 30 grudnia w gazecie „Krasnaja Zwiezda", wymieniając najbliższe plany Rosji w dziedzinie broni. Kriworuczko powiedział, że strategiczne bombowce Tu-95 będą wyposażone w pociski hipersoniczne, a czołgi – w lasery bojowe, będą kupowane też drony bojowe i myśliwce piątej generacji. Rosja według jego słów zbuduje 14 atomowych okrętów podwodnych w ciągu najbliższych sześciu lat i przyjmie na służbę system obrony powietrznej S-500 już w przyszłym roku, a w 2022 roku zacznie dostarczać wojskom pocisk hipersoniczny Cyrkon.

Stany Zjednoczone przyznają, że zagrożenie z powodu chińskiej i rosyjskiej aktywności wojskowej stopniowo wzrosło do poziomu, który musi być dostrzegany i na który trzeba odpowiednio reagować.

▶ Nowe zagrożenie: Rosja plus Chiny

Mówiąc o wyzwaniach w Arktyce, na Dalekim Wschodzie, a nawet w Europie, wojskowi USA twierdzą, że wyzwania te podwoiły się: stabilności w tych regionach zagraża nie tylko Rosja, gotowa do rozwiązywania konfliktów środkami militarnymi, lecz także Chiny. Według Research Service Kongresu USA, chińska marynarka wojenna rozwija się w gorączkowym tempie: od 2005 do 2019 roku liczba statków i okrętów chińskiej marynarki wojennej wzrosła o 55 proc., do 335 [sztuk]. Według niektórych szacunków do 2030 roku siły morskie Pekinu będą liczyły 450 okrętów nawodnych i 110 okrętów podwodnych. Chińskie przywództwo zleca nowe typy niszczycieli i okrętów patrolowych, a także jest poważnie zaangażowane w instalowanie na nich najnowszych rodzajów broni. Pekin stara się przenieść swe siły do Arktyki – jego inicjatywie gospodarczej „Jedwabny Szlak Polarny", która będzie jeszcze mocniej łączyć gospodarczo Chiny i Rosję, prawdopodobnie będą towarzyszyć wysiłki na rzecz militarnego zabezpieczenia tej komunikacji.

Z kolei rosyjskie wojsko wykorzystuje każdą okazję do podkreślenia partnerstwa ze swoimi chińskimi odpowiednikami. Najgłośniejszym przykładem takiego sojuszu wśród ostatnich przypadków był wspólny lot bombowców strategicznych Rosji i Chin 22 grudnia. Sześć bombowców (dwa rosyjskie i cztery chińskie), a także 13 rosyjskich samolotów eskortujących przeleciało nad Morzem Japońskim i Morzem Wschodniochińskim, zmuszając siły powietrzne Korei Południowej i Japonii do reakcji – ich samoloty wystartowały, by opanować sytuację. Był to drugi taki patrol (pierwszy miał miejsce latem 2019 roku). Władimir Putin w październiku tego roku przyznał, że sojusz militarny z Chinami jest „teoretycznie możliwy", choć jak na razie Rosja go nie potrzebuje. Moskwa na wszelkie możliwe sposoby jednak pomaga Pekinowi się przezbroić: w minionym roku Rosja zrealizowała kontrakt na dostawę do Chin zestawów przeciwlotniczych S-400, a rok wcześniej dostarczyła zmodernizowane myśliwce Su-35.

▶ Morska strategia USA: Chiny – główny przeciwnik, Rosja – w ślad za nim

Stany Zjednoczone przyznają, że zagrożenie z powodu chińskiej i rosyjskiej aktywności wojskowej stopniowo wzrosło do poziomu, który musi być dostrzegany i na który trzeba odpowiednio reagować. Jest o tym mowa w opublikowanym w połowie grudnia strategicznym dokumencie „Przewaga na morzu", przygotowanym przez dowództwo US Navy, piechoty morskiej i obrony wybrzeża USA. „Nasze siły

eprasa.pl 8877ab7377

morskie rozmieszczone na całym świecie codziennie wchodzą w interakcje z chińskimi i rosyjskimi okrętami wojennymi i samolotami. Jesteśmy świadkami ich rosnącej złożoności i rosnącej agresywności. Optymizm, że Chiny i Rosja mogą stać się odpowiedzialnymi liderami przyczyniającymi się do globalnego bezpieczeństwa, ustąpił miejsca przeświadczeniu, że są silnymi rywalami". Chiny, jak wynika z dokumentu, prezentują „najpoważniejsze długoterminowe strategiczne zagrożenie", a ich rosnący wojenny potencjał „podważa wojskową przewagę USA w zastraszającym tempie". Rosji, która zdaniem autorów strategii stanowi zagrożenie drugiego rzędu, w żadnym wypadku nie należy jednak lekceważyć: „W czasie konfliktu Rosja może zagrozić Waszyngtonowi lub stolicom Europy uderzeniem cybernetycznym lub kinetycznym albo zaatakować podmorskie kable komunikacyjne, co będzie miało poważne konsekwencje dla światowej gospodarki [...]. Dążenie Rosji do poszerzenia strefy wpływów determinuje oportunizm i gotowość łamania międzynarodowych umów i praw, a także użycie siły militarnej".

Odpowiedzią na rosnące zagrożenie ze strony Pekinu i Moskwy, jak głosi dokument, może być maksymalnie ostrożne podejście do tych sojuszy, w tym wojskowych, w których znajdują się Stany Zjednoczone: „Nasi sojusznicy, partnerzy i bloki, takie jak NATO, to stabilna asymetryczna przewaga nad naszymi rywalami. Wspierają międzynarodowe normy, budują potęgę morską i zapewniają dostęp do ważnych strategicznych pozycji morskich. Musimy wzmocnić i poszerzyć naszą sieć relacji, aby zapewnić sukces w obliczu konkurencji, kryzysu i konfliktu". Oprócz tego, odpowiedź USA powinna zawierać inwestycje w przeciwokrętowe uzbrojenie dalekiego zasięgu, zbrojenia podwodne, rozmaite drony, naukowy intelekt, a także poszerzenie możliwości „w cyberprzestrzeni i spektrum elektromagnetycznym".

▶ Stephen Blank: napięcie w relacjach z Chinami i Rosją nie będzie się zmniejszać

Starszy ekspert Foreign Policy Research Institute Stephen Blank w rozmowie z rosyjskim serwisem Głosu Ameryki mówi, że oceny wojskowych USA na temat Chin i Rosji są usprawiedliwione: „Zagrożenie ze strony Chin jest naprawdę głównym zagrożeniem, a wojsko pracuje teraz nad odpowiedzią na nie w zakresie konfiguracji naszych sił. Znalazło to już odzwierciedlenie w innych dokumentach strategicznych i nazwano to »rywalizacją wielkich mocarstw«. Jeśli pojawia się argument, że Chiny i Rosja mogą połączyć siły w ewentualnym konflikcie ze Stanami Zjednoczonymi, to taka możliwość istnieje. Nie mówiłbym jeszcze o sojuszu, ale jest jasne, że znacznie poprawiły te kraje koordynację i współpracę".

„Wydaje się, że Rosja naprawdę chce wszystkim wysłać sygnał, że teraz aktywnie współpracuje z Chinami w sferze militarnej, i trzeba to wziąć pod uwagę" – podziela tego typu obserwacje cytowany ekspert. Stephen Blank nie widzi żadnej prawdziwej okazji, aby zapobiec wojskowemu zbliżeniu między Rosją a Chinami za pomocą jakiejkolwiek strategii, która je oddzieli: „Ich interesy zbiegają się, ponieważ są dwoma neoimperialistycznymi autokratycznymi reżimami, odczuwającymi wzajemne przyciąganie ze względu na podobne zagrożenia: dla obu z nich jakakolwiek demokratyzacja wydaje się głównym zagrożeniem dla stabilności elit rządzących i samego systemu". „Myślę, że nie mamy innego sposobu, by skłonić ich do tego, by czuli się bezpiecznie, niż tylko im ustąpić. A to z kolei zagraża naszemu bezpieczeństwu. I tak, środki zawarte w strategii morskiej są właściwe: musimy wzmacniać nasze sojusze i zdolności w Europie i Azji oraz wspierać nasze interesy. Uważam, że obecna administracja USA, mimo wszelkich wątpliwości pod jej adresem, dostatecznie trafnie opisuje w tym dokumencie zagrożenie ze strony Chin i Rosji" – mówi Stephen Blank. ■

> ODPOWIEDZIĄ NA ROSNĄCE ZAGROŻENIE ZE STRONY PEKINU I MOSKWY MOŻE BYĆ MAKSYMALNIE OSTROŻNE PODEJŚCIE DO TYCH SOJUSZY, W TYM WOJSKOWYCH, W KTÓRYCH ZNAJDUJĄ SIĘ STANY ZJEDNOCZONE.

eprasa.pl 8877ab7377



Olga Doleśniak-Harczuk



Kurs na Kanzleramt. Z kotem i bez niego

26 września Niemcy wybiorą skład nowego Bundestagu. Zanim to się stanie, partie zdążą jeszcze przetestować swoje siły w wyborach do kilku landtagów. Wyniki tych wyborów w pierwszej fazie wpłyną również na decyzję CDU/CSU do wyłonienia wspólnego kandydata na przyszłego kanclerza Niemiec. Na razie wiadomo tylko tyle, że po 16 latach kanclerstwa skończą się rządy Angeli Merkel. Jej miejsce może zająć nowo wybrany szef CDU, Armin Laschet, lub premier Bawarii i szef CSU, Markus Söder. Panowie dobrze o sobie mówią, są uprzejmi do bólu i w tym teatrze umizgów starają się dowieść, że wcale im nie zależy na władzy kanclerskiej. A zależy. I to jak.

eprasa.pl 8877ab7377

Armin Laschet nie ma dobrej passy. Sondaże są bezlitosne. 16 stycznia wygrał co prawda z Norbertem Röttgenem i Friedrichem Merzem walkę o schedę po Angeli Merkel i Annegret Kramp-Karrenbauer, ale delegaci na zjazd CDU to jedno, a społeczeństwo – drugie. I o ile tych pierwszych swojski, kanapowy wizerunek premiera Nadrenii Północnej-Westfalii w pełni zadowala (co wiele mówi o samej CDU), o tyle „zwykły Niemiec" nie jest zachwycony wizją Lascheta-kanclerza. Ostatnie sondaże przeprowadzone przez Civey dla tygodnika „Der Spiegel" ilustrują brak zaufania społeczeństwa dla zdolności przywódczych (w końcu kanclerz to przywódca) Armina Lascheta. 68 procent ankietowanych jest zadania, że Laschet nie nadaje się na kanclerza Niemiec. W grupie wyborców i sympatyków CDU/CSU aż 65 proc. nie chce go na tym stanowisku. I tutaj chyba najbardziej bolesny rezultat sondażu: 79 proc. elektoratu chadeckiego wolałoby w Kanzleramcie widzieć szefa CSU, Markusa Södera. Bawarczyk jako faworyt. Tego jeszcze nie było.

▶ Zażarta walka o landtagi

Oficjalne potwierdzenie wyników zjazdu CDU nastąpiło 22 stycznia, a już następnego dnia nowo upieczony przewodniczący pojawił się na konwencji chadeków z Badenii-Wirtembergii. Spotkanie tamtejszych struktur chadeckich było związane ze zbliżającymi się wyborami do landtagu Badenii-Wirtembergii (14 marca). Sytuacja była jednak z gatunku niezręcznych. Susanne Eisenmann, która jako Spizenkandidatin ma poprowadzić CDU do zwycięstwa, w plebiscycie na szefa CDU wspierała Friedricha Merza. Nikt nie czynił z tego tajemnicy. 23 stycznia pani Eisenmann musiała z uśmiechem powitać na podium Armina Lascheta, wręczyć mu kwiaty i udawać, że zawsze wierzyła w jego kompetencje przywódcze. Trudne, ale jak widać wykonalne.

W Badenii-Wirtembergii rządzi koalicja Zielonych i CDU pod wodzą zielonego premiera Winifreda Kretschmanna. To pierwszy zielony premier niemieckiego landu. 72-letni Kretschmann stoi na czele landowego rządu od 2011 roku. W macu 2021 roku ma się jednak wszystko zmienić. Markus Söder w nagraniu skierowanym do delegatów na zjazd CDU w Badenii-Wirtembergii stwierdził pocieszająco: „Kretschmann nie jest nie do pobicia". A jeden z lokalnych polityków CDU wprost zawyrokował: „Ten premier to pasterz bez stada". Według ostatnich sondaży, Zieloni i CDU idą do wyborów łeb w łeb, jedna i druga partia może dziś liczyć na 30-procentowe poparcie. Co ciekawe, również SPD i AfD idą równo, osiągając po 12 proc. poparcia. Trudno więc wyrokować, czy CDU zdoła przeforsować swojego premiera. Program chadeków na zmiany w landzie przedstawia się imponująco. Przynajmniej w warstwie technicznej. Liczy bowiem aż 100 punktów. Więcej wsparcia dla rodzin, plan zatrudnienia dodatkowych 1400 policjantów, reforma podatkowa, nowe inwestycje, cyfryzacja. Jeżeli CDU powiedzie się w tych wyborach, Armin Laschet będzie mógł na chwilę odetchnąć. To od wyniku tych i odbywających się w tym samym czasie wyborów do landtagu Nadrenii-Palatynatu będzie zależeć jego pozycja względem Markusa Södera. Każda porażka chadeków w terenie będzie od tej pory porażką Lascheta. Söder jeszcze przed wyborami nowego szefa CDU nalegał na to, by rozmowy dotyczące nominacji kandydata na nowego kanclerza odbyły się po pierwszych w tym roku wyborach do landtagów. Sprytne posunięcie. Czas gra na jego korzyść. Co widać po sondażach.

▶ Söder – lubi koty i przebieranki

Wizerunek Markusa Södera różni się znacznie od tego, do którego przyzwyczaił Niemców Armin Laschet. Szef CSU ma zdecydowanie większy potencjał, by stać się ulubieńcem narodu. Jest głośny, wszędzie go pełno, lubi szum wokół siebie i wie, jak go wykorzystać. Raz odwiedza schronisko dla bezdomnych zwierząt w Norymberdze, po czym w mediach społecznościowych publikuje filmik, na którym z troską trzyma w dłoniach maleńkiego kota. Wcześniej co roku tabloidy, i nie tylko, śledziły jego kolejne występy podczas karnawału, gdzie rubaszny Bawarczyk potrafił się wcielić zarówno w Edmunda Stoibera, jak i Shreka. Dystans do siebie – cecha, która również w Niemczech jest coraz bardziej w cenie. Poza tym, kiedy zaczęły wychodzić na jaw raczej niewygodne fakty z młodości Södera, ukazujące go mniej konserwatywnym, na jakiego się kreuje, okazało się, że polityk ze skazą wcale nie musi ponieść porażki. Wręcz przeciwnie, potknięcia młodości nadały mu aurę bardziej ludzkiego. A co z tym wszystkim ma wspólnego Armin Laschet? Niewiele. Jest stonowany, brak mu charyzmy i... nie potrafi publicznie głaskać małych kotków. Tyle że Merkel też nie ma charyzmy, a jednak porozstawiała po kątach wszystkich przeciwników politycznych i przechodzi właśnie do historii jako „Mutti narodu". W marcu zapadnie decyzja, która wersja kanclerska się przebije. ■

eprasa.pl 8877ab7377

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Azja – możliwe konflikty w 2021 roku

Amerykański think tank Council on Foreign Relations (CFR) na podstawie odpowiedzi około 550 urzędników rządowych USA, ekspertów do spraw polityki zagranicznej i naukowców, ocenił prawdopodobieństwo 30 konfliktów i zagrożenie nimi dla USA, które mogą wybuchnąć w 2021 roku. W raporcie przedstawionym w połowie stycznia bieżącego roku konflikty podzielono na trzy kategorie: 1) o wysokim, 2) o średnim, 3) o niskim priorytecie (stopniu prawdopodobieństwa i zagrożenia).

W pierwszej jako największe zagrożenie wymieniono Koreę Północną, która rozwija broń atomową i rakietową. Raport ocenia prawdopobieństwo i stopień zagrożenia tego konfliktu dla USA i dla Półwyspu Koreańskiego jako wysoki.

W tej kategorii jest wymieniony także Tajwan. Konflikt USA i Chin w sprawie wyspy określony jest jako średniego prawdopodobieństwa, ale o dużym zagrożeniu. W poprzednich latach ten konflikt był wymieniony w drugiej kategorii. Rok 2020 przyniósł coraz agresywniejszą politykę Chin wobec wyspy, przejawiającą się nie tylko w warstwie werbalnej, lecz także w działaniach, na przykład częstym naruszaniu tajwańskiej przestrzeni powietrznej i wkraczaniu na tajwańskie wody terytorialne.

Inne zagrożenie dotyczące Chin, a dokładniej konfrontacji tego kraju z USA w wyniku ekspansywnych działań ChRL na Morzu Południowochińskim, określano jako mniej prawdopodobne.

Raport CFR w pierwszej kategorii wymienia także zagrożenia związane ze wzrostem przemocy i niestabilności politycznej w Afganistanie, a także działalność Iranu na Bliskim Wschodzie, która może doprowadzić do „zbrojnej konfrontacji ze Stanami Zjednoczonymi lub z jednym z ich sojuszników w regionie".

Warto dodać, że w kategorii konfliktów o wysokim priorytecie wymieniono też prawdopodobieństwo „rosyjskiej ingerencji lub prób zastraszania jednego z członków NATO, co może doprowadzić do wzrostu napięć militarnych".

W kategorii zagrożeń o średnim priorytecie wymieniono spory graniczne pomiędzy Chinami i Indiami. Tu warto zauważyć, że w podobnym raporcie w 2020 roku ten konflikt zupełnie nie był wspomniany.

Wskazywany w poprzednich latach jako zagrożenie o niskim priorytecie konflikt pomiędzy Indiami a Pakistanem, w 2021 roku trafił do drugiej kategorii jako bardziej prawdopodobny. W raporcie stwierdza się, że „poważny atak terrorystyczny lub wzmożone niepokoje w administrowanym przez Indie Kaszmirze", mogą doprowadzić do konfrontacji militarnej pomiędzy Indiami i Pakistanem.

W trzeciej kategorii o niskim prawdopodobieństwie i stopniu zagrożenia znalazł się m.in. konflikt w wyniku „złamania porozumienia o zawieszeniu broni między Armenią i Azerbejdżanem o sporne terytorium Górskiego Karabachu".

Japonia

Pandemia koronawirusa spowodowała wzrost liczby ludzi biednych w Japonii, zwłaszcza wśród klasy średniej. Coraz więcej osób ustawia się w kolejkach po żywność i odzież w publicznych i prywatnych ośrodkach pomocy. Media w Kraju Kwitnącej Wiśni poświęcają niewiele miejsca tej stronie pandemii, ale jak donosi katolicka agencja Asia News, kilku obserwatorów zwraca uwagę, że coraz więcej Japończyków śpi na stacjach kolejowych lub na ulicach.

Japonia nie należy do krajów najbardziej dotkniętych przez COVID-19 i nie przyjęła sztywnych zasad lockdownu.

eprasa.pl 8877ab7377

W normalnych warunkach Kraj Kwitnącej Wiśni ma niskie bezrobocie wynoszące poniżej 3 proc. i dobrze zorganizowany system opieki społecznej. Jednak według oficjalnych danych pół miliona Japończyków straciło pracę w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Jest jeszcze jeden problem: wzrost niepełnego zatrudnienia i niedostatecznie płatnych prac tymczasowych. Według organizacji Moyai, pomagającej biednym, 40 proc. pracowników ma „nieregularną" pracę, dostaje niskie pensje, ma ograniczony dostęp do opieki społecznej i łatwo ich zwolnić. Ponad 10 mln Japończyków żyje za mniej niż 19 tys. dolarów rocznie, a to za mało, biorąc pod uwagę wysokie koszty życia w tym kraju. Jeden na sześciu Japończyków żyje we „względnym ubóstwie", czyli za mniej niż połowa średniego krajowego dochodu. Liczby te mogą być większe, bo z poczucia wstydu wielu Japończyków w trudnej sytuacji nie zwraca się o pomoc do agencji niosących pomoc.

Osobami szczególnie dotkniętymi trudnościami ekonomicznymi z powodu koronawirusa są kobiety, ponieważ wiele z nich pracuje na umowach tymczasowych w handlu detalicznym, restauracjach i hotelach, czyli w tych branżach, które pandemia dotknęła najmocniej.

Eksperci ostrzegają, że problemy gospodarcze mogą przyczyniać się do wzrostu samobójstw obserwowanego już od końca ubiegłego roku. Według Taro Saito z Instytutu Badawczego NLI wzrost stopy bezrobocia o jeden punkt procentowy w Japonii przekłada się na około 3000 dodatkowych samobójstw rocznie.

▶ Chiny–Polska

15 stycznia Sąd Najwyższy (SN) powstrzymał (na razie) ekstradycję do Chin Zhihui Li, obywatela Szwecji urodzonego w ChRL, który od 9 marca 2019 roku przebywa w warszawskim areszcie.

Li został zatrzymany na podstawie chińskiego wpisu do bazy danych Interpolu podczas rutynowej kontroli na lotnisku w Warszawie, skąd miał kontynuować podróż do Rumunii. Chiński reżim ściga go czerwoną notą za przestępstwo gospodarcze. Chińczyk trafił do bazy danych Interpolu wtedy, gdy organizacją tą kierował były wiceminister bezpieczeństwa Chin Meng Hongwei. Za jego szefowania Interpolem Chiny wykorzystywały wydawanie czerwonych not do ścigania swoich wrogów politycznych.

Zhihui Li twierdzi, że stawiane mu zarzuty są nieprawdziwe. Dotyczą okresu od 1 października 2011 do 31 stycznia 2012 roku. W listopadzie 2012 roku Li wyjechał z ChRL do Szwecji w celu zawarcia związku małżeńskiego z poznaną wcześniej kobietą, która miała obywatelstwo szwedzkie. Tam też Li przeniósł część swoich interesów. Zarzut w stosunku do Li został w Chinach sformułowany dopiero w sierpniu 2015 roku, czyli prawie trzy lata po jego wyjeździe. Na listę ściganych przez Interpol wpisano go w 2017 roku, ale do momentu zatrzymania w Warszawie podróżował swobodnie po świecie jako obywatel Szwecji. Szwedzi wiedzieli, że jest ścigany czerwoną notą, ale nie wykonali żadnego formalnego ruchu, by go zatrzymać. Li nie miał żadnej świadomości, że w Chinach ma jakieś kłopoty. Planował nawet wizytę w Państwie Środka.

W Chinach należał do Komunistycznej Partii Chin. Po przybyciu do Szwecji zrezygnował z członkostwa w partii i zaangażował się w działalność ruchu Falun Gong, który jest w Chinach zakazany. W ChRL członkowie tego ruchu są aresztowani i torturowani. Jak podaje „Epoch Times": „w 2019 roku londyński Niezależny Trybunał w sprawie Grabieży Organów od Więźniów Sumienia w Chinach [...] ustalił, że ponad wszelką wątpliwość przetrzymywani w więzieniach wyznawcy Falun Gong byli głównym źródłem zaopatrzenia dla prowadzonego dla zysków, rozległego chińskiego przemysłu grabieży organów".

Zhihui Li jest przekonany, że jeśli Polska odda go komunistycznym Chinom, spotka go kara śmierci.

Sąd pierwszej instancji w ubiegłym roku wydał zgodę na ekstradycję Li. Sąd Apelacyjny wyrok odwołał i cofnął sprawę do Sądu Okręgowego. Tam znów zapadła decyzja o przekazaniu mężczyzny władzom chińskim. O kasację wyroku zwrócił się do SN Rzecznik Praw Obywatelskich, argumentując, że sąd niższej instancji wydając decyzję o możliwości ekstradycji, nie upewnił się, czy w Chinach przestrzegane będą prawa człowieka.

SN, uchylając postanowienie dopuszczające ekstradycję oskarżonego do Chin, przekazał sprawę do ponownego zapoznania Sądowi Apelacyjnemu w Warszawie. Według SN do wniosku strony chińskiej o ekstradycję nie można się przychylić, dopóki nie zostanie rozszerzony dialog z Chinami na temat sytuacji Zhihuia Li, gdyby ten trafił do Chin. Sąd Apelacyjny ma ustalić, jakie prawa przysługują osobie ściganej po odesłaniu jej do ChRL, i wyjaśnić, czy ekstradycja nie narazi ściganego na tortury i utratę życia. Kasację złożoną przez Rzecznika Praw Obywatelskich poparła również prokuratura.

W obronie Zhihuia Li stanęła też strona szwedzka. Ambasada Szwecji przekazała polskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych pismo, w którym czytamy, że „istnieje duże ryzyko, iż nasz obywatel, po wydaniu go stronie chińskiej, może zostać skazany na karę śmierci". I dalej: „Chińska Republika Ludowa nie spełnia kryteriów państwa prawa. Tamtejszy wymiar sprawiedliwości podporządkowany jest kontroli partii komunistycznej, a zatem nie jest on niezależny".

Jeśli Sąd Apelacyjny opowie się ponownie się za ekstradycją, to ostateczna decyzja co do losu Li należy do ministra sprawiedliwości, który jest zwierzchnikiem polskiej prokuratury. ■

eprasa.pl 8877ab7377



Marcin Wolski

JABŁKA I JABŁONIE

Fascynacje historiami rodów stare są jak same dynastie. I nie dotyczy to tylko rodzin panujących. Są przecież dynastie biznesmenów, artystów, sportowców. Wystarczy spojrzeć na rodziny Straussów, Kossaków czy liczne familie aktorów – Minellich, Douglasów, Damięckich czy Sewerynów.

Oczywiście zawsze rodzi się pytanie, czy jest to efektem namaszczenia przez Apollina wybierającego sobie jakiś jeden ród, w którym regularnie rodzą się talenty, czy też wynika to z przynależności do określonego środowiska, gdzie umiejętności bezwiednie zdobywane od dziecka wraz z odpowiednimi znajomościami są już na starcie potężnym handicapem? Zdarza się niestety, że staje się to przekleństwem, zwłaszcza gdy dziecię za wszelką cenę usiłuje dorównać swym rodzicom, a jakoś się nie udaje. Łatwiej jest dziedziczyć pozycję w biznesie, w którym wystarczy tylko nie być utracjuszem, aby spokojnie pomnażać posiadane miliony, czy w polityce, zwłaszcza w monarchii dziedzicznej, gdzie król nie musi stawać do castingu. W sztuce to tak nie działa – urodzenie, owszem, ułatwia start, ale później zwiększa tylko wymagania u krytyków („Jak na córkę Agnieszki Holland, to jej ostatnie dzieło...").

Przy okazji łatwo zaobserwować znamienną prawidłowość. Pierwszy znany przedstawiciel rodziny – mimo że było mu najtrudniej – przeważnie jest najlepszy. Jest typem wojownika, który musi wywalczyć swoje miejsce w świecie. Pouczająca może tu być historia Medyceuszy. Ich potęgę zbudował Kosma Stary, który z jednego z wielu bankierów wyrósł na faktycznego przywódcę Florencji, pozycję ugruntował Wawrzyniec Wspaniały – znakomity mecenas sztuki. Kolejni przedstawiciele rodu, mimo że znaleźli się wśród nich i papieże, i władcy, a nawet władczynie – jak Maria i Katarzyna Medycejskie, żyli niejako w cieniu założycieli . Ci „założyciele" zdobywają swoje pozycje na różne sposoby – odwagą, inteligencją, szczęściem. Wystarczy popatrzeć na Władysława Jagiełłę, który z jednego z wielu książątek litewskich, zmuszonego przebijać się przez tłum rodzeństwa, wyrósł na jednego z najważniejszych władców Europy. Podobnie było z Napoleonem, znanym z powiedzenia „Mój ród zaczyna się ode mnie", któremu nikt z rodziny nie dorastał do pięt.

Inny model przyjęli Austriacy, dla których najważniejszym elementem była dobra polityka matrymonialna. Najlepszym przykładem są Habsburgowie. Brat Wilhelma, odtrąconego narzeczonego królowej Jadwigi, Ernest Żelazny, był ledwie księciem Styrii i Karyntii – mężem księżniczki mazowieckiej Cymbarki, siłaczki i olbrzymki, której głównym wianem była słynna, trwająca przez pokolenia, „habsburska warga", ale jego syn został już królem Niemiec i cesarzem, a prawnuk Karol V uniwersalnym władcą imperium, w którym „słońce nigdy nie zachodziło". Dłuższy marsz przypadł Hohenzollernom – z politycznego drobiazgu wydobył ich Fryderyk, pod koniec XIV wieku burgrabia Norymbergi. Koligacąc się z Habsburgami i Wittelsbachami, zapewnił synowi stanowisko elektora brandenburskiego. Sto lat później ich potomek Albrecht został świeckim księciem Prus. Na koronę przyszło czekać kolejne dwa stulecia, a na diadem cesarski kolejne dwa. Przeważnie odbywa się to prędzej.

Niestety w sztuce czy nauce nie można okopać się na zajętych pozycjach i przekazać ich potomkom. Zwłaszcza że z kolejnymi pokoleniami pierwiastka geniuszu jest jakby mniej. Dotyczy to zarówno Mannów, jak i Straussów czy Kossaków (dziadek Juliusz był wybitny, syn Wojciech niezły i płodny, wnuk Jerzy – marny). Udało się ominąć tę regułę wnuczkom: Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Magdalenie Samozwaniec, ale moim zdaniem głównie dlatego, że zmieniły dziedzinę, w której startowały, i nie musiały się ścigać z legendą dziadków.

Oczywiście serce rodzica zawsze marzy o kontynuatorze, ale rozsądek podpowiada, czy za wszelką cenę. Ogromną satysfakcję sprawił mi kiedyś mój syn Mateusz, dziś ceniony koncertmistrz filharmonii w Spokane (stan Waszyngton), który zapytany przez dziennikarkę, dlaczego nie próbuje swoich sił w pisaniu, odpowiedział: „A co, będę rywalizował z ojcem?!". ■

eprasa.pl 8877ab7377

Tomasz Sakiewicz

Powrót do świata wartości

Wrażliwość na ludzkie życie jest ważnym elementem polskiej kultury. Pokazała to sprawa Polaka zagłodzonego na śmierć w Wielkiej Brytanii. Silna reakcja naszego społeczeństwa udowodniła, że ochrona prawa do życia każdego człowieka jest u nas kodem kulturowym.

Opublikowanie orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego ograniczającego tzw. aborcję eugeniczną rozpoczyna proces zmiany świadomości społecznej w Polsce dotyczącej ochrony życia. Powiedzenie przez polski TK, że każdy człowiek ma prawo do życia i nie można różnicować ludzi ze względu na stan zdrowia, będzie miało w przyszłości ogromne znaczenie dla społecznej oceny tego zjawiska. Tak się stało na początku lat 90., kiedy weszła ustawa ograniczająca aborcję. Początkowe protesty, ataki „Gazety Wyborczej" czy środowisk komunistycznych, zamieniających się wtedy w postępową lewicę europejską, nie miały większego znaczenia. Społeczeństwo zaakceptowało kompromis aborcyjny, a w badaniach opinii publicznej poglądy Polaków wyraźnie przesunęły się w kierunku ochrony życia. Spore znaczenie miał wtedy autorytet Kościoła i samego Jana Pawła II, który stanowczo bronił życia. Dzisiaj sytuacja wydaje się trudniejsza. Zbyt słabe oczyszczenie się niewielkiej wprawdzie części duchowieństwa ze sprawy pedofilii ułatwiło ataki na Kościół. Szczególnym obiektem wrogości czy wręcz furii stał się zmarły ponad 15 lat temu Jan Paweł II.

Lewicy i ich poplecznikom wydaje się, że obecne protesty tworzą furtkę do podważania idei ochrony każdego życia ludzkiego i zmiany społecznej świadomości Są w ogromnym błędzie. Wrażliwość na ludzkie życie jest ważnym elementem polskiej kultury. Pokazała to sprawa Polaka zagłodzonego na śmierć w Wielkiej Brytanii. Silna reakcja naszego społeczeństwa udowodniła, że ochrona prawa do życia każdego człowieka jest u nas kodem kulturowym. Oczywiście nawet najsilniejszy kod potrafi się zmieniać. Ale ten dostał właśnie zabezpieczenie – prawo i mocne uzasadnienie Trybunału Konstytucyjnego. Oczywiście można temu myśleniu zarzucić, że przecież prawo tworzy większość rządząca, tak jak wybrała ona sędziów obecnego Trybunału. Tyle tylko, że po drugiej stronie nie ma silnej i zwartej propozycji jakiegokolwiek kodu kulturowego. Nihilistyczny liberalizm zachodni może byłby taką opcją, gdyby nie to, że opakowano go w twarze agresywnych stworów ze strajku kobiet. Elektorat PO, Hołowni czy PSL nawet gdyby chciał zaakceptować nowe wzorce kultury, nie da rady żyć w świecie agresywnych dziwolągów, przerażających stylem bycia i jeszcze bardziej pomysłami na politykę. Dla części tych wyborców to sygnał, że nie mogą utożsamiać się z żadną formacją, jednak dla innych to „pokusa" ożywienia wygasającego, ale znanego im z wychowania, starego kodu. Tym bardziej że ten wzorzec będzie chroniony przez prawo.

Agresywne i nieprzemyślane ataki na decyzję Trybunału Konstytucyjnego, a z drugiej strony odwołująca się do ważnych wartości propaganda obozu władzy – dają też wielką przewagę obrońcom życia. Politycznie PiS na tym zyskuje, bo dzieli opozycję i część jej elektoratu zniechęca do głosowania na nią. Zwolennikom Jarosława Kaczyńskiego wystarczy zachować zimną krew i uparcie przekonywać. Dużo bardziej pod górkę ma teraz opozycja. ■

eprasa.pl 8877ab7377

Strefa Wolnego Słowa



Albicla.com

eprasa.pl 8877ab7377